

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXV.

POEZJE

ZYGMUNTA

KRASIŃSKIEGO.

TOM TRZECI.





LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1883.

SPIS RZECZY.

PSALMY PRZYSZŁOSCI

I.

PSALM WIARY.

29. A odpowiadając Jezus rzekł im: błądzicie nie będąc świadomi pisma ani mocy Bożej.

30. Albowiem przy zmartwychwstaniu ani się żenić, ani za mąż chodzić będą, ale będą jako aniołowie Boży w niebie.

31. A o powstaniu umarłych nie czytaliście co wam powiedziano od Boga mówiącego:

32. Jam jest Bóg Abrahamów i Bóg Izaaków i Bóg Jakubów. Bóg nie jestci Bogiem umarłych ale żywych.

Ś. Mateusz, Roz. XXI.

47. Pierwszy człowiek z ziemi ziemski, wtóry człowiek sam Pan z nieba.

48. Jaki jest ten ziemski, tacy też i ziemscy, a jaki jest niebieski, tacy też będą niebiescy.

Ś. Paweł, List pierwszy do Korynthian, Roz. XV.

Dusza i ciało to tylko dwa skrzydła,
Któremi Czasu i Przestrzeni sidła
Duch mój rozcina, w postępowym locie!
Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie
Odpadać muszą — lecz on nie umiera —
Choć to się śmiercią nazywa u ludzi!
On zwiędłe zrzuca a świeże przybiera —
I w nie otulon, znów na jaw się budzi —
A to się zowie, narodzin godzina!
I duch mój, wziąwszy skrzydła niezmęczone,
Niemi znów leci — lecz już w wyższą stronę!
Tak coraz wyżej ku Panu się wspina,
Ciała i dusze własne po za sobą
Sypie jak liście zżółkłe i strząśnięte,
Wciąga do siebie, siły im odjęte —
On sam wciąż żyje, ich zgonów żałobą!

Za nim przeszłości zmierzchające tonie —
Przed nim rozwarte wszechbezmiarów błonie!
Przed nim świat wszystek — Czas, przestrzeń bez końca
Piętra z dróg mlecznych i dni z lat tysiąca;
A dalej, wyżej, nad niemi, za niemi —
Ten co jest wszystkiem i wszystko obleka,
Duch twórczy gwiazdy, anioła, człowieka,
Cel a początek i nieba i ziemi;
Ten który zawsze i wyżej i dalej

Niedoścignięty, nad wszystko się pali:
Spokój — a jednak razem siła tchnąca —
Blask najwyższego duchów, Ducha-Słońca!

K'niemu wciąż dążę — z razu tam iść muszę
Przez piekła trudu — przez czysca zasługi —
Aż zacznę wdziewać i ciała i dusze
Bardziej promienne, i wstąpię w świat drugi!
W świat co od wieków zwan okręgiem nieba —
I w nim letargów mi już nie potrzeba,
Ani przebudzeń z grobu, by iść wyżej!
Tam żywot wieczny — żywot nieustanny —
Grób i kolebka konieczne, są niżej
Na tych planetach, gdzie świt Ducha ranny,
Gdzie człowiek Boga niemowlęciem jeszcze,
I kwili tylko przeczucia swe wieszcze — —
Lecz dla Aniołów śmierci nigdzie nie ma!
Przeszłość i przyszłość ostremi oczyma
Widzą i znają — dla nich przemienienie
To jedna chwila — to dalsze natchnienie!
Jak my na ziemi w godzinę zachwytu
Nikłą pieśń z serca czerpiem — tak tam oni
Kształt rzeczywisty czerpią z fal wszechbytu,
Szaty przemienne czerpią z życia toni,
I coraz dalej ku Panu — ku górze
Lecą w królewskiej ciał i dusz purpurze!

W koło, niebieskich coraz więcej darów,
Grzmiących dźwięczności i światła pożarów,
Mnożą się mleczne pierścienie i pręgi,
Coraz to szersze lazurowe kraje —
Przestrzeń pełniejsza potęg się wydaje,
Czas coraz bardziej się przeteraźniejsza,
A jednak przyszłość co od końca dzieli
W nieskończoności swej, nigdy nie mniejsza.
Bo Pan wszystkiego, jest wszystkiem na wieki,
Choć coraz bliższej, on równie dalcki!
Jego to, Jego, żądają Anieli!

Żądza bez miary co chwila rosnąca;
Miłość bez granic, to życie bez końca —!

On, ogniw wszechstworzenia wiązanym łańcuchem,
On Bytem, Myślą, Życiem — Ojcem, Synem, Duchem!
On jak Myśl w świecie mieszka i jak Byt wieczysty,
Lecz za świata krańcami, On jest osobisty.
On Duchem świętym, jednym, który wie sam siebie,
Rozlał się po wszej ziemi a został na niebie!
A my wszyscy i wszędzie Jegośmy obrazem,
I wstępując stopniami w coraz wyższe włości,
Żyć musim nieśmiertelnie, z nim żyć musim razem,
Zrodzeni z Jego łona, żyć w Jego wieczności!
I jako on nas stworzył, tak my tworzyć dalej,
I z wewnętrza nas samych wyprowadzać światy,
By prząść mu, jak nam uprządł wiadomości szaty.
O ile możem biedni, w anielskiej pokorze,
To coś Ty nam dał z łaski — oddawać Ci Boże,
A nigdy nie módz, nigdy, nic Ci oddać Panie,
I tak żyć w Tobie wiecznie, przez wieczne kochanie!

Lecz szkołą Duchów są Ludzkości dzieje —
Drogą do niebios, planety koleje!
Na nim to, na nim pójdą zasłużeni —
A wszyscy razem — do innych przestrzeni,
Gdy Syn Twój sędzia, zmartwychwstałych książe,
Losy tej ziemi w dzień sądu rozwiąże,
I z nich anielstwo ludziom wypromieni!
A do dnia tego wiodące tu wschody
To w łasce Twojej poczęte narody! —
Garść im powołań sypnąłeś z wysoka —
W każdym z nich żyje myśl jakaś głęboka,
Co z piersi Twoich zesłanem jest tchnieniem
I narodowi odtąd — przeznaczeniem!
A są wybrane jedne przed innemi
By o Twą piękność walczyły na ziemi,

I krzyż lat wielu, wlokąc krwawym śladem,
Były śród świata anielskim przykładem!
Aż nie wywalczą straszną walką w grobie
Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,
Więcej miłości i więcej braterstwa,
W zamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa!

Takim jest naród Twój polski, o Boże!
Kto cząstką jego — niech wie się Twej woli
Cząstką na ziemi — i choć go świat boli
Tak, że aż wątpić o nadziei może,
Niech w tem cierpieniu wytrwa niesłychanem,
Boć on zaprawdę w Twoim Duchu chrzczony —
Boć on zaprawdę Twym ziemskim kapłanem;
Jeźli się cierniów nie wstydzi korony,
Jeźli pojmuje że kochasz bezmiernie
Synów tych, których koronujesz w ciernie;
Bo cierń w. krwi maczan — to kwiat wiecznotrwały —
I nim odmładzasz świat ludzkości cały! —

Chrystus wciąż w tobie mieszka, o Ludzkości!
W twych piersiach żyje, w twoich losach gości,
Krwią twą, krew Jego i ciałem twem, ciało!
Stanie sie tobie co Jemu się stało!
On wcielił w siebie wszystkie twe koleje,
On ci objawił wszystkie twe nadzieje.
Zkądeś zrodzona: — z przeczystej Dziewicy
Bo z myśli Bożej, w Boże podobieństwo! —
Ku czemu idziesz: — ku Ojca stolicy. —
Przez co przejść musisz: — przez trud i męczeństwo!
A kiedy Chrystus nad Taboru szczytem
Już się otacza wieczności przedświtem,
Czy ty nie widzisz co ten znak ci wróży?
Nim los twój ziemski, w pełni się dokona
I ty, Ludzkości, będziesz przemieniona!
Zostawisz w dole u stóp ciemnych wzgórzy

Wszystko co zwodzi i wszystko co boli:
Zostawisz w dole szatańczęsto niewoli,
Zostawisz w dole kłamstwa opętanie;
Zostawisz w dole tajemnic zawiłość —
A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
I serca wieczną, nieskonczoną miłość!
I z temi dwoma świętemi potęgi,
Jak Chrystus w światła wzbijesz się okręgi!
Z czoła się twego grzech wszelki twój zetrze;
Jak pióra, lekkie będą twe ramiona!
Ręce pokładniesz na białe powietrze
I w niem się ważyć będziesz — spowietrzniona! —

II.

PSALM NADZIEI.

16. A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki.

17. Onego Ducha prawdy, którego świat przyjąć nie może, bo go nie widzi ani go zna. — Lecz wy go znacie, gdyż u was mieszka i w was będzie.

18. Nie zostawię was sierotami — przyjdę do was.

Ś. JAN. Roz. XIV.

6. I widziałem drugiego Anioła lecącego przez pośrodek nieba, mającego Ewangelję wieczną, by zwiastował siedzącym na ziemi, i wszelkiemu narodowi i pokoleniu, i językowi, i ludowi.

OBJAWIENIE Ś. JANA, Roz. XIV.

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —

Wszystkim ciała dał Jehowa —
Duszę wszystkim Chrystus dał,
A duch święty, żywot chowa
By wraz ciało z duszą zlał!

Ja wam mówię — niedaleki
Zbawiciela Objawiciel!
Niedaleki — nam przed wieki
Obiecany Pocieszyciel!

Oto idzie już godzina.
Poznan będzie — niepojęty!
Z Ojca weźmie, weźmie z Syna
I rozleje się Duch święty! —

A nie trony — ni korony
Pierwsze ujrzą Cię na niebie;
Lecz niewinnie umęczony,
Ten o Duchu! ujrzy Ciebie!

Kto lat tysiąc wieku strawił,
Kościół broniąc od poddaństwa!
Miljonową pierś wciąż krwawił,
Aż rozdeptał gad pogaństwa!

Kto śród ludów nie miał brata —
Ten, na czyim już pogrzebie
Były wszystkie króle świata,
Ten, o pierwszy, ujrzy Ciebie!

Bo choć krwawy — choć zemdlony,
Wzrok utopion trzyma w niebie!
A kto patrzy w Ducha strony,
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie!

Ni zmysł kupców, ni dłoń kata
Przeciw prawdzie nie pomoże!
O przyjdź prędzej wiosno świata!
O przyjdź prędzej Duchu-Boże! —

Wszak my duchy, Duchu święty?
Wiecznie wstajem z własnych kości —
Wszak jak Chrystus wniebowzięty,
Wniebowstąpim w Raj miłości?

Wszak my jedni i ciż sami
Tylko coraz wyżsi, Panie?
I garniemy się wiekami
W ostateczne Zmartwychwstanie?

Jawem życia — czy snem w grobie
Z wiosny w wiosnę — wciąż ku wiośnie —
Kwiat niebieski — duch nasz — rośnie;
Wszyscy rośniem wciąż ku Tobie!

Kto opisze — kto opowie?
Bóg jest jeden — jeden sam!
Przecież, w Bogu, dano nam,
Że my będziem jak Bogowie!

Lecz wprzód ziemia ta stroskana
Pokój przyjąć musi wszędzie!
Wszak kazana w imię Pana
Ewangelja wieczna będzie!

Wszak z planety, co się rozciął
Na odłamków tyle — tyle —
Będzie jeden świat i kościół!
Daj nam Duchu, daj tę chwilę! —

Chrystusowy uścisk bratni
Gdy okoli wszystką ziemię,
Wejdzie, wejdzie wiek ostatni,
I ostatnie ludzkie plemię.

Żegnaj ziemio z bolem! z żalem!
Wszędzie święte ze świętemi —
Nowe błyszczy Hieruzalem
Na padole starej ziemi!

Długa droga — trud był śliski —
Krwi spłynęło i łez morze!
Lecz anielstwa czas już bliski —
Pójdą — pójdą w Ciebie, Boże!

— Tak wam z krzyża, a plemiona
Dziś proroczy Polski naród:
Choć mówicie: «Ot, już kona.»
W nim przyszłości waszej zaród —

Polsko! Polsko! grób twój tylko
Był kołyską nowej zorzy!
Śród wieczności jedną chwilką,
W której począł się dzień Boży!

Czas już zedrzeć z wieku chmurę!
Idącego Pana chwalmy!

Rzucać palmy — rzucać psalmy —
Kwiaty na dół — pieśni w górę!

O! rzucajcie pieśni, kwiaty!
Oto idzie — idzie Pan;
A nie smętny jak przed laty,
Wolny cierniów, gwoździ, ran! —

Przemieniony, z niebios szczytu
Z nad wszechświata gwiezdnych ścian,
Jak widnokrąg wszechbłękitu
Ku nam spływa — spływa Pan!

O! ten błękit pijcie duszą,
A wam wszystko zbłękitnieje!
Choć was męczą, choć was kuszą —
Uwierzycie w mą nadzieję!

Niech was darmo nie przestrasza,
Że dziś podłość górą wszędzie!
Z wiary waszej, wola wasza —
Z woli waszej, czyn wasz będzie!

Nie powróci stara klęska —
Duchom — duchom, tryumf dan!
Oto idzie moc zwycięska,
Panujący idzie Pan!

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —

III.

PSALM MIŁOŚCI.

1. Chociażbym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłości bym nie miał, stałem się jako miedź brzękająca albo cymbał brzmiący.

2. Choćbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność i choćbym miał wszystką wiarę, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, nicem nie jest.

S. Paweł, List do Koryntjan, Roz. XIII.

Przeciw piekłu podnieść kord!
Bić szatanów czarny ród!
Rozciąć szablą krwawy knut
Barbarzyńskich w świecie hord!
Lecz nie nęcić polski Lud,
By niósł szlachcie polskiej mord!
Marne wrzaski — próżne mowy —
Z krwi i z błota — stary świat!
My do innych idziem lat,
Promień z Niebios spadł już nowy!

Gdy z kolebki duch się budzi,
Niemowlęctwem wolnych ludzi
Gilotyna i grabieże!
Dzieciom luby wściekły gniew!
I w wylaną, bratnią krew,
Wierzą ciemne, w ślepej wierze —!
Nie wolności dotąd człowiek,
To wolności wstało zwierzę!
Lecz czas łuskom odpaść z powiek —
Czas już przejrzeć Boga wolę!
Czas anielski podjąć trud,
Czas odrzucić wszelki brud,
I tem samem znieść niewolę! —

Nie jest czynem — rzeź dziecinna!
Nie jest czynem — wyniszczenie!

Jedna prawda boska, czynna,
To, przez miłość, przemienienie!
Jeden tylko, jeden cud,
Z szlachtą polską, polski Lud,
Jak dwa chóry — jedno pienie! —
Wszystko inne, złudą złud!
Wszystko inne, plamą plam
I Ojczyzna tylko tam! —
Jeden tylko jeden cud;
Z szlachtą polską, polski Lud.
Dusza żywa z żywem ciałem
Zespojone świętym szałem;
Z tego ślubu jeden Duch,
Wielki naród polski sam,
Jedna wola, jeden ruch —
O! zbawienie tylko — tam!

Kto chce iskier z czarta kuźni,
By przepalić czarta moc,
Ten świat w gorszą wpycha noc,
Ten mądrości wiecznej bluźni. —
Choćby nie był Moskal rodem,
Ten Moskalem stał się z ducha,
Ten mongolskich natchnień słucha —
Moskwa-piekło mu narodem.

Szata polski nieskalana,
Przenajczystsza i świetlana —
Jak niewinność trudu trudów,
Jako odkup wszystkich Ludów
Dótąd w Polski grobie leży! —
Ten, kto wzniesie pierwszy rękę,
By śnieg zetrzeć z tej odzieży,
Kto przemieni w zbrodnią mękę,
Kto przekuje w nóż kajdany,
A nie w szablę — ten przeklęty!
Tego straszna gna pokusa —
Ni mu rozwój światów znany —

Ni objawion mu Duch Święty,
Ni pamiętan Duch Chrystusa! —
On bez myśli, on bez serca —
W Boga skarbcach nic nie kupi —
On nieszczęsny i on głupi
By kat każden i moderca!

Gdy zstępują w świat genjusze,
Innym sprawę wiodą torem!
Nikt przez mordy i katusze
Nie był wieków Dyktatorem!
Raczej żyją niebezpieczne,
Raczej w końcu giną sami,
Lecz zwycięstwo ich trwa wiecznie —
A z-nich żaden się nie splami
Terroryzmem — by do szaty
Purpurowej brał szkarłaty,
Z braci swoich zżętej głowy — —
Ani Cezar stary w Rzymie!
Ani Francji Cezar nowy!
Każde krwawe w dziejach imię,
Ach! nosiła mierna dusza!
Słaby tylko rzeź wybiera:
Czy mu imię jest — Marjusza,
Czy mu imię — Robespierra!

W poświęcenia świętej dumie,
Poprowadzi Lud do bitwy,
Kto prowadzić Lud ten umie:
Szlachta Polski — Rusi — Litwy!
Pierś że czyja kwitnie w blizny?
Kto się palił wciąż ofiarą
Na ołtarzach tej Ojczyzny?
Kto nad Ludu błędną marą,
Nad przepaścią ciemną jeszcze,
Skrzył się cały w żary wieszcze?
Kto sam z władz swych się rozbierał,
Narodowi pootwierał

Przyszłe, wielkie bytu niwy?
Ani kupcy — ni Żydowie —
Ani mieszczan też synowie —
Lecz ród szlachty nieszczęśliwy! —
Ród, co nie znał z wrogiem miru,
Żniwem trupiem ścinan w boju,
Lub zapędzan do Sybiru —
Oni tylko — dotąd oni,
Z Polską w sercu — z mieczem w dłoni —
Dniem i nocą, bez pokoju!

Któż zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Chyba jeden — ten jedyny,
Co był Bogiem a Człowiekiem!
Jakiż naród — jakiż stan —
Wiek.że jaki, z czystem czołem
Krzyknąć może: «Jam Aniołem!
Jam nie zadał drugim ran.

Lecz się grzechy mazać winny,
Gdy z grzesznika człowiek inny
Wylatuje wśród cierpienia —
Tak jak Feniks co się zmienia
Nieśmiertelny — śród płomienia!
A wyleciał ptak ten nowy,
Syn, zbudzonych z snu, rozbiorem!
Ani zasnął ojców wzorem!
Zjeżył skrzydła — ścisnął szpony —
I w powietrzu gryzł korony,
Berła, miecze i okowy,
Które trzyma ptak dwugłowy!

Wszędzie, wszędzie, na planecie
Braci moich, ryty ślad!
Wy go słowmi nie zmażecie,
Bo tchnie w dziejach Boży ład!
Ich za Polskę — ścigał świat!

Ich za Polskę — męczył kat —
Nie od wczoraj — od lat wiela
Pierś im palił skwarny brzeg —
Lub krył oczy wygnań śnieg,
I więziła Cytadela!

Na Alpejskich skał wyżynie,
Po Śródziemnych fal błękicie,
Na Italskim Apeninie,
Na Hiszpańskich Sierrów szczycie;
Na Germańskich niw równinie,
Po moskiewskich wszystkich lodach,
Na Francuskiem każdem polu,
Po wszech ziemiach — po wszech wodach,
Sieli przyszłej Polski siew
Boże ziarna — własną krew —
— I wy syny tego bolu! —

Tam lud święty, Szlachta święta
Nie kto inny — prowadziła —
A ją natchnień wiodła siła;
Bez niej, dzisiaj, wam by pęta
Ducha żarły a nie ciało —
Bo Lud marny, sam — to mało —
Ogrom leży a bez czucia —
Jeszcze trzeba iskry z nieba,
A nie z ziemi do rozkucia
Marzącego w śnie olbrzyma —
I bez szlachty — Ludu nie ma!

Z życiem wiernie przechowanem
Ona stoi na mogile,
W której zmartwychwstańców tyle! —
Ona Ludu dziś kapłanem!
Dzierży w ręku moc ofiary —
Gróźb nie lęka się ni kary,
Bo zdeptała świat wasz stary.
Świat zawiści — mordu — ciemna —

W którym tylko moc ujemna;
Wie się ona przeznaczoną,
Do noszenia tu korony!
Lecz jedyną tą koroną
Wylać Ducha na miljony!
Ciałom wszystkim rozdać chleba —
Duszom wszystkim — myśli z nieba!
Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie —
Tak Bóg czyni we wszechświecie!
Bo cel światów — szlachetnienie!

Wy, co wyższe zniżać chcecie,
Patrzcie! patrzcie! — Od kamienia
Jak stopniami Pan przemienia
Duchy stworzeń. — Z razu senny
Wszczątek życia, aż powoli
Wydobędzie się z niewoli,
— Walka trudna i trud boli —
Lecz podnosi się kształt zmienny —
Wreszcie przywian Duch z daleka
Wdziewa na się pierś człowieka.
Głaz, kwiat, zwierzę, śniły z cicha —
On ku niebu pnie już głowę —
Do Aniołów pieśnią wzdycha
Między gwiazdy eterowe!

Wszystko, wszystko, wiecznie, wszędzie
Rwie się w górę, z Bożej myśli!
Z wiecznym Bogiem ten nie będzie,
Kto inaczej świat swój kryśli!
Kto nie zszlachcić naród cały
Lecz chce szlachtę zedrzeć z chwały,
Może chwilkę w gruzach siędzie —
Braci zchłopi lub obali;
Lecz nie wzniesie Ludu dalej.
Bo wszechświata prawom wbrew

Sennych zbudzi, nie na ludzi —
Zbudzi sennych na zwierzęta! —
Miasto świateł wielkiej burzy
Ujrzy ziemskiej dno kałuży
I w niej polską, spiekłą krew!
— To nie polskie będą święta!

Powiedz orle! orle mój!
Białoskrzydlny, niezmazany,
Zkąd tych czarnych myśli rój?
One rosną — gdzie kajdany!
Ach! niewola sączy jad,
Co rozkłada Duchów skład!
Niczem Sybir — niczem knuty
I cielesnych tortur król!
Lecz narodu duch otruty —
To dopiero bolów, ból! —

Wiecznie stoi przywłaszczyciel
  Przed wszystkich oczyma! —
Tem że stoi już kusiciel,
  Chyba Boga nie ma! —
Sprosnościami hydnej dumy
  Pomięszał rozumy!
Pozwiązuje sam sumienia,
  Przez ogrom cierpienia!
Sieje kłamstwo i ciemnotę,
  Zmieni zbrodnię — w cnotę!
Bohatyrów, on przekaci
  Na trupa ich braci!
On przyuczy dzieci małe
  Wierzyć w mord jak w chwałę!
Wezmą sztylet mdłe panienki,
  Jak różę do ręki! —

Powie siostra: «bracie, weź,
Bo zbawieniem rzeź!!» —
Oszaleją jego szałem
Rozwściekną — wścieklizną!
Jak on będą — piekłem całem,
Nie niebem, ojczyzną! —

Precz tym złudom, o ma Święta!
Złej godziny to są mary!
Ty zostaniesz niedotknięta!
Ty nie zbędziesz dawnej wiary:
Że ten tylko więzy przetnie,
Kto namaszczon cnoty znakiem;
Że na ziemi być Polakiem
To żyć bosko i szlachetnie!

Niechaj szepczą jezuity,
Niechaj wrzeszczą demagogi,
Że cel wielki a ukryty
Odwszetecznia podłe drogi —
Że, przypadków idąc kołem,
Wolno w bagna zajść szatana!
Potem dusza w nich skąpana
Znów odnajdzie się Aniołem;
Że się zmaże hańby kartę!
Że królestwo Boże z czarta —
Że wszechdobro — złego warte,
Że wszechmiłość — zbrodni warta!

Precz tym złudom, o ma Święta!
A otacza cię ich wiele —
Wszystkie świata chcą zwierzęta
W zwierzę zmienić cię, Aniele!
U stóp świętych twej Golgoty
Wszystkie złości zgromadzone!
Wszystkie fałsze i ciemnoty —
Wszystkie czarne wieku Duchy!
Ci z nożami — ci z łańcuchy —

A chcą wszystkie mąk koronę
Zwiać ci z czoła w piekieł stronę —
Byś zmartwychwstań wielkim czynem
Nie zabłysła Serafinem! —
By krwi twojej i łez strugi
Nie mieszkały w przyszłem niebie!
By się na nic nie przydało
Chrystusowe w tobie ciało,
Umęczone po raz drugi!
By z najdroższej Panu — z ciebie
Pozostała w dziejach świata
Jakaś brudna tylko szata —
By ty znikła — ty, zbawczyni,
Córko Boża, ty — daremno —
I w sławiańskich niw pustyni
Już na wieki było ciemno! —

Jakież straszne ich postaci
Tych kuszących bezbożników!
Tysiącami wściekłych ryków
Proszą ciebie o mord braci!
Inni każą w imię Cara
Wierzyć tobie — żeś ty mara!
Kościotrupie u nich lice —
Boże! Boże! — to upiory
Z smętarzowej wyszłe nory.
W oczach żądła — nie źrenice —
Pod żebrami — serca nie ma
W miejscu serca wąż się zżyma,
I wyłażą z piersi gady,
Wszystkie hańby, wszystkie zdrady.
Obrzydliwym gnąc się ruchem,
Każda wije się łańcuchem,
Z drugą wiąże się w przestrzeni!
Już się coraz bardziej zbliża
Tłum plugawy ten do ciebie!
Łańcuchami żmij złączeni,
Do twojego idą krzyża,

Co na wzgórzu, w czystem niebie.
Już stanęły — wznoszą głowę —
Plwają śliny swe nieczyste
Na twe ciało promieniste,
Zarzucają z wężów wieńce
Na przebite twoje ręce,
Na twe stopy marmurowe!
Oni ciebie by rozdarli,
Ciebie przyszłą — ci z przeszłości —
Ciebie żywą — ci umarli,
Co nie wejdą do twych włości! —

Polsko moja! Polsko święta!
Nad zwycięstwa stoisz progiem;
Kres to męki twój, ostatni —
Niechaj tylko uwydatni
Żeś wszechzłego, wiecznym wrogiem! —
Potem prysną śmierci pęta,
I ty będziesz wniebowzięta,
Bo aż w śmierci, byłaś z Bogiem!

Gdy ostatnia chwila
Zgon w życie przesila
Najsroższy bój!
Szloch zwątpień — jęk skargi
Jęczą mrące wargi —
O! Boże mój! —
W męczeńskiej twej sile
Pokonaj tę chwilę,
Ten zwycięż ból!
A wstaniesz na nowo,
A wstaniesz Królową
Sławiańskich pól!

Moskiewskie mamidła
Obietnice, sidła,
Nie zwodzą już!

Dziesięć Ludów czeka
Na myśl — lub człowieka —
Myśl twoja — tuż!

Nie zsamobójczona,
Z własną krwią u łona,
Przed Bogiem stań!
By wziął cię z kolei
W poczet swych idei,
Tych świata pań! —

Dziś wschodni ląd
Dwóch bójką wiar —
— Ty i Car. —
Car, życia trąd —
Ty, życia prąd,
Ty, życia dar!

Niech miłośnie
Jak ku wiośnie
W twą patrzą twarz!
Bądź mistrzynią,
Co krzywości
Świata prości;
Przewodczynią
Wszechmiłości!

Grzech wszelki maż —
Łzę wszelką susz —
Depcz ziemski szał —
Rządź światem dusz,
Gardź państwem ciał. —
Nieś dech pana,
Nieskalana
Żadnym kałem!
Ludy, z trzody
Stwórz w narody;

Stań nad niemi,
Ich na ziemi
Ideałem!

Przeciw piekłu podnieść kord!
Bić szatanów czarny ród!
Rozciąć szablą krwawą knut
Barbarzyńskich w świecie hord!
Lecz nie nęcić polski Lud,
By niósł Szlachcie polskiej mord!
Jedno tylko ach! zbawienie,
Jeden tylko — jeden cud,
Z szlachtą polską, polski Lud,
Jak dwa chóry — jedno pienie! —

Hajdamackie rzućcie noże
I oszczerstwa i bluźnierstwa!
By Carycy w grobie kości
Nie skleiły się z radości,
Trup nie parsknął w śmiech szyderstwa!

Hajdamackie rzućcie noże!
By nie klęły na was wieki,
Że cel wieków znów daleki!
Żeście w dumie, żeście w szale
Przewrócili losów szalę
I rozbili się na skale —
Kędy wiecznie się wyrodni
Rozbić muszą — bo na zbrodni! —

Hajdamackie rzućcie noże!
Jeźli w głębi serca wiecie,
Że w planety tego dzieje
Pan wciąż z niebios myśl swą sieje.
— Nie przypadek rządzi w świecie —
Nikt nie stawia gmachu z błota,
I najwyższy rozum — cnota! —

Hajdamackie rzućcie noże!
Bo gdy miną fale godzin
Co nas dzielą od odrodzin,
Będzie Polska zmartwychwstała
Wszystkich zbójców przeklinała!
— Tamci lepsi — i mniej śmieli
Skradli ziemię, czci nie tknęli,
Sławy wieków nie zatarli!
Niech głos ludów to opowie!
My jaśnieli, choć umarli,
Jako jaśnią Aniołowie!

Hajdamackie rzućcie noże!
A gdy zagrzmi — o żniw porze,
Wtedy naprzód — w imię Boże!
Bierzcie szable — sierpy — kosy —
Dać żniwiarzom wszystkim grunt —
Rozpłomienić święty bunt.
Lecieć będą, lecieć kłosy,
Ziemię zbroczy gęsty wróg,
Twierdz i więzień prysną mury —
Duchem zatlon, ogrom zgorze
Jak suchego siana stóg!
A patrzący wiecznie z góry
Nie odwróci twarzy, Bóg! —

IV.

PSALM ŻALU.

2. . . . . . mają oczy aby widzieli, a nie widzą; uszy mają aby słyszeli, a nie słyszą. . . . . .

EZECHIEL, Roz. XII.

17. Boć nie posłał Bóg Syna swego na świat, aby sądził świat, ale by świat był zbawion przezeń.

Ś. JAN, Roz. III.

Psalm następny, z następnego powodu:

Przeciw trzem poprzedzającym, a szczególniej trzeciemu, zaraz po ich ukazaniu się, zatem na niemały czas jeszcze przed bezbożnej pamięci miesiącem lutym 1846 roku — napisano pieśń w podobnym ich kształtowi kształcie. — Ta pieśń w rękopiśmie [1] jedna z przedziwności języka polskiego, brzmiąca cudownemi dźwięki, a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczona, wyobrazicielką niektórych dążności i myśli krążących po widnokręgach umysłowych epoki naszej. — Jeden ją wybrzmiał z piersi swych — ale po wielu piersiach drzemią zawarte w niej tchnienia. — Nie sposób jej tu w całości wydać, bo imię wieszcza który ją wyśpiewał i wola jego o niej, nieznanemi. — Pokrótce więc tylko treść w niej leżących zarzutów i pomysłów się opisze. — Teć albowiem nie tylko są jednego wyłączną, rzeczywistą, ale zarazem pewnej liczby drugich wspólną, idealną własnością. — Kształtu się nie przywodzi — ideę tylko się podaje!

Pieśń owa w uroczych a ironijnych strofach zaczyna od zarzucenia Psalmowi Miłości przeczuć zupełnie fałszywych i bojaźni niczem nieusprawiedliwionej, przed pewnemi wypaść mogącemi klęskami — i zapowiada absolutnem twierdzeniem, że nigdy nic podobnego na ziemi polskiej się nie zdarzy. — Dalej, szydząc, utrzymuje, że chyba upiory snuły się wieczorem po drodze zadumanego szlachcica i plemion dawno zmarłych po księżycu mgliły się kurchany — lub też nad zasypiającemi oczyma pobłysk padł od czerwonych kotary firanek — ztąd krwi widzenie, ztąd strach złowieszczy, bo:

---

[1] Po wyjściu z druku drugiej edycji Psalmów, wiersz o którym tu mowa, został przedrukowanym w Lipsku u Bobrowicza pod tytułem: Do Autora Trzech Psalmów, Juliusza Słowackiego. (Przypisek wydawcy.)

Któż, gdzie i kiedy nożem zagroził, lub stanął ci sporem? — Próżne mary — wcale ni mord ni rzeź — ale z wieńca kwietnianego nadpowietrznych duchów obrywające się postaci, przelatujące w przestrzeniach — a ty zląkł się, syn szlachecki. —

Po takowym wstępie pieśń przechodzi do ocenienia stanowiska całej szlachty polskiej — przyznając że jej niegdyś było ze sto tysięcy, ma ją teraz za zupełnie już nie istniejącą, i oświadcza, że wcale i nigdzie — jej nie ma. — Że w głębiach czasu gotuje się wichrowy płomień, co wybuchnąwszy zgasi i zdmuchnie jak świecę wszelkiego szlachty onej przypomniciela. — Przyjdą światła jakieś Boże, widzialne śród burz apokaliptycznych, pałające — i rzucą się na lud i popchną go — a ztąd cudowne powstaną strachy i przerażenia, żywe jakoby śmierci przechadzające się po ziemi — a w nich i z niemi będzie Duch!

— Słaby mówisz, rzeź wybiera; a czy wiesz, co on, ten Duch, wybierze? — Po tem zapytaniu, pieśń Jehowicznem wzbierając natchnieniem — głosi, że zapewne Duch on młody wybierze za środek wcielenia się swego, ludów zatracenie — z wichrów, komet i płomieni okropne odmęty, w których króle drżą, matki ronią, ziemia się rozpada i gruzy po gruzach tylko chłonie — a z onych zwalisk wszystkich korzysta Duch — którego definicja, że jest — wiecznym rewolucjonistą. —

Nad tak, w pył i popiół rozsypanym światem, nowa zorza unosi się w górze — a pod jej blaskami, w jakichsiś smętnych przestworach zatracenia, jęczy przeszłość historyczna kraju. — Nieskończone westchnienie słychać z tej otchłani ojczystych dziejów — ale po nad nią wszechwładny Duch — ciska, mroczy i błyska — aż stopniowemi uciski uzupełni nowego Boga i wiek absolutnie nowy.

Po takich przejściach, kończy pieśń modliwą gorącą i uroczystą o rychłe ziszczenie się dopiero co wyżej przytoczonych obrazów, z najmisterniejszą sztuką odmalowanych!

Na takiej treści wieszczby, odpowiedzią następny Psalm.

I.

Więc strach, mówisz, mówił ze mnie,
Gdym przeczuwał że się w ciemnie
Zasuwamy a nie w zorzę —
I że Lud się zhańbi może?
Prawdę mówisz — pewnem męstwem
Ja się nigdy nie pochlubię —
Ja przed bliźnich drżę męczeństwem —
W otchłań spychać — ja nie lubię;
Gdzie brud ujrzę — wnet mi serce
Jakaś bojaźń chwyta Boża —
Braćmi nie są mi morderce —
Szablę kocham — wstyd mi noża!
Jakbym zląkł się — na stolicy
Z gwiazd i tęcz, Bogarodzicy
Widnej w widzeń błyskawicy,
A mówiącej sprosne słowa,
— Sam by zląkł się i Jechowa! —
Tak się lękam i truchleję
Kiedy w polskie śpaść ma dzieje
Mord i srom!...
Lepszy grom!
Zmartwychwstaje się z pod gromu —
Nie zmartwychwstaje z pod sromu!
Tyś odważny — ja się boję
Kazirodczych ran!
Bojaźń moją — męztwo twoje
Niech osądzi Pan!

Więc gdy padać miały trupy
Twych nieszczęsnych braci —
Gdy z nich mieli zdzierać łupy
Chłopi — Żydzi — Kaci —
Kiedy ziarno siane w śmieci
Od wersalskich dzieci,
Zdradą miało zejść niemiecką —
Więc i ty jak dziecko,
W bańce własnych siedząc marzeń,
Nie przeczułeś zdarzeń?
Nie wcieliłeś się w to ciało
Co tak cierpieć miało!
Ah! nie wziąłeś ran — przed ciosem
W pierś twą, magnetycznie —
Aleś jednym wciąż piał głosem
Tylko fantastycznie!
Wzrokeś wlepił w twe niebiosa:
Ukraińska kosa
Na nich krzyżem wybawienia —
W koło błyskawice —
Z światła cepy i kłonice —
I wichry z płomienia!
A w otchłaniach, gdzieś ci w dole,
Z przekleństwem na czole
Polska Szlachta — Polskie Pany —
Czyściec z świata zwiany,
Jak smętne bałwany,
Czarne fale — siwe piany,
W burzliwą noc! —
Tam Zborowskich ścięte głowy
Topór i kloc!
Płacz bez końca — zgrzyt echowy —
Miłość, chwała —
Przeszłość cała
Rozdeptana przez wiek nowy!
O mój wieszczu stój!
Oto jutro rano
Na powstański bój

Polskie Pany wstaną!
Szlachta — której nie ma —
Bohaterściej niźli kiedy,
Wyzwie Trój-Olbrzyma!
Lecz z twych niebios padną wtedy
Twoje tajemnice —
Cepy i kłonice —
Twój, ach! spadnie cud!
I tych Polski namiestników
Za kilka srebrników
Twój rozsieka lud!
I strun twoich granie
Zagłuszy wrzask mordu!
I nic nie zostanie
Z twojego akkordu! —

Bodajbyś wieszczu był wieszczył prawdziwie!
Bodajbym zdjęty przerażenia dreszczem —
Był kłamcą tylko — ty natchnionym wieszczem —
I plam nie było na ojczystej niwie!
Bodajby Polska nie rozdarta — cała —
Tak jak się czuła dniem przed rzezią jeszcze,
Pieśni twe, wieszczu, uwielbiała wieszcze
A z moich marnych na gardło się śmiała! —
Bodajbym nawet zapozwan przed sądem
Za potwarz moją na Lud nieskalany,
Co żadnej hańby nie owrzodził trądem,
Usłyszał wyrok: na śmierć lub kajdany!
I ty w tryumfie stał z harfą twą złotą
Urągający — i pytał: — A co to? —
I mnie prowadził aż do rusztowania
Śród przekleństw gminu — co tobie się kłania
I miljonowym dziękuje poklaskiem,
Żeś odgadł światła wschód czysty — przed brzaskiem.
Szlibyśmy oba — i szczęśliwsi oba —
Ty chwałą własną — ja Polski zbawieniem —

Bo i mnie wieszczu wciąż śni się ta doba —
Lecz wiem, że wściekłość nie jest zduchownieniem. —
Lecz wiem, że wściekła zwycięztwa godzina
Bić w sercu Boga nad światem zaczyna,
Nim tu narodom na świecie uderzy!
Więc przed nim stanąć narody wprzód muszą
Nie z rykiem zwierząt — lecz z anielską duszą —
Lud tylko święty Królestwo odzierży!
Przemień go, przemień w Króla i Kapłana —
Lecz zanim jeszcze nie przekrólewszczony,
Nie klękaj przed nim — nie kładź mu korony —
Lecz ufaj w szlachtę polską — i moc Pana! —

Ależ wieszczu — boś ty wiary
Dnř zaprzeszłych — tyś wieszcz stary!
Cóż o Duchu ci się śni?
Duch twój wiecznie grzmi w twej pieśni
Jak pogański Jowisz jaki —
Lub kataklizm śród natury
Co świat chwyta na tortury;
To indyjskich bóstw oznaki!
Duch że twój — Inkwizytorem?
Lub wandalskich dni upiorem,
Co powtórzyć ma do joty
Historycznych kręgów zwroty,
I z postępów wynieść tyle
Tylko, tyle co Atyla?
Duch twój, tylkoż myślą czystą
A nie życiem istnem szczerem?
Tylko rewolucjonistą
Tylko Robespierrem;
Filozofją — a bez serca?
Kościotrupem — a bez skóry?
O! tyś ducha jest oszczerca —
Bo go nie znasz; tylko chmury

Co go kryją, widzisz mgliste
A nie światło jego czyste,
A nie kształty powietrzniane,
A nie ruchy przefaliste —
Te ci dotąd są nieznane!

Ciało jest — konserwatorem,
Dusza — wieczną buntownicą —
I do siebie stoją sporem —
Im pogody nie zaświecą.
Im nie ma pokoju,
Odkąd rajski wąż
Pchnął je do rozstroju.
Dusze z ciałmi, nad otchłanią
Pasują się i ranią
Bratobójczo wciąż!
Ach! idea — i zwierzęta —
Anielice — i tygrysy:
I w tej walce bywa snadnie,
Że gdy ludzkie rysy
Idea pokładnie,
Wnet i w Bogu ta poczęta
Oszaleje!
I jej dzieje
Na tej ziemi
Szkaradnemi!
Potok krwi czerwony
Przez wszystkie Ojczyzny!
Gwałty i wścieklizny
Upadki i zgony.
Wieńce kwitną dziś wawrzynem
Jutro z nich ciernia korony —
Każden starzec — wiek, strącony
Przez wiek drugi, co mu synem;
I ojcobójstwami
Ciągnie się i plami

Płynący czas!
Któż zbawi nas?
Kto z żywiołów kłótni
Z bitwy miejsc i lat
Harmonją wylutni,
Rytmu stworzy świat?
Ten w kim głębie życia gorą,
Co nie duszą, w lekkość chorą
Ani ciałem, w ciężar chorem —
Ten co trzecim idzie torem —
W kim ciał i dusz wspólny ruch,
Ten który — tryumfatorem —
Święty Duch!...
Lecz on płynie — a nie skacze,
Lecz on wschodzi — a nie spada —
Ziemia pod nim krwią nie płacze —
On nie woła: Biada!
Arcy-światła w nim potęgi —
On zapełni widnokręgi
Niewidzialnie — a błękitem
Nad niziną i gór szczytem
Równo promienieje.
Rankiem budzi
Sennych ludzi
Na nadzieję!
I do ciemnej zbieży studni,
By wysrebrzał cień —
Aż się ranek wypołudni
W bieluteńki dzień! —

II.

Moc Jechowy — nie gniew,
Zlana z myślą Chrysta
W jeden wiew
Iskra wiekuista
Wiew bez końca
Wskroś przez ziemie — słońca —
I oddech ten
Taki jest sen,
I przepływa
I porywa
I ciągnie za sobą
Okryte żałobą
Wszystkie wieki
Jak kaleki,
Jak trupów rząd!
Gwar — jęk i szum —
Wlecze się tłum: —
Będzie sąd! —

Oto w dole
Józafackie pole —
Jednej trumny wieko
Niebios dach!
Łzy wiekom z ócz cieką. —

Wiekom strach!
A wszędzie w krąg
Widm krwawych ciąg —
Pzeszłości wspomnienia
Jak zmory chodzące
Miecz potrząsające —
Jak anioły gońce
Zatracenia!

Do kata-Anioła
Każden z wieków woła:
«Zlituj się nademną
Gdzież zbawień świat?»
A anioł-kat:
«Precz w otchłań podziemną,
Boś żył nadaremno;
Bo z wieki innemi
Tyś niezbratan! —
Ja cię znam —
Jam jest: — Ty sam —
A twój szatan!»

W bezmocy
Śród nocy
Wiek po wieku stęka,
Obalon przyklęka —
Leje się żar
Zgryzotnych kar —
Duszni i cieleśni
W krwi i pleśni —
Przepaść tuż!
A Anioły w górze
Jak burze
Strącające już!

Nad dołem
Drżą potępieni! —
By nie paść
W tę przepaść,
Wspierają się społem!
Jak łańcuch pierścieni
Łono na łonie —
— I zetknięte dłonie —
Twarze obok twarzy;
Miłość się im marzy
Przy zgonie!

Aż z męczarń doliny
Krzyk jeden, jedyny,
Ziemskich wieków wstanie:
«W piersiach nam o Panie
Twoje strzały tkwią!
My piekielni
Pókiśmy w rozdzieli —
Ale biedni
Gdyśmy w jedni,
Twąśmy krwią,
Twym obrazem!
Miej o Panie
Zmiłowanie —
Już my razem!»

A gdy tak jęczą,
Od ich skruch
Niebo spłonie tęczą,
Głos im wpadnie w słuch,
«Oto idzie Duch»
I ujrzą w przestrzeni
Zstępujący grom —

Swiat się przepromieni
W djamentowy dom!
Potępionych wieków ile
Spada gromów tyle!
Wiek każden w piorunie
Na złocistej łunie
Co go niesie w dal! —
On się pali,
Przepostacia —
Jak na morzu z fal.
Przepostacieni
Idą w mgle z promieni,
A wszyscy jak bracia!
Oto z gwiazd korona
Na czasie niesiona —
Ludzkości to wieca!
I przeszłość zbawiona
I przyszłość zaświeca!

Znów po wszem-lazurze
Stworzenny wiew —
Słychać w dole — w górze —
Anielski śpiew:
«Chwała z wieków w wiek,
Bo stał się sąd!
Łez krwawych ściek
Zmienion w światła prąd!
Z pni starych, grzech
Już zwian jak puch —
I wlał w Duchy dech —
Wiekuisty Duch —
I objął rząd.» —

III.

Stój o wieszczu — w takiej wierze
Nie mów, że ty nie wiesz jeszcze
To co Duch wybierze — —
Tak nie mówią Boży wieszcze!
— Ze świętości Duch jednolit —
Ni mongolskich biczy
Ni czerwonych Rzeczpospolit
W swe cuda nie wliczy!
Wolna tylko ludzka wola
Gdy zła i nieszczera,
Taki tor obiera
I nim ziemskie brudzi pola!
Bo tak wolna, że aż zdolna
Drogi Boże same
Przepiekielnić w zguby jamę!
Bo tak wolna, że aż zdolna
W imieniu braterstwa
Rozsiewać morderstwa;
W imieniu nadziei
Świat wytrącić z swych kolei,
By bez wstępnych sił
Ześlizgnął się po wiekach w tył!
Wie że kłamie — a wciąż kłamie —
Obłuda — jej znamie!
I toć straszna wina
Co ni ojca ani Syna,
Lecz dotyka Ducha!

I tej winy nie zmaże
Żaden ból ni skrucha,
Ni żadne smętarze!
Ach! nie tylko wiek przeszłości
Faryzejskie rodzi dusze —
Za dni naszych i przyszłości
Są Faryzeusze!

Powtarzacie: «Chryste! Chryste!»
A nie macie w sercu Jego —
Jakżeż Ducha wam Świętego
Przejąć dobro wiekuiste?
Z was się każden nad odłogiem
Własnej próżni, wspina Bogiem
Na paluszkach wzdętej pychy!
— I tak wy zwierzęciejecie. —
Bo kto sam się bóstwi w świecie,
Ten na odwrot swego szału
Odczłowiecza się pomału —
Aż się stanie taki lichy,
Że padając — dojdzie chyba
Do roślinnej istni grzyba! —
Lub też dziki — sępny — chory —
Miasto widzeń — widzieć zmory,
Miasto natchnień — czuć wściekliznę
Będzie — zmąci wiary, dzieje,
Człowieczeństwo i ojczyznę,
Zwątpi rozpacz i nadzieję! —
Wtedy śród błędów swych pędu
Wezwie drugich do obłędu. —
Za każdym się krokiem
Przenazwie prorokiem —
Zbawicielem — Bożym bratem:
I dusz wielu będzie katem!
Aż nie wątpiąc że się zbożył,
Że jak Boga stwórcą znał,

Tak się stwórcą sam tu stworzył
Coraz pełńszy własnych chwał,
Pocznie wierzyć jadowicie
Że mu sługą — ludzkie życie:
Stanie się i katem ciał!

Nie tak z Duchem się obcuje —
Nie tak w Ducha się wstępuje!
— Gdy pochylisz kornie czoło,
Zadrży serce — drga szpik kości —
Z anielskiej żywności —
I klęczący, spojrzysz w koło
Na niesprawiedliwości —
Klęski — smętki — gromy —
Babylony i Sodomy —
Ujrzysz Carów w chwale,
Lub zdąsane ludu fale,
Świat zatrącające!
I przyćmione w górze słońce,
I niebieskie mocy
Wstrząśnięte śród nocy —
A czujesz miłość trudu
I męki odwagę!
Wstaniesz ludzi zbawić z brudu,
Kryć ich wstydy nagie. —
A za rany — i za ciernie
Podziękujesz tkliwie —
I dotrzymasz wiernie
Na nieszczęścia niwie!
Śród podłości — niespodlony —
Śród krzywd — nieodmiłośniony.
Wciąż twe usta Pana chwalą —
Wciąż pierś twoja — twardą stalą
Co się błyszczy nieskalanie,
A twe oko płacze żalnie
Po nad każdym cudzym bolem —

I tak stąpasz ofiar polem,
Nigdy w kłamstwa podziemnice,
Cienie i tajnice
Nie zstępując — bo do Boga
Wiesz, że jedna tylko droga,
I jej światłem widny — biały —
Nie dbasz o wrogów nawały,
Co z lochów piekielnych
Czychają na dzielnych;
Co czarni i nocni
Tylko zdradą mocni
I orężni pychą
Zabijają cicho!
A gdy stawiąc tak twe kroki,
Ty nie mówisz: «Jam wysoki»
Ale czujesz, żeś wciąż niczem
Przed Pana obliczem!
Wtedyś ty dopiero
Duszą czystą, szczerą —
I czynów łańcuchem
Połączasz się z duchem —
A z Boga co w niebie,
Powraca do ciebie
Miłości spływ;
I kiedyś po męce
W jego pójdziesz ręce
Wszechwiecznie żyw!
I ja patrzę śród zamieci
W niebios kir!
I ja widzę — kędy leci
Zdarzeń wir!
Słyszę śród chmur
Zmartwychwstałych chór —
Ach! znany głos!
Lecz nie we krwi,
Którą zemsta leje
Cel Polski tkwi. —
Zemsty dzieje

Zemstą tylko,
Chuci chwilką —
To nie Polski los!
Jej od Pana
Pomyślana
Cudniejsza cześć!
Nie pożogi
Ani trwogi
Na świat nieść!

Tu, Sybiry mroźne
I Iwany groźne —
A po drugiej stronie
Klubowe tyrany,
Kule strute — kwas siarczany —
Ludożercze bronie!
Boże zmiłuj się nad wami!
Między dwiema szkaradami
Wstać ma Polska kojarznicą!
Dwóch barbarzyństw ma być spojem —
I to zwiecie — tajemnicą?
To — wieków pokojem! —
W jedno zło jedyne
Wszetecznym poswatem
Siostrę gilotynę
Ślubić z knutem bratem!
Rozdeptać kościoły,
Pomięszać plemiona,
Sumienia anioły
Wygnać z ludzi łona!
I mieć Polskę — tego dzieła
Czarną spełnicielką?
W krew, truciznę jej lać wszelką
By sprawy się jęła!
Trząść przed wzrokiem jej pochodnie
Wszechświata pożaru —

Obiecywać jej za zbrodnie
Nadziemską moc czaru!
Kusić dziejów anielicę
By pod koniec męki
Odrzuciła świętych wdzięki,
Upiorowe wdziała lice.
I odkląkłszy z przed ócz Pana,
Zczerwiona, rozczochrana —
Zakochała się w szatanie,
Świadczyła mu o tej chwili
Jak pierwsi Chrześcianie,
Niebiosom świadczyli!
— To wasz pomysł — to Rzecz wasza!
Takie świty
Duch wasz skryty
Nam przynasza!

Wszak nie w takim stroju,
O wiekuisty Panie,
Do ostatniego boju
Polska twoja stanie!
Nie jędza z niej przebrzydła! —
— W ustach z twym pacierzem
A nad jej pancerzem
Spływające skrzydła. —
W jej dłoniach kształt dwóch mieczy
Z przedziwnej jasności,
Co nie rani — ale leczy!
I woła: «Ja się śpieszę,
Bo zapraszam w gości
Do niebieskich włości
Ludzkie rzesze!»

Lecz wprzód jeszcze — sądy pańskie —
Na czas, czasów zwrót!
Rzeczpospolite szatańskie
I północny knut!
I trząść będą każdym krajem,
Wytracając się nawzajem!
Patrz! świat, kat twój, Polsko! — leży
Rozciągnięty w pyle —
Ten co obrał cię z odzieży
Urągał ci tyle;
Co związawszy twe ramionia,
Dziki — podły — dumny —
Wbijał gwoździe ci do łona
Jak do desek trumny.
Patrz! świat, kat twój, Polsko, oto
Zapadł w krew i błoto?
Od morza do morza
Porwał się do noża —
Bratobójczo się przewala,
Wije nakształt gada,
Podnosi — i pada,
Aż znękany czci Moskala!

Zleć o Polsko — zleć Aniele
W promienistem ciele!
Nie bądź katem twego kata!
Ach! śmiertelny był —
Gdy raz w śmierci zstąpi kraje,
Tylko cnotą znów dostaje
Nadśmiertelnych sił!
A inaczej — rwie zatrata
W głąb tej samej kary
Ofiarników i ofiary!
Zostaje ruina —
I nagrobek na niej świata! —

— Chrystus tylko z grobu wzlata,
Lecz nie Katilina! —

Przyjdź o Polsko — zleć Aniele
W promienistem ciele!
— Pragnęli wolności
A Boga nie znali!
Po ziemiach ich kości,
Ich prochy na fali;
A żyjących, co zostali,
Samo życie boli!
Bo w niewoli!
Z jednych ojczyzn puste cisze —
Nad gruzami się kołysze
Bluszcz wietrzany!
A gdzieindziej, w pysze
Sprośne Pany!
Bez koron na głowie
Lecz z rózgą ze stali —
I służą Jehowie,
Lub z Schizmy powstali! —
Duchoborce, Roskolniki — [1]
I po nocach słychać ryki
Rozrzynanych ciał
Na cześć Molochowi. —
Tak panują ludzie nowi!
Jak z Tarpejskich skał
W zad przez dziejów wschody
Zepchnięte narody. —
I zlatują do ciemności
Coraz głębiéj — dalej

[1] Nazwiska sekt powstałych na łonie grecko-rossyjskiego kościoła, a których krwawe obrzędy przypominają to, co najszkaradniejsze było pod względem rozpusty i okrucieństwa w starożytnych wschodnich, fenickich i Kartagińskich religjach.

— Bo chcieli wolności
A Boga nie znali! —

Przyjdź o Polsko — zleć Aniele
W promienistem ciele!
Zwiesz się: Bogumiła —
Czerwonym sztandarem
I moskiewskim carem
Zarównoś wzgardziła!
Od dwóch tych zatracicieli
Tak czarno w Europie!
Śród nawałnic, na potopie
Jedna świecisz w bieli!
Ledwo stopa się twa zetrze
Z wierzchołkiem bałwanów —
I przemijasz przez powietrze
I ścigasz szatanów!
Przed dwóch mieczy tych jaśnieniem,
Przed twych skrzydeł tęczą,
Obalają się i jęczą
Jak przed Boga cieniem!

Idź o Polsko — idź Aniele
W promienistem ciele!
Świat nie poznał ciebie z lica —
Świat cię zabił — aż na mękę
Sam jest wzięty, a ty rękę
Dasz mu — jego męczennica!

Idź o Polsko — idź Aniele
W promienistem ciele!
W tobie Ludzkość przechowana!
Po nad złości i nad szały,
Po nad hańby i nad kały —
Tyś niepokalana!

Idź o Polsko — idź Aniele
W promienistem ciele!
W dłoniach twoich, nie puginał
Gminnym uwieńczon wawrzynem,
Co pierś wroga porozrzynał! —
— Innego blask ręża!

Boż człowieczym tu czynem
Duch tylko zwycięża! —
Nadziemsko ty hożą —
Boś boleści tu boleścią!
A miłością Bożą!
I powracasz z dobrą wieścią!

W okół ciebie zło się pieni,
Ty nie zważasz przecie,
Sypniesz z dłoni garść promieni
I znów jaśniej w świecie!
Aż przelecisz wszystkie kraje —
I światłością obosieczną,
Śmierć odegnasz od nich wieczną —
Tak się zmartwychwstaje!

V.

PSALM DOBREJ WOLI.

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!
Z skarbu wiecznego miłościwej łaski,
Tysiącoletnie dałeś panowanie,
Ubrane w śnieżne, przechrześciańskie blaski
Nadeuropejskiej cnoty! — Twego syna
Dałeś nam pierwszym w świeckie wpoić dzieje —
Z Polski — ojczyzna w przeszłości jedyna
Co z piersi miłość a nie rozbój sieje;
Co mieczem — tylko świat ewanieliczy,
Gardzi grabieżą — nie garnie zdobyczy;
Spaja się z braćmi, a dumnych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca!
Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd twój w niebie,
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!
Gdyśmy zstąpili z życia Kapitolu
W porozbiorowej doliny otchłanie,
Zmarłych żywemiś trzymał na walk polu!
Choć nas nie było, przecieśmy bywali
Ponadgrobowo — choć w grobie złożeni —
Na bojowiska każdego przestrzeni,
Z orłem ze sreba i szablą ze stali!
Do serc wsmętnionych w cierpienia czyscowe
Wlewałeś bicie, śród nicestwa, nowe —

Wiecznieś nas kąpał w jakiejś dziwnej cnocie —
Wrzkomo z nas trupy — a Duchy w istocie. —
Co elektrycznych nadziemnych strumieni,
Wszystkieś zgromadził w okół naszych cieni,
By nam powrotne, wstające z mogiły,
Na wstyd Europie — ciało uiskrzyły!
Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!
Żywot najczystszy — a więc godzien krzyża —
I krzyż — lecz taki co do gwiazd twych zbliża —
Najwyższe dałeś w czasie powołanie!
Tchem, dzieje świata Tyś przegiął jak kłosy
Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa —
Ziemiś nam ujął, a spuścił niebiosy,
I serce twoje nas zewsząd przykrywa!
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić;
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić!
Boś tak ugodnił wysoko człowieka
I naród każden, że twój zamysł czeka
Zawieszon w górze, aż własnym obiorem
Człowiek lub naród, jego pójdzie torem!
Z wolnością tylko twój Duch się wciąż swata —
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!
Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!
Przykład nieszczęsnej twej Hierozolimy,

W której tak długo było twe kochanie,
Aż się rozwiała w perzyny i dymy
Rozdarta w sobie — a zemstą do końca
Przeciw ludzkości całej szalejąca!
I ona kiedyś być miała królową
Pogańskim katom, świecącą w koronie!
Lecz że wciąż śniła o tych katów zgonie,
A dość twych iskier nie miała w swem łonie,
By nad nich podnieść się życiem na nowo,
Odkrólewszczona — i stała się wdową.
I dotąd płacze na twojego Syna
Za to, że plemion toporem nie ścina —
Jedno, krzyż wziąwszy w zmartwychwstałe dłonie,
Światy obala — gdzie tym krzyżem wionie!
Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!
W ciemięzcach naszych sprosne gwałtu wzory,
Szkaradne rzezie i niecne zabory,
Za które dzieciąt przeklina ich łkanie,
Za które sami, z łaski twej promieni
Jakby z pancerza, już odpancernieni,
Stoją w nagości popełnionych czynów
Bez starożytnych na czole wawrzynów,
Z żałób największą okryci żałobą —
Hańbą serc własnych zhańbionych — przed Tobą!

Nie drugich śmiercią — lecz własną bezpłodnie
Kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie!
Żadna z nich żadnych nie ma przywilei —
Król czy gmin jaki dopuści się zdrady
Słowu twojemu — przepada z kolei!
Aniołów nawet przepadły mirjady!

Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!
My nad otchłanią, na ciasnym przesmyku —
Skrzydła nam rosną już na zmartwychwstanie,
Usta rozwarte do wesela krzyku —
Ku nam z błękitów, jakby z twego łona
Złote jutrzenki, jakby twe ramiona
Spieszą już na dół od nieba po ziemię,
By zdjąć nam czoła wiekowych klęsk brzemię.
Wszystko gotowe — wschód rozpromieniony,
Anioły patrzą — a tam z drugiej strony
Ciemność pod spodem bezgłębnym wybrzeża!
I pnie się, wzdyma, rośnie ku nam, zmierza —
Przepaść, śmierć wieczna, w której nie ma Ciebie
Co od początku złych i pysznych grzebie —
A sama pychą i złością i swarem,
I mężobójstwem onem, jak świat, starem,
I kłamstw i bluźnierstw rozkipionym warem!

I wstała siwa w pasach z czerwoności!
W czarnych błyskawic czarnej jaśni płynie!
Rdzę z krwi pokoleń i gruzy i kości
Na swych topielach piętrzy ku wyżynie:
Gdzie w pół nad grobem, a w pół jeszcze w grobie
Stoim w tej pierwszej odrodzenia dobie!
Jeźli zawrotnym na nią spojrzym okiem,
Jeźli się jednym ku niej ruszym krokiem,
Wnet zórz nam światło pobladnie na skroni
I Syn nad nami twój łzy nie uroni,
I Duch nie będzie nam pocieszycielem!
Na dnie jej sobie nicestwo pościelem!

Zmiłuj się Panie, broń nas, bądź ty z nami!
Nie! — darmo — teraz tu stać musim sami!
Ach, wiem! — ta chwila już do nas należy;
W ostatniej losów tej naszych przemianie
Żaden twój Cherub nam w pomoc nie zbieży!
Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie! —

Lecz wspomnij, wspomnij, żeśmy dawne sługi —
Że nim wiek począł się ten dziejów drugi,
My w przeszłym wieku twój nakaz już czcili
I nie czekali chwil spełnionych chwili,
By uznać Ciebie za ziemskiego władcę
W królowej Polskiej — twojej ziemskiej matce!
Odkąd z mgły czasów naród wyjawiony,
Z ciał polskich — polskich dusz wyszło miljony
Z Jej świętem w śmierci na ustach imieniem!
Niech im dziś Ona odwspomni wspomnieniem;
Niech, w wielką zmarłych tych ubrana chmurę,
Na tych niebiesiech do Ciebie się modli,
By nie związali nam stóp dążnych w górę
Szatani z piekła — lub też ludzie podli.

Spojrz na nią Panie! — gdy z dusz onych rzeszą
Co w okół wieńcem powietrznianym spieszą,
Zwolna ku Tobie wznosi się bezmiarem;
Wszystkie się ku niej gwiazdy rozmodliły,
Wszystkie w przestworach wirujące siły
Zmiękły pod smętnym rozrzewnienia czarem!
Coraz to wyżej — jakby na promieniach
Wschodzi niesiona na tych białych cieniach,
Płynie w lazury, za dróg mlecznych chmury,
Płynie za słońca, taka bielejąca,
Coraz to wyżej do góry — do góry!

Spojrz na nią Panie! — Śród Serafów grona
Oto u tronu twego rozklęczona —
A na Jej skroniach lśni polska korona —
I płaszcz błękitny zamiata promienie,

Z których tam przestrzeń — i wszystkie przestrzenie
Czekają; modli się bardzo po cichu —
Po za nią stojąc płaczą ojców mary.
W dłoniach Jej śnieżnych, jakby dwa puhary,
Krew twoją własną w prawym ci kielichu
Podaje Panie; a w lewym, co niżej,
Krew krzyżowanych na tysiącach krzyży
Poddanych swoich — krew płynną przez lata
Po wszystkich ziemiach, pod mieczem Trój-kata!

I boskim, tamtym wzniesionym kielichem
Błaga drugiemu przełaski twej Panie!
Przepaść tymczasem wielkim huczy śmiechem —
Podplanetarnych fal jej słychać granie;
Wężowych głębin splotami wciąż toczy,
Mgłą, wichrem, pianą zalewa nam oczy
By nas przęśmiertnić w kłamce i morderce!
Nie widzi marna, co dzieje się w górze —
Nie widzi marna, że niczem jej burze,
Gdy takie za nas tam dręczy się serce!
O Panie! Panie! więc nie o nadzieję,
Jak kwiat się sypie — więc nie o zgon wrogów —
Zgon ich na chmurach jutrzejszych zadnieje —
Więc nie o przestęp smętarzowych progów
Przebyteć Panie: ani o broń władną,
Z wichrów nam spada — ni o pomoc żadną —
Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole!
Lecz śród tych zdarzeń strasznego wybuchu
O czystą tylko błagamy Cię wolę
Wewnątrz nas samych — Ojcze, Synu, Duchu!
O ty najdroższy wszędzie Utajony,
Widny z za światów przejrzystych opony,
Wszech Ty przytomny, nieśmiertelny, Święty,
W serc i gwiazd wszelkim mieszkający ruchu,
Co tak gwiazd bunty rozwiewasz na szczęty
Jak serc przewrotność — Ojcze, Synu, Duchu —
Ty, coś rozkazał człowieczej iściznie
By, nędzna siłą i kolebką mała,

Przez moc ofiary się wyanielała —
I polskiej naszej rozkazał ojczyznie,
By wwiodła w miłość i mir ludy bliźnie,
Niezatraconej prawości przykładem;
Choć wciąż pod głazów grobówych opadem,
Wszystkich tych ludów otruwana jadem! —

Ty, co w dziejowych odmętów rozruchu,
Wściekłych piorunem przybijasz do darni —
A zacnych zbawiasz — bo zacni — z męczarni
Błagamy Ciebie Ojcze, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże —
A światu mężcy. — My, co się nie boim
Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,
Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My zawieszeni pomiędzy otchłanią
A Twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu!
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen Twych kąpani dmuchu,
Czasów pryśniętych otoczeni kołem
I państw ginących — Ojcze, Synu, Duchu,
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste —
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych, dobro — daj nam dobrą wolę!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

PRZEDŚWIT.

A Jezus im odpowiedział: Ojciec mój aż dotąd pracuje i ja pracuję.
(Ew. Św. Jana. R. V. v. 17.)

Za dni Cezara poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historji swojej — w religji do zupełnego zwątpienia — w filozofji do zupełnego obalenia zasad polyteizmu. Augur śmiał się z Augura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie żywiące śród ludów, a nic równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha: ruiny, swawola, rozstrój — quot capita tot sensus. — Epikureizm, Stoicyzm, Platonizm, przechadzały się jak mary po owdowiałych piersiach Ludzkości. Z tylu wojen, proskrypcji i rewolucji, wielkie znużenie było się zostało w sercach — wszystkie wiary polityczne spełzły na niczem; i plebejanin Maryusz i patrycjusz Sylla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiej rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem starali się dawnego i znikającego porządku kształty, raz jeszcze z przeszłości wywołać, i żywą teraźniejszością uczynić! — Śmierć tylko śmiercią wprowadzać można — jedno życie tylko, nie broni się rzezią — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem — ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając a nie niszcząc, kochając a nie każąc zabijać. Wszyscy ci wielcy, czy zatraciciele, czy odnowiciele z ostatnich czasów Rzymu, jedną cechę na sobie noszą — pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą ku czemu dąży historja świata. — Jedni trzy-

mają się podania Grakków, i chcą demokracji — drudzy wierzą jeszcze w Bogi Many Appiuszów i marzą o arystokratycznej Rzeczypospolitej. — Takiem marzeniem obłąkany Brutus, ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając zwątpi o sobie, o ojczyźnie i o Bogach, i krzyknie: «Cnota jest także złudzeniem.» — Dusza zabijającego się Brutusa, to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego, i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiej piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten bliski dnia sądu i przeobrażenia swego!

A nietylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tem. Inna jeszcze występuje tu cecha — nad wszystkie ważna — dowodna — niechybna — choć wręcz z przeciwnego stanowiska zarwana, choć tycząca się tylko materjalnej strony ówczesnego człowieczeństwa; kiedy albowiem wszystko na polu Ducha się rozprasza, skądinąd, wszystko na polu materjalnych spraw i celów, coraz bardziej się kupi, zrasta, ześrodkowywa. Rzym choć rozdarty sam w sobie i już własnej nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż — i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię Juljusz Cezar — a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności; na pozór wojnami ją skaleczy, na pozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży — przejdzie Rubikon bezbożnik — powie, *jacta alea est* — cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje — Gallią o Egipt uderzy — Germanom pokaże błękit niebios greckich pod Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomięsza, rozkrwawi, napełni świat szczękiem broni, krzykiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko mimo woli, mimo wiedzy połączy, pobrata; granit plemion, nieznających siebie, zetrze na piasek jeden, ten sam gładki i równy, jednego, uniwersalnego państwa! I o nim Żydzi myśleć będą, że on jest Messjaszem — i ziemia o nim pomyśli na chwilę, że on jej Bogiem! — Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem

jej Boga. Na polu historycznego czynu, on tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana! — On świat przywiódł do materjalnej jedności, bez której żadne słowo życia rozejść się nie może — on ziemię znaną podówczas zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec!

A lat nie wiele później, któż zaczął stąpać po tej bitej drodze? Kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane — i że zmarli nie umrą — i że Bóg nieznany w Atenach, objawion w Hierozolimie? — Czy nie Piotr — czy nie Paweł — czy nie Jan święty? — Szaleli następcy wielkiego Juljusza — prześladowali wiarę nową — żartowali śród biesiad ze słowa opowiadanego — chrześcian przybijali do krzyżów — a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z Cezarów, by zaszkodzić rozprzestrzenieniu się nowej religji — że to samo co ich na *krótko-chwilowych* bogów ziemskich wynosiło, torowało, torowało też drogę ruchowi poczętemu z nieba — i że jedność materjalna państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincji podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym postępu dla Chrześciaństwa. — Dbali o tę jedność, pielęgnowali ją, bronili jej o ile sił zniewieściałych im stało — a tem samem ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym Chrześciaństwa wzrostem! W ręku Opatrzności narzędziami byli — prawa historji dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak jak handlarze i kupcy za czasów naszych — i tak z tylu stanów widomych na ziemi, każden był sługą bożych myśli — każden jedną cegłą więcej rzuconą do budowy kościoła. — Jako Imperatory przeszli oni obarczeni przekleństwem ludzi — jako *cegły* zostali się — i dotąd potomni ludzie po nich deptają w historji!

Discite historiam exemplo moniti! — Lat dwa tysiące upływa, a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu — ostatnie podrzuty Rzeczypospolitej rzymskiej odbiły się w strasznem epileptycznem zadrgnieniu rewolucji francuskiej. — Zerwały się cienie — Marjusza, Sylly, Katyliny, pod krwawą postacią Dantona, Saint-Justa, Robespiera — wreszcie dni Cezara przelały się w dni Napoleona! — A chrześciański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprze-

dnika, przepełniony wiedzą siebie samego i celem któremu kwoli, Duch Boży kierujący dziejami, go zesłał, rzekł umierając na skale wygnania: «odemnie liczyć się będzie nowej Ery początek.» W tem słowie zawarta prawda i jego i całej przyszłości. — Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska napoleońskiego przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia, musi się sam wyczerpywać jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać jak zaprzeczał się starożytny. — Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w niszczeniu; zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym poczęty! — Od Grakków świat pogański nie spoczął, aż usłyszał obietnicę Chrystusa — od Lutra nowożytny nie ma pokoju — cywilną, ogromną wojną i myśli i miecza rozłamuje się coraz bardziej — i on też nie spocznie aż dojdzie nie już do usłyszenia ale do zrozumienia i dopełnia obietnicy Chrystusa!

W okręgach religijnych wszędzie rozbrat. — Kościół katolicki jakby snem od wieków trzech, od ostatniego Soboru, ujęty. — Schizma grecka w dziecinnym kształcie pierwotnego chrześciaństwa, na tysiąc kacerstw rozerwana — protestantyzm sam siebie rozwiązujący i mówiący consumatum est! W okręgach filozoficznej wiedzy pewność — ale braku tylko — dowód, ale krytyczny tylko, przeszłość niezdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. Wściekło-flegmatyczne, że tak powiem, zaprzeczenie filozofji niemieckiej, do najwyższego bezkształtu doszło. Jednostronność myśli tknięta tą samą niemocą postawienia czegoś żywotnego, jak wprzódy jednostronność materji, której się trzymał ród Encyklopedystów francuskich. Ztąd mniemań, teorji, przypuszczeń, systematów zagmatwany rój brzęczący nad Europą!

Wszystkich wieków co przeszły nad ludzkością, marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezje chrześciańskie wszystkie, panteizm indyjski cały, dualizm perski, monoteizm hebrajski, idealność wyłączną i zmysłowość wyłączną; wskrzeszone razem i w tej mięszaninie wykształcone, ogładzone, jedne na drugie się zasuwające tak, iż trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnięcia, same prosząc się o śmierć, by się

prędzej przemieniły, i nową iskrą życia pojednane zmartwychwstały młodemi napowrót! — Oto obraz umysłowej sfery czasów naszych!

Anarchja to taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia — żądza taka wielka a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca który jest w niebiesiech! — Kiedyż ta pomoc odmówioną była? Kiedyż Bóg opuścił historję, kiedy historja wzniosła ku niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: «Pokaż się nam Panie!»

Żądza nieskończona ciągnie za sobą wieczną tęsknotę i żal nieskończony — jak w osobniku tak i w rodzie ludzkim zdarza się melancholja — ze zbiorowego człowieka także cieknie czasami pot krwawych udręczeń na górach oliwnych historji. — Gdyby inaczej było, ducha ludzkiego własną wolą wyrabiającego się by nie było — gdzieżby się podziała zasługa, którą on zasługiwa się w czasie? Czemże ona, jeśli nie życiem tem jego historji, jeśli nie tym ciągiem pracy, podzielonej na momenta śmierci i z martwych z niej wstawania? A jakżeż się umiera jeśli się nie zwątpi? A jakżeż się zmartwychwstaje, jeśli się nie uwierzy? By nie umrzeć, na to Bogiem być trzeba — człowiekiem, na to by umierać. — Gdy Boży Duch połączy się z naturą człowieka, życie Boże grób ludzki rozwala — Chrystus umarł i wstał ze zmartwych.

I epoce wszczętej w słowie Jego tak samo uczynić potrzeba, nim zdoła czynem treści całej tego słowa dorównać. — Otóż ojcowie nasi stali na tej pochyłości co wiedzie do grobu — nas, dalej już losy zaniosły i głębiej złożyły — my w grobie — mylę się, my już za grobem!

Wszyscy wiecie to bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci — i od kolebki oczy wasze wezwyczajone poglądać na sińce zgonu rozciągające się po ciele europejskiego świata! — Ztąd ból wieczny, co toczy wam serca — ztąd niepewność co życiem waszem się stała. — Idziecie a nie wiecie dokąd — i nie modlicie się już jak za dawnych lat, jedno powtarzacie «Źle nam jest.» Lecz wszelki koniec mieści już w sobie następny postępowy początek — dzień zgonu tylko poprzedza godzinę przebudzeń. — Alboż wy nie wiecie, że to chrześciańska wiara — a jakoż by miała omyloną być, kiedy

z Boga jest? Więc patrzcie uważnie, a znaki śmierci przemienią się wam nagle w znaki z martwych wstania!

Nikt średnich wieków nie nazwie cywilizowanemi — nikt naszego aż dotąd religijnym; cywilizacja się poczęła w chwili, gdy wiara konała — cywilizacja jest to jedność materjalnego bytu; jest to wspólność interesów ziemskich, czekająca na zjawienie się słowa Bożego. — Patrzcie! jak rosła i ugadzała wszystko, na to, by idące słowo Boże łatwiej się rozlało, prędzej się udzielało z domu do domu, z kraju do kraju! — Czemże Napoleon, jeśli nie tym drugim w historji aniołem, co usuwa zawady z drogi Pańskiej? — Państwo jego uniwersalne rozwiało się jak złudzenie — on umarł na dalekiej wyspie, a syn jego jedyny w stolicy nieprzyjaciela. — Bracia pozostali i ród ich miernością — gdy pomrą te ciała, nie zostanie śladu, że za życia każde z nich nosiło koronę — a jednak mimo to, pamięć tego człowieka nie pamiątką po umarłym, ale Duchem żywym i coraz potężniej żyjącym jest! — Co on pchnął do biegu, to teraz dalej się toczy — co ta dłoń na chwilę wszechmocnie spoiła, to samo przez się coraz ściślej się spaja i wiąże. — Zapoznane ludy już się nie odpoznają — skupiony razem duch germański już się nie rozprzęże — włoski toż samo! On narodowości ziemskie przebudził z uśpienia.

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. — Przed nim prawdziwych narodów, oprócz hebrajskiego nie było; bo nie znano celu do którego dążą narody, ku któremu ciężą jak planety ku słońcu. — On to obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna owczarnia i jeden pasterz; on to przykazał modlącym się do Ojca i powtarzać te słowa: «Przyjdź Królestwo Twoje i takiem westchnieniem od lat dwóch tysięcy, my wszyscy prosimy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi!

Nic w nas naszego nie masz — wszystko od Stwórcy, myśl i ciało — Bóg nam niejako pożyczył nas samych. — Naszym jedynie, użytek jaki czynimy z tych udzielonych nam zasobów; naszym tylko czyn nasz, zasługa, którą dopracowujemy się rzeczywistej i ostatecznej osobistości naszej. Lecz ona tylko na ziemi, tylko śród ludzkości położoną być może;

ludzkość zatem, śród której zarabiamy na wieczny, przyszły żywot nasz, musi być sama wielką i świętą w Bożym pomyśle harmonją, a nie znikomą marnostką bez wagi i celu! Ludzkość na planecie i nieśmiertelność każdego osobnika za grobem, są to dwa okręgi równe sobie, posługujące się nawzajem, nie dające się rozdzielić sercem ani rozumem; każden drugiego pobocznicą, warunkiem, dopełnieniem, a oba zlewają się w trzecią, wyższą samego Boga potęgę!

Lecz czemże jest planetarna ludzkość? Oto całością i jednością wszystkich możności Ducha człowieczego, wyrażoną widomie na tej ziemi przez zgodę i miłość członków swoich: to jest narodowości. Jako albowiem członki ciała ludzkiego są widomemi i rozmaitemi cząstkami niewidzialnego «Ja» ludzkiego, które je wszystkie spaja i im wszystkim panuje, tak samo narodowości swojej a zarazem harmonji, stać się kiedyś żywemi członkami powszechnej, że tak powiem, katolickiej ludskości:

«A wszystko sprawuje jeden i tenże Duch, udzielając każdemu z osobna jako chce. —»

«Albowiem jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, ale wszystkie członki ciała jednego choć ich wiele jest, są jednem ciałem, tak i Chrystus!» —

S. Paweł. List do Koryntjan, R. XII w. 11—12.

Objawienie Syna Bożego musi więc przechodzić wiekami ze stanu idealnego do stanu uwidomienia i rzeczywistości; na takim ruchu postęp zasługi ludzkiej, postęp człowieczeństwa zależy. —

Słowo Chrystusowe nie mogło od razu przetwarzać polityki pogańskiego świata; bo skład polityczny i byt społeczny epoki jakiej zależy oczywiście od stanu moralnego indywiduów w niej żyjących; musiało zatem schrześcianić szczególnie dusze przed chrześcianieniem stosunków między narodami i państwami! —

Ale za dni naszych, osobnik każden chrześcianinem jest i wszystkie stosunki między niemi chrześciańskiemi są. Gdzież dalej iść idei chrześciańskiej? Oczywiście w sferę niedotkniętą, nieprzerobioną dotąd, a tą jest sfera polityki. — Świat bliski, nie wielkiej odmiany (bo nic ze słów Chrystusowych odmienić

się nie może) ale wielkiego przemienienia się ich, głębszego zrozumienia ich, wyższego ich uwielbienia! — Już w tych wyrazach: «Oddajcież tedy co cesarskiego, cesarzowi, a co Boskiego, Bogu» zawarty jest cały dalszy ruch człowieczeństwa. — Bo ponieważ wszystko Bożem jest, musi stan rozdziału owego chwilowego między właścią Cezarową a Bożą, coraz bardziej się zmniejszać, i to, co jeszcze wczoraj liczyło się za własność Cezarowi, dziś być już policzonem za należne Bogu: aż stanie się państwo Cezara nicością, a Królestwo Boże wszystkiem.

Świat już dzisiaj pojmuje ku czemu garnie się historja; wie, że nią rządzi mądrość Boża, i że celem jej jest ludzkość, czyli cała powszechność zgodna z wolą Bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał! Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywemi są narodowości, w których odbiły się jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. — Czem nóty w akkordzie, tem one w człowieczeństwie, rozmaitością i zgodą zarazem. — Bez nich niepodobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez rozmaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka! —

Państwa są utworu ludzkiego; są zbiorem przysypkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacji Bożej i dla tego właśnie nie państwa bez narodowości, ale narodowości upaństwione jedne tylko mogą być chrześciańskiemi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości. Już w średnich wiekach taki wysoki ideał byli pojęli papieże — i oni zapragnęli wszystkie stosunki polityczne uchrześcianić w Europie! Była jednak w ich pomyśle ta niedokładność, że pojmowali raczej zwierzchnictwo kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełne boskich rzeczy ze świeckiemi, woli Bożej z ludzką wolą. — Ich ideał też rozsypał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą — i od czasów reformy zupełnie pogańską się stała. —

Tu machiawelizmu, tu dyplomacji początek; interes ziemski ubóstwiony, Boże królestwo ocieśnione do progów kościoła każdego. — Za murami przybytku, wszechprzytomnego Boga już nie ma — umarli tylko śpią na smętarzu — a dalej na

bitych drogach świata stoją żywi — wojskowi, ministrowie, kupcy; pod niemi zaś — ucisk i niewola albo bunt i zwierzęcy szał! —

Wszystkie państwa na przekor narodowościom się tworzą; wszystkie państwa są rozćwiertowaniem jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego. — Idea Chrystusowa, idea wszechmiłości zapomniana i gwałcona co krok; nigdzie jednak tak antychrystycznie, jak rozbiorem Polski! —

Trzy państwa wzrosłe nie według praw bożych, oparte li tylko na interesie samolubnym, na dyplomacji, słowem na tem, co zowie się polityką, rozdzierają narodowość żywą, czyli jednego ze członków widomych ludzkości! — Tym czynem polityka przesięga za własne granice. —

Dziecko kto mówi, że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotykająca okręgów Bożych. — Państwo utworu ludzkiego, państwo z gry chuci ludzkich powstałe rozszarpać, byłoby to polityczną zbrodnią, ale narodowość świętą rozebrać i chcieć zabić, kiedy bez niej obejść się nie może urzeczywistnienie idei ludzkości na ziemi, jest targnięciem się przeciwko prawdzie Bożej — prawdzie wiecznej: jest świętokradztwem! Ta samo jak z drugiej strony — nieuznanie tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności: jest religją!

W chwili rozbiorów stało się to jako factum, ale duch polski dopiero teraz wsumienił się w siebie, nabrał świadomości o sobie, uczuł się narzędziem wybranem w historji do posunienia jej postępu dalej. — Inaczej być nie mogło — prawo Boże albowiem skaleczone i obrażone na tym świecie, musi mieć wnętrzną siłę wyleczenia się z rany zadanej i wrócenia do właściwej postaci! W narodowości, której krzywdą najsrożej ludzkość pogwałcona — najsilniej zadrgnąć musi, najjaśniej zabłysnąć — idea ludzkości. —

Płciowość, polarność jest prawem powszechnem, prawem jednem i wszechobecnem tak w naturze jak w duchu, tylko że pod coraz wyższemi kształtami się objawia; naprzykład, biegun dodatni i ujemny w galwanizmie, planeta i słońce w porządku kosmicznym, mężczyzna i niewiasta w rodzie ludzkim,

myśl i ciało w człowieku. — Prawo to na tem zależy, że jedna i taż sama siła w naturze lub idea w duchu, objawia się na dwóch ostatecznych końcach swoich, niby to sprzecznie, a wtedy między temi dwoma końcami powstaje działanie i oddziaływanie ciągłe, czyli ruch i życie tejże siły, tejże idei. W stosie galwanicznym, z bieguna dodatniego wypadająca iskra gdzież leci? w biegun ujemny! — Mężczyzna, do kogoż się ma, w kim się odbija? w niewieście! Myśl, czem się wyraża? ciałem! Zawsze jedna połowa posługuje się drugą, przewciela się w drugą, na to, by całość istnieć mogła. —

W podobnym, analogicznym stosunku dzisiaj mają się do siebie, nadchodzący postęp historji i Polska; koniecznym pierwszego warunkiem drugiej zmartwychwstanie! Gdzież więc musi najwierniej odbijać się świadomość tegoż postępu? gdzież najżywiej zajaśnieć przewidzenie tej przyszłości? zaprawdę, że w Polsce. —

Trzeba było śmierci naszej; trzeba będzie naszego wskrzeszenia — na to, by słowo Syna Człowieczego, wieczne słowo życia, rozlało się na okręgi społeczne świata. — Właśnie przez naszą rarodowość umęczoną na krzyżu historji, objawi się w sumieniu ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną — i że kościół Boży na tej ziemi, to nie tylko to lub owo miejsce, ten lub tamten obrząd, ale cały planeta i wszystkie jakiekolwiek być mogą stosunki tak osobników jak narodów między sobą!

«Domini est terra, et plenitudo ejus orbis terrarum est universi qui habitant in eo.» (Psalm. 24—1.)

Oczywiście tu nastąpi w sumieniu ludzkiem rozszerzenie obecności Bożej. — Pan, w całej sferze politycznej, kędy dotąd go nie było, przytomnym się stanie; a narzędziem jego Opatrzności do tego nikt inny — jedno naród Polski.

Jedno z dwojga — albo święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest życie Polski. — Słowo jedno, słowo Chrystusowe, albo żadnych dalszych owoców nie wyda, albo gwałt zadany temu świętemu słowu, dalej trwać nie może. — Taką jest prawda, ale prawda nie już interesu świeckiego, jedno Bożego — przeto nazywam ją

religijną! — Ona musi ściślej jeszcze połączyć (religare) ziemię naszą z Niebem!

Niechaj się o niej sumienie każdego Polaka przekona, niech pojmie myślą co dotąd czuł sercem tylko, a zrozumie i wierzyć będzie, że tylko przez Polskę zdoła się zasłużyć na ziemi i zbawić duszę nieśmiertelną, bo tylko w Polsce i przez Polskę, zacząć się opatrznie może nowy okres w dziejach świata. — Od tego zaś postępu zależy coraz wyższe dopełnianie się objawienia Chrystusowego w ludzkości!

Dnia 17 marca 1843 roku.

Z Ojców mych ziemi, przez wroga wygnany
Deptać musiałem obcych ludzi łany,
I słyszeć zdala tych szatanów wycia,
Co ziemię moją okuli w kajdany:
Jak Dant — przez piekło — przeszedłem za życia!

Zrazu jam ufał, że Bóg miłosierny
Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny
Zrazu jam ufał, że za dni niewiele
Zlecą zesłane Anioły mściciele
I grób ten pęknie co stoi śród świata,
Przyparty ręką olbrzymiego kata!
Lecz dni płynęły, upłynęły lata,
Darmo brzask walczył z ślepą nocy siłą,
Nie weszło słońce nad Świętych mogiłą,
I coraz podlej na tej ziemi było!
Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia —
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa,
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: «Tu nie ma nadziei!»

Ach! żyłem, żyłem w tej przepaści długo,
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą:
Jak Dant — za życia — przeszedłem przez piekło!
Lecz i mnie także, zbiegła w pomoc Pani,
Której się wzroku czarne duchy boją —
I mnie też Anioł wybawi z otchłani,
I ja też miałem Beatricze moją!

O równie piękna! nad planety ciemnie,
Nie wzniosłaś skrzydeł twoich precz odemnie,
By zasiąść w Niebie — bez bólu — niebiańska!
O równie piękna! i bardziej chrześciańska!
Tam gdzie ból rośnie, tam gdzie łza się plemi,
Tyś z bratem swoim została na ziemi!
W jednych my z cierniów chadzali koronie,
Krew moich dłoni krwawiła twe dłonie,
I z jednych trucizn piekielnego zdroja
My pili razem, o Beatrix moja!

A jednak, jednak mój jęk, twe westchnienia
Zmięszane, zlane, przebrzmiały na pienia!
Z dwóch smutków w duszne spojonych zamęście
Wzbił się głos jeden — a tym głosem, szczęście!
Ach! szczęście wiary, ach! nadziei siła
Co w serce moje przez wzrok twój wróciła!
Tak chmury ciemne, pełne łez na Niebie,
Gdy w nadpowietrznym zetkną się pogrzebie,
Z ich płaczu światło wypada wnet gromem!
I mgła się staje złotym Boga domem!

Pieśń tę więc zacznę, siostro, twem imieniem!
O! bądź na wieki ze mną połączona
Jednych pamiątek i uczuć pierścieniem!
My tu skonamy, lecz pieśń, co nie kona,
Powróci kiedyś, wierna mnie i tobie,
By jak stróż Anioł, strzedz nas śpiących w grobie!
A może przyjdzie chwila, że wskrzeszeni
W czasie dusz wszystkich, nie już w ciał przestrzeni
Wstaniem jej dźwięków znów spojni łańcuchem;
I żyć będziemy w serc ludzkich pamięci,
Jak duch zbawiony, ze zbawionym duchem,
Oboje czyści, świetlani i święci!

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam — z daleka — w Niebo — przodem
Pną się ostrza kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej
Po za wzgórzem, spływa wzgórze,
Z winnic kapie bluszcz i róże!
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, zrana — zwierciadlana
Fala pije niebios smug!
Na wód dole — na skał czole —
Jedna piękność — jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę ciebie!
Z harfą stoisz na mej łodzi,
Gwiazd już kilka drży na Niebie,
Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi!
Widzę jeszcze, widzę ciebie:
Na twych strunach twoje dłonie,
Iskra natchnień skrzy ci z lica,
Światłokręgiem twoje skronie
Rozanielił blask księżyca!
W fal przeźrocza, w sieć z promieni
Zewsząd postać twa ujęta,
Na błękitnem tle przestrzeni
Całaś srebrna — wniebowzięta!

Nabijaną światłem drogą
Łódka moja zwolna płynie;
Jakże lubo, jakże błogo
Na szafirów tych głębinie!
Za jeziora przeźroczami
Majaczeją wzgórza, skały,
I ty ze mną i my sami —
I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą
Coraz dalej łódź ma płynie;
O! Anieli czuć nie mogą
Co ja czuję w tej godzinie!
Takem silny, takem dumny,
Siostro moja! mnie się zdaje
Że w tej chwili — ze snu trumny
Nasza Święta gdzieś już wstaje!

Co raz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal,
Płyńmy, płyńmy tak bez końca
W ciszę — w jasność — w błękit — w dal!

Wód źwierciadła, gór widziadła
Ziemia, niebo, jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu:
Daj mi teraz marzyć — daj!
— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —
Bądźmy dumni, mój Aniele,
Bo nim zstąpi cud i zbawi
Tych co w dawnym drżą kościele,
Nam zwątpienie serc nie krwawi,
Nam nie brudzi czoła trwoga —
My podnosim wzrok nasz w górę
I gdy widzim tę naturę,
W niej i za nią czujem — Boga!

My w natchnieniu wspólnych marzeń,
Gnani wirem smętnych zdarzeń,
Idziem kędy wiedzie droga!
Lecz w tej zmiennej życia męce,
Gdy ściśniemy sobie ręce —
W niej i za nią czujem Boga!

My zabitej matki dzieci,
My, co nigdy nie widzieli
Jak się matki oko świeci
I nad dzieckiem swem anieli —
My z mogiły naszej rodem:
Po niej wiecznie krwawym chodem
Jak upiory stąpać musim!
Jednak w każdej życia dobie,
Za tym grobem i w tym grobie,
Wiarą w Niebo — Niebo kusim!

Pozywamy na sąd wroga,
Bo dzień sądu w piersiach nosim,
I ufamy, że wyprosim
To co boskiem jest — u Boga!

Módl się za mną moja siostro!
Módl się — klęknij tu w pokorze;
Lecz patrz w górę śmiało, ostro,
Jak sierota spojrzeć może!
Wpatrz się w harfę tę bez końca,
W której księżyc, gwiazdy, słońca,
Tkwią jak śruby niewzruszone;
A od dołu aż do szczytu
Struny z światła i błękitu
Drgają, w bezmiar naciągnione.
Po tych strunach Duch przelata,
Na tych strunach Duch przegrywa
I w tej pieśni sam spoczywa:
Ta pieśń — zgodą — ciszą świata!

Słuchaj! w dźwięków tych wszechzgodzie
Brak jednego dziś imienia!
Patrz w tych świateł wszechpogodzie
Brak jednego dziś promienia!
Módl się ze mną, wymów imię
Co wypadło z lutni życia;
Wskaż tę gwiazdę która drzymie,
Lecz nie zgasła w dniu rozbicia!
Wymów, wymów Polski imię,
Może słucha nas Duch Boży,
I stracony dźwięk ten przyjmie,
Znów do pieśni świata włoży!

Módl się ze mną, módl się śmiało
I spokojnie i bezpiecznie!
Jak Bóg w Niebie — tak koniecznie
Bóg nas wcieli w drugie ciało!
Bośmy w żadnej zgonu chwili

Ducha nigdy nie stracili.
Próbę grobu my odbyli —
Prawem naszem: Zmartwychwstanie!
Dziś lub jutro, dasz je Panie!
O! dasz w swej sprawiedliwości,
Nie coś winien nam — lecz sobie!
Bo któż w naszym wyżył grobie?
Kto nam dotąd w piersiach gości?
Nikt na ziemi — oprócz Ciebie!
Żadna inna moc ni siła,
Jedno Twoja się zjawiła
Tu — po naszym, w nas — pogrzebie!
Twoja wszechmoc tylko Boże,
Cośmy znieśli, przetrwać może!
Twej potęgi tylko chwała,
Tak jak Polski — jest bez ciała!
Duch Twój tylko jeden zdoła
Nie zatracić — śmierci — siebie.
Więc gdy dzisiaj z ziemi woła,
Ty odpowiesz mu na Niebie!

Gdym tak mówił, tyś uklękła,
Strunnym jękiem harfa jękła,
Bo o struny, które w koło
Porozzłacał blask miesiąca,
Tyś oparła śnieżne czoło:
I tak klęczysz wzdychająca!
Z za tej kraty strun — twe oko
Patrzy mglisto i głęboko.
Na twych ustach słów już nie ma,
Tylko jedno drżące tchnienie
Całość duszy na nich trzyma!
Módl się siostro, módl westchnieniem
Bóg wie dobrze, że westchnienie
Dziś Ojczyzny twej imieniem!

My umarli pośród świata
Z świętej do świata miłości!
On nam bratem — zbawić brata
Trzeba było z win podłości.
Przyjąć na się — nie grzech — karę!
My przyjęli — i widziano
Śród narodów, Polski marę
Zstępującą w grób na trzy dni!
Dnia trzeciego się rozwidni
I na wieki będzie rano — —

Ha! myślicie że kto kocha
I umiera, ten już ginie?
Dla ócz waszych, dla ócz z procha,
Lecz ni sobie, ni wszechżyciu!
Kto w poświęceń zmarł godzinie
Ten się przelał w drugich tylko!
Mieszka w ludzkich serc ukryciu
I z dniem każdym, z każdą chwilką,
Żywy rośnie w tej mogile!
Jak uczynił Bóg, co w niebie,
Daje wszystkim, daje siebie,
A nie traci na swej sile!
Musi długo, niewidzialny,
Lecz w serc głębi wciąż słyszalny,
Palić ogniem serc tych skazy,
Miękczyć łzami dusz tych głazy,

I przez grobu męki, trudy,
Harmonijuą pieśnią śmierci,
Choć rozdarty sam na ćwierci,
W jedną miłość spajać Ludy!

Ha! wy dziwnie tu marzycie!
Wam śmiertelnym się zachciało
Nieśmiertelnych zabić życie!
Raniliście tylko ciało!
Śmierć i miłość — wy nie wiecie,
Że to jedno w Duchów świecie?
Wy, w piekielnej już topieli
Wyżej piersi zanurzeni,
Z Boga tylko to pojęli,
Czem objawił się w przestrzeni!
Myśl, co w mózgach waszych gości,
Myślą tylko ciał martwości!
Tu z was każden jak morderca
Chce pozbawić ludzkość — serca!
I kościotrup po niej nagi
Rządzić prawem równowagi!
Rozdajecie, jak świat wielki
Wszystkim więzy albo sidła!
Nie tak — nie tak — bo duch wszelki
Ma w anielskie porość skrzydła!
Wiecznotrwały ten na ziemi
Kto swą śmiercią życie plemi;
Lecz kto życiem swem śmierć daje,
Ten gdy skona — już nie wstaje!

O wy niscy, o wy ciemni
I okrutni i nikczemni!
Wy, przewiędłe w nicość dusze,
Bez ducha Faryzeusze!
Wy, kuszący piorun Boży,
Aż was w prochu tu położy!
Wy szpiegowie i wy katy,

Z wypranemi od krwi szaty;
Wy, półśrodków sztucznych pany,
Co kładziecie żar na rany,
A gdy jęknie wam męczennik
Kłamcy wiecznie z prawem waszem,
Czy z kupiecką zysku szalą,
Czy z bagnetem i pałaszem —
Wy bożyszcza — którym palą
Dym kadzidła dzieci trwogi;
Ziemia waszym struta jadem,
Wyście tylko ziemi — gadem,
Choć się macie za jej Bogi!

Nie znam na was hańby słowa —
Nie, że język mój ubogi,
Lecz że boską ludzka mowa!
Nadto piękna, czysta, święta,
Bo z anielskich krain wzięta —!
By was nazwać po imieniu
Jabym rzucił w grzmiącem pieniu
Wam, serc wszystkich wszech przekleństwo!
I jak zemsty jędzą wściekła,
Gnał was biczem żmij do piekła,
Ztarł wam z czoła człowieczeństwo!
Bladych, krwawych, skutych w pęta
Stawił w wieków sądnem kole,
By wydeptały na czole
Wam nadgrobek ten «zwierzęta» —
Ale w duchu jest pogarda
Co ma także swe panieństwo,
I gdy gardzić — nadto harda
By znamiętnić się w przekleństwo!

Co zalewasz się tak łzami,
Co tak patrzysz bezprzytomnie?
Siostro moja! wstań, chodź do mnie,
Prawda z Polską — Polska z nami!

Nie klęcz więcej, spojrz wesoło —
Skroń mi oprzej na ramieniu;
Niechaj widzę twoje czoło
Przebóstwione w mem natchnieniu!

Nim ten księżyc już ponury
Zstąpi całkiem za te góry,
Nim te gwiazdy się dopalą;
Nim powróci promień słońca
I przeminie czar co trąca
Piersi moje nad tą falą:
Niech ci wyższy cud obwieszczę
Nad uciski nad boleści!
O Aniele mój niewieści
Słuchaj jeszcze — słuchaj jeszcze —

Znasz ty miłość, która nęci
Wiecznie duszę w kraj pamięci?
Czy po nocach ciebie woła
Rodowego krzyk Anioła,
I twym oczom patrzeć każe
W dawno zmarłych żywe twarze?

Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżyca
Jak trupiego widno lica:
I gwiazd nie ma — tylko ona
W środku Niebios, niewzruszona!
W jej promieniach przestwór cały
Znicestwiony, zkamieniały.
Kędy spojrzeć, na wsze strony
Zaspy, śniegi, lody, szrony.
Strach jak biało — pusto — marno!
Groby tylko z głazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte
Śród tej bieli stoją czarno!

A gdy wspomnień tajna wola
Myśl twą rzuci na te pola,
Zda się tobie że bez końca
Po nich błądzisz nocną dobą,
I że wisi wciąż nad tobą

Ten przejrzysty trup miesiąca!
A za każdym twoim krokiem
Rozszerzają się te niwy —
Nieskończoność przed twym wzrokiem
I nad głową ten straszliwy
Krąg ci Niebios także rośnie
Coś pod ziemią brzmi żałośnie,
Cały smętarz drga jak żywy,
Z grobów wieją modły — jęki!
Głucho dzwonią gdzieś pałasze,
Twardych zbroic słychać brzęki,
Jakby dotąd ojce nasze
Pomne życia, tęskne chwały,
Tam się w trumnach przewracały
Z boku na bok — i marzyły
Mękę Polski, w snach mogiły!

Nie! co znikło, nie umiera!
Jak zaklęte czarne bóstwo
Przeszłość wraca w jawu kraje!
Patrz! grób każden się roztwiera
Umarłego ci oddaje. —
Antenatów blade mnóstwo,
Dawne króle, radne pany,
I rycerze i hetmany
Obwiązują cię do koła.
Smętarz z ludu i z kamienia
W sejm, w zjazd, w Polskę się przemienia!
Zgon się darmo wrył w te czoła;
Choć wzrok pruchnem błękitnieje,
Znać w nim Wiarę i Nadzieję!
Patrz, z pod rdzawych tych szyszaków,
Z pod tych koron i kołpaków
Bije dotąd iskra ducha,
Senatorska tli wspaniałość,
Lwi się szlachty stara śmiałość —
I niewoli wzgarda bucha!

Jam ich widział i szlochałem!
Na tej białej snów mych ziemi —
Jam ich widział — i przed niemi
Tak jak pada trup, padałem!
Na ich stopach kładł ja skronie,
I podrywał ku nim dłonie!
Tam łzą, krzykiem, sercem całem
O zgon Polski ich pytałem,
Ja, urodzon po jej zgonie:

Za co życie, w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny?
Jedno w zamian ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?
Co ich wichrem takim gnało
Po dziejowej czasu fali,
Ze tak dbając o nas mało,
Krew nam, i w tej krwi — śmierć — dali!

Ledwom spytał, ich zbroice
Zagrzegocą w głuchy dźwięk,
Z wszystkich piersi wypadł jęk;
Wszystkie zmarłe te źrenice
Z pod tych przyłbic, jak gromnice
Płoną ku mnie — razem, górą
Wszystkie wzbiły się prawice,
Przesłoniły księżyc chmurą!
I tych bladych rąk sklepienie
Drży przysięgą potajemną,
Na słów moich zaprzeczenie
W Niebo rośnie ponademną!
Tak jak rosa z polnych kłosów,
Pot mi trwogi ścieka z włosów,
A na piersiach zmora siędzie.
Ni odwrócić mogę wzroku:
Tu, przedemną, za mną z boku,

Oni stoją tłumem wszędzie!
Zewsząd słyszę ich oddechy
I pogardy słyszę śmiechy;
Patrzą na mnie ci umarli
Jak półbogi — a z ich lica
Patrzy wieków tajemnica,
I z nich każden ją rozumie,
Więc mną gardzą w świętej dumie.
Aż pogardą mi rozdarli
Serce — i serce ze stali
Gdy tak śmiechem mi łajali
Pękłoby. — O tej snu porze
Ah! pamiętam strasznie, smętno,
Więc jak mogę tak się korzę
Aż znów zerwie się namiętno
Duch mój — krzyknę: «O ojcowie!
Zdejmcie ze mnie wasze gniewy;
Kto na świecie mi tym powie
Prawdę świętą, jeźli nie wy!
Jam was przyszedł pytać o nią,
Odpowiedźcie więc synowi:
Niech się Polska wasza dowie,
Że jej duchy wasze bronią.»

Wtedy Hetman, co przy grobie
Oddalonym zwykle trzyma
Na szablicy ręce obie,
Żadnych pętlic złotych nie ma,
Ni turkusów w buzdyganie,
Jedno pancerz za ubranie;
A na rysiej z wierzchu skórze
Miasto haftów — kul przestrzały —
I na licu blizny duże —
I na czole hełm niecały!
On wódz zmarły, co tam zawsze
Na mnie oczy ma łaskawsze,
Choć z nich wszystkich najbutniejszy,
I z nich wszystkich najsmutniejszy;

Jak stał cichy i ponury
Nagle czoło wzniósł do góry,
Wyprostował się ogromnie
I szedł jęcząc, zwolna do mnie.
Jam znów przykląkł — i wzwyż głowy
Usłyszałem głos grobowy:
«Ani z soli, ani z roli,
Ale z tego co mnie boli,
Ja wyrosłem — i snać tuszę
Że ból tylko, tam na świecie
Kiedyś pysznych w piekło zmiecie —
Komu dawa Pan katusze,
Obietnice temu składa!
Słowo Pańskie, żadna zdrada —
Ono musi zbawić duszę!
Jakie lądy, jakie morza
Jam zbiegł niegdyś — wiedzą ludzie!
Za dni moich źle już było;
Jak się mogło, tak służyło
Szczerą chęcią, w krwawym trudzie
Braci szlachcie. — Łaska Boża
Nas wygnała w te bezdroża;
Niechaj będzie pochwalona!
Bo ojczyznie mojej dała
Z piekieł ziemskich wynijść łona,
Nie żyć w innych ludów modle,
Raczej umrzeć jak żyć podle —
Za to Panu wieczna chwała!

«Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
Bo to potwarz i bluźnierstwo!
A zaż ty wiesz, jak z godziny
Dni się snują, jak z dnia wieki?
Tylko zmarły — co w żałobie
Tęskni, czeka, marzy w grobie,
A nieżywy — wiedzieć może
Co czas bliski co daleki!

Co noc wieczna, a co zorze,
I co boskiej znak opieki!

«Gdyby niegdyś ojce twoi
Cudzoziemców świeckich chodem
Weszli byli do podwoi
Tego gmachu — który stoi
W koło Polski, a dziś pada!
Bylibyście dziś jak oni
Kramem tylko — nie narodem;
Sklepem śpiącej pełnym broni!
Wyście duchem co nią włada:
My nie mogli żyć w przeszłości,
Bo my znali się za gości
Innych wieków. — Wiecznie, wszędzie
Przez rozwarte dziejów pole,
Los nas pędził w wyższą dolę,
Ku tej Polsce która będzie!
I przez ojców waszych życie
Porywani dotąd skrycie,
Mimo wiedzy — wy myślicie
Ku królestwu iść Bożemu,
Co ma jaśnieć na tym świecie:
My szli także po staremu,
Wy dziś z młoda tam idziecie!

«Jedną spójnią, w jednym duchu,
Jak ogniwa na łańcuchu
Pan powiązał ojców z syny.
Ni ten łańcuch kiedy pęknie!
Wszystkim razem dobrze, pięknie!
I z krwi naszej, z naszej winy,
Nim ten jeszcze wiek przeminie,
Wyjdzie Ludów Lud jedyny.
Błogosławcie ojców winie!»

I umilka Hetman mówca;
Znów wstecz idzie do grobowca,

Grobu głazy się rozwarły,
Śród czarnego ich przełomu
Ten umarłych wódz umarły
W granitowym znika domu.

I wnet w górze się roztrąca
Rąk nademną mgła wisząca,
W oczach tają mi widm twarze —
Step się łamie — Niebo kruszy —
Znów te wszystkie mi smętarze
Zapadają w przepaść duszy!
Lecz drga w uchu, jęczy w duchu,
Jeszcze zrana, głos Hetmana —
Ze snu tego, rozwianego
Myśl ta jedna — nierozwiana!

Coraz smutniej już w przestworze,
Coraz czarniej na jeziorze!
Pogrzebowa z chmur przesłona
U gór szczytu rozwieszona —
I w nią księżyc spadł i kona!

Przebóg, siostro! co się dzieje?
To nie wiatru szum tak wieje;
Ktoś tam z cicha płacze, wzdycha —
Z nad wybrzeży jęk się szerzy;
W nocnym wietrze, przez powietrze
Tysiąc jęków do nas bieży.
Już brzeg cały — wzgórza, skały
Brzmią modlitwy głuchej kołem:
Wielki Boże! czy być może,
Duchy ojców tu ściągnąłem!

Za wodami — tam przed nami
Jak sny lekkie — lekką zgrają
Na opokach się wieszają;
Jak płomyki — jak ogniki,
To się wznoszą, to zniżają!

Do strun, siostro? uderz w struny;
By ich łacniej pieśń zaklęła
W akordowe graj pioruny
Graj im: «Jeszcze nie zginęła —»

Harfą, głosem — płacz, proś, szalej!
Pieśń rodzinna, tu powinna
Przyprowadzić ich z oddali!

Widzisz, widzisz, usłyszeli;
Na ciemnościach tacy bieli
Z skał spływają już do brzegu!
Ot! w powietrznym już pochodzie
Po tej czarnej kroczą wodzie,
Jak olbrzymie słupy śniegu!
Czy to cuda?
Czy to złuda?
Dźwięk po dźwięku
Skrzy ci w ręku;
Harfa cała
Tli i pała;
Każda nuta
Z strun wysnuta
Przestrzeń trąca
Gorejąca!
I w zwyż fali
Pieśń się pali,
Ku mar stronie
Pędzi — goni
I wciąż płonie
I wciąż dzwoni!

Przewodowo — zwolna — święcie
Przez to dźwięków rozbłyśnięcie
Idą, idą wszystkie mary;
Patrzaj, patrzaj! w dziwnej chwale
Wszyscy z trumien polskich rodem
Idą — idą przez te fale
Chrystusowym do nas chodem!

Tam buńczuki, tam sztandary,
Śnieżne pióra i korony.
Katolicki krzyż wzniesiony;
W koło herby — tarcze — znaki

I tłum szabel i szyszaki
Przeciągają — patrz! tam żywa
Twarz z powietrza się wyrywa,
Twarz, czy widzisz, Anielicy!
Jak gwiazdeczka na ciemnicy
W górze, w górze zawieszona
Wschodzi — weszła, tli, drga, płonie!
Ot! z błękitów i szkarłatów
Już otęcza ją przesłona!
Na tle z pereł, na tle z kwiatów
Diamentowa lśni korona —
W krzyż na piersiach zwite dłonie,
Złote gwiazdy na jej łonie;
Czy poznajesz ty, kto ona?
Witaj, witaj — to królowa
Po swym ludu długo wdowa,
I dziś wraca w tej koronie
Którą w polskiej Częstochowie
Niegdyś dali jej ojcowie;
I tych ojców, przez te tonie
Patrz! prowadzi:

Nie graj więcej,
Z fal tych, drugiej takiej tęczy
Nasza harfa nie wydźwięczy
Ni te Duchy tu przynęci!
Już ich tknęło światło Boże
I gdzieś spieszą zbrojnie, skoro
Złotem w okół lśni jezioro,
Na ich hełmach błyska zorze;
W dawnym polskich bitew stroju
Przebóstwieni, rozzłoceni,
Przesuwają się w przestrzeni
Jakby znowu szli do boju!
Srebrne skrzydła w zbroję wtknięte,
Im z nad ramion w górę lecą,
Jak anielskie skrzydła świecą.
Turkusami zbroje spięte,



Z żywej stali rękawice,
Strusie pióra wyżej głowy,
I dobyte do połowy
Damasceńskie ich szablice.
Każden oczy ma wzniesione
W przeanielską patrzy Panią
I po falach stąpa za nią
W nieskończoną jakąś stronę;
I miecz dławi w swej prawicy
Wyżej serca, na zbroicy
Jakby miał się ku obronie
Tej lecącej, w gwiazd koronie:
A królowa ta nie z ziemi
Jak sen wije się przed niemi
Coraz dalej —

Pani! Pani!
Wszak z pomarłem sług plemieniem
Ty zstępujesz do otchłani
Po raz drugi zdeptać węża!
Wszak z nowego wieku dnieniem
Sprawiedliwość się odnowi,
I ty powiesz szatanowi,
Że lud polski Twój — zwycięża!

Uderzyła łask godzina!
Znowu Tobą i przez Ciebie,
Myśl przedwieczna, żywa w Niebie,
Żyć pod Niebem rozpoczyna.
Płyńże, płyńże Liljo Boża
Po za lądy, po za morza,
Nad piekielne wzbij się jary!
Świeć im oczu twych spojrzeniem,
Niech przepada kłamca stary
Który wieków był złudzeniem;
U stóp twoich on polęże,
A ci zbrojni, polscy męże
W pierś mu wetkną miecz ze stali.

Podeptają w imię Boga
Odwiecznego ludzi wroga
Wszakżeć na to z grobu wstali!
Wtedy, wtedy na tym świecie
Wzrosną życia kształty trzecie!
Wtedy, wtedy nam z powieki
Pan łzy otrze — i na wieki!

Wiem już teraz o Ojcowie,
Gdzie z Królową tą w szkarłacie
Tak spieszycie — przemijacie!
Ale czyjże głos mi powie
Kiedy nazad, z tej oddali
Na tę ziemię powrócicie?
By i żywi w złotym świecie
Z letargowych trumien wstali!

Już daleko wy na fali!
Coraz dalej, coraz dalej —
Ku wschodowi, ku jutrzence
Lśnią wzniesione wasze ręce!
Na te góry, na te brzegi
Dnia już padły jasno gońce;
Czerwienieją skał tych śniegi,
Mgła się płoni u wód końca,
Za nią pierwszy promień słońca!
I te białe ich szeregi
Idą prosto w to wschodzące,
Wielkokrężne, złote słońce!
Płoną, mdleją, nieznacznieją,
Już ich nie ma — z tych topieli
Poszli w światło i zniknęli,
Poszli z światłem — i z nadzieją!

Nic nie ujrzeć już w przestrzeni
Prócz lazurów i promieni! —
Znów spokojna toń jeziora,
Znów te skały i te góry,

I to Niebo, i te chmury
Tak jak zawsze — tak jak wczoraj!

Noc minęła — lecz z jej cieni
Wiara w piersiach się została?
Ni tej wiary los odmieni;
Naszą, naszą przyszłość cała!

Chciałbym objąć te błękity,
Tych wód brzegi, tych Alp szczyty,
Ten widnokrąg objąć świata,
I przycisnąć świat, jak brata
Do mych piersi — bom szczęśliwy!
Wszystko moje, wszystko piękne.
Moje ziemie, Nieba, niwy!
Z skał tych, życia głos wydźwięknę,
Bo w mem sercu Słowo Boże!
Wszędzie cuda — wszędzie dziwy —
Ja roztopię się w przestworze!
Ja ci mówię, żem szczęśliwy.
Polska moja — Polska będzie!
Dzięki wszystkim i wszystkiemu,
W wieki wieków dzięki wszędzie
Bogu, duchom, ludziom, tobie —
I umarłym dzięki w grobie,
I każdemu kto jest żywy;
Temu światu wszech całemu
Wieczne, wieczne dziękowanie!
I powietrzu powiem: Panie!
Dzięki tobie — bom szczęśliwy!

Wszystko ludzkie znika — ginie —
Prysła ziemskich chwil zawiłość:
Myśl już pląsa w tej krainie,
Gdzie wszechświatło i wszechmiłość!
Z dusz się naszych wzbił duch trzeci,
Wyższy od nas, niepojęty —
Bo nam w piersiach wre i świeci,
A zarazem w górę leci,
Już z tych piersi w niebo wzięty.

I w tej chwili przemienienia
O pamiętaj: wspólnym wzrokiem —
Tej istoty trzeciej okiem —
Jej, nie naszym — my ujrzeli
Głąb rozkrytą przeznaczenia.

Czy pamiętasz? my widzieli,
Gdzie? ja nie wiem, nie powtórzę —
Ni na dole, ani w górze,
Ni na wodach, ani w chmurze —
Lecz w bezdennej gdzieś topieli,
Gdzieś w odwiecznych świateł bieli,
W próżni — kędy się przed nami
Niewidzialne wskroś rozdarło,
Jak ocean się rozwarło
Po nad czasu przepaściami!
Oto nagle, tam, ujrzeli
Jak się Polska, Polska cała
Jednem widmem zmartwychwstałem

Archanielsko wielkiem, białem
Z dni przyszłości wychylała,
I na głębi dni tych stała,
Jeszcze widna — niby ciałem —
Lecz już w wieczność przebóstwiona;
Nieśmiertelna, nieskończona!

Jak blask słońca, tak jej lice!
I z błękitu ma źrenice —
A jej wzrokiem błyskawice!

Nad jej czołem z krwi korona,
Wieniec wspomnień purpurowy,
Lecz już przeszły wszystkie bole:
I duch Boży na jej czole —
Na około już świat nowy:

Na zerwanych jej kajdanach
Miecz u piersi zawieszony!
Na tym mieczu trzy korony,
Po trzech dawnych świata Panach!

Choć już złego wiek skończony,
Na tej miecza rękojeści,
Oplecionej w trzy korony.
Rękę dotąd trzyma ona!
I ta ręka krwią znaczona
W Chrystusowy znak boleści!
I z tych koron czasem błyska:
I ta ręka wtedy ściska
Miecz olbrzymi — a z tej ręki
Na pamiątkę wiecznej męki
Krew w Wieczności jeszcze tryska!

A tam za nią, tam, wysoko —
Tam, daleko — tam, głęboko —
Za nią, w czasie i w przestrzeni,
Na tłach z światła, na tłach z cieni,

I z stron wszystkich, w koło, wszędzie
Jak mgły w ogniu, w tęczach pary,
Zewsząd wstają Boże mary
Tego świata, który będzie!
Lecz już nie tak jasno-białe,
Mniej olbrzymie i wspaniałe,
Ni znaczone krwią przeszłości
Bohaterską krwią męczeństwa,
Tą boskością człowieczeństwa!
W znak królewski — śród Ludzkości.

Wszystkie płoną pierwszym wschodem
I potęgi — i zwycięztwa —
Każda wielkim jest narodem,
Ale tylko z niebios rodem,
A nie rodem z swego męztwa!
Młody listek ich wawrzynu —
Nie wywiodła ich z smętarzy
Nad zgon, wyższa wola czynu!
Ni im dano czem śmierć darzy!
Bo jak ojciec, grób ich skrycie
Nie wyuczył ścieżek Pana!
Wtóra mądrość im nie dana,
Pierwsze tylko dane życie!

Patrzaj, patrzaj! z chmur powodzi
Coraz więcej widm tych wschodzi;
Na ich skroniach róże wiosny —
Maj nadziei, maj żywota!
W ich spojrzeniach cisza złota —
Na ich ustach hymn radosny,
A pod niemi drży w przestworze
Szafirowych świateł morze.
I tam wszystkie przechylone
Z szczytu wieków swych patrzają,
Wszystkie, wszystkie obrócone
W archanielskiej Pani stronę,
Coraz niżej się schylają!

Widzę, widzę! — wzniosły ręce
Rwą ze skroni życia kwiaty,
Rwą — ciskają życia wieńce
Pod jej stopy — na Jej szaty!
Leci tuman róż w przestrzeni —
Na tem Niebie każda róża
Nagle w iskrę się przemieni,
Wieniec każden tęcza tryśnie!
Spadająca kwiatów burza
W jedną zorzę się rozbłyśnie,
I w powietrzny płaszcz z promieni;
W karmazynu wielką chmurę,
Archanioła opierścieni!
Polskę moją — w jej purpurę?

Wszystkie, wszystkie Duchy Ludy
Na szafirach swych do koła
Pochyliły przed nią czoła
Jeszcze głębiej niźli wprzódy!
Rozkochane, zachwycone —
Widzę, widzę — już przyklękną;
W niej uznały Boże piękno,
Dadzą jej świata koronę!

I przyklękły i słyszałem
Głos, co woła w wiecznem Niebie:
«Jak im Syna niegdyś dałem
Tak im, Polsko! daję ciebie!
Syn mój jeden był — i będzie,
Lecz myśl jego żyje w tobie;
Bądź więc prawdą jak On, wszędzie;
Ja cię Córką moją robię!
Gdyś do grobu zstępowała,
Byłaś cząstką człowieczeństwa!
Ale teraz, w dniu zwycięztwa
Imię twoje: Ludzkość cała!
Ziemia tobie powierzona
Byś ją wiodła czynu torem,

Aż się staną jej plemiona
Jednym Ducha arcytworem.
Wzbij się w bezmiar nieskończony
Nad ubiegłych lat padołem,
Wtedy pójdą te miljony
Za planety archaniołem!»

I ujrzałem Archanioła
Postać, w bieli i w purpurze
Z nad klęczących ludów koła
Podnoszącą się ku górze!
Obrócone w zwyż jej oczy,
Lecz ku Duchów Ludów stronie,
Wyciągnięte na dół dłonie —
I tak znika śród przeźroczy.

W tę porwaną patrzą postać
Rozklęczone Duchów grona —
Już nie mogą w dole zostać,
Już się wzięły pod ramiona
Pojednane, połączone —
Wzbić się muszą tam gdzie ona
Wichrem Bożym poniesiona,
W coraz wyższą, wyższą stronę!
I zerwały się pospołu
Z szafirowych niw padołu:
Za mą Polską — jak za słońcem
Popłynęły już do góry,
Narodowe, ziemskie chóry;
Popłynęły tak jak chmury
Opasane tęcz tysiącem!

I ujrzałem — wszechświat cały
Jak myśl jedną, która płonie
Skier miljonem, w jednem łonie!
Ach! widziałem Bożej chwały
Wszechprzytomny kształt — bez końca!
Komet, planet wiry, kręgi,

Nad wstęgami gwiazd — gwiazd wstęgi —
Nad słońcami jeszcze słońca!
Wszędzie światów, tak jak kwiatów
W lazurowym tym ogrojcu;
I przez światła oceany
Jeden życia dźwięk rozlany,
Pieśń wszechgrzmiąca, wszechjedyna,
Niebieskiego świata Syna,
O niebieskim Bogu Ojcu!"
I przez wszechświat ten do Boga
Szła Narodów ziemskich droga;
I wciąż Polska moja przodem
W nieskończoność z ludzkim rodem
Tam leciała —!

Czyje oko
Ją dosięgnie tak wysoko?
Kto uderzy ziemskiem czołem
Aż o stopy Stworzyciela?
Kto poleci z Archaniołem
Tam gdzie Ludzkość się odwciela?
Już mi w piersiach serce mdleje —
Obraz znika, myśl się chwieje.
Siostro moja! czym w mogile?
Mnie tak słabo, konająco —
O, jam prosił tak gorąco,
Jam się modlił Bogu tyle,
O tę jedną, jedną chwilę
I ujrzałem —!

W tej godzinie
O pamiętaj, żeśmy byli
Na najwyższej dusz wyżynie —
Tam, zkąd źródło życia płynie;
My u źródła życie pili!
Oko nasze już chwytało
To co jeszcze bez imienia;
My na wolność rozpętali

Z głuchych więzów przedstworzenia —
To co jeszcze w nich drzymało,
I na chwilkę temu dali
Co Bóg daje — kształt i ciało!
Siostro moja! my tej chwili
Naszą wieczność już przeżyli.

Zrzuć więc smutek, zrzuć więc trwogę,
Daj mi rękę w jedną drogę!
Wiem co trudu na niej jeszcze,
I co bolu — i co klęski;
Ale ufaj w czucie wieszcze,
Już nam błysnął świt zwycięzki!

W tę Ojczyznę nieśmiertelną,
Mimo działów niepodzielną,
Na tę ziemię ukochaną,
Na tę naszą — naszą ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemię;
Jakich jeszcze nie widziano!

By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana po nad Pany,
Duch im prawdy z Nieba dany
I z ich starą krwią się zleje!

Gdzie nam dotąd śni się mnóstwo
Cząstek, rozdział lub rozbicie,
Tam już dla nich jedno Bóstwo,
Jedna miłość i wszechżycie!

Krwią się brzydzą, choćby winną!
Duch już przez nich tylko stwarza,
I gdy stworzy ziemię inną,
Nie ma na niej już zbrodniarza!

Nie ma także podrzędnicy!
Bo niewieście w końcu serce
Po lat długich poniewierce
Błysło z pączka tajemnicy!

Dawne pany biorą sami
Swe, za dłonie, niewolnice
By jak duchy iść z duchami,
I wstępować na stolicę!
Przemieniony ten planeta
Już zapomniał co kobieta —
Wie, co bracia i siostrzyce!

I świat nowy ten radośnie
Jak świątynia Panu rośnie;
W polskim kraju, w polskim raju —
Na wiekowych nieszczęść niwie
Już nie pusto, ni żałośnie;
Nigdzie, nigdzie, już nie ciemno,
Ani za mną, ni przedemną!
Wszędzie jasno, sprawiedliwie!
Zrozumiana przeszłość święta,
Zrozumiane czyszcza męki,
I ten kielich z kata ręki,
I te krzywdy, i te pęta,
I Duch złego, który kusi
Do podłości serce dzielne —
I to serce, które musi
Wstać z tej śmierci — nieśmiertelne!

Duch twój nigdy już nie skona,
Polsko moja przemieniona!
Po nad ziemskich szum zawiei,
Tyś się wzbiła w kraj idei —!
Inni pomrą bez nadziei,
Śród otchłani lub w dolinie,
Lecz ty stoisz na wyżynie!
U stóp twoich czasu fala

Niech się pieni i przewala:
Wszystko przejdzie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie,
Co widome tylko oku;
Lecz Idea nie przeminie!

Ty nie jesteś mi już krajem,
Miejscem, domem, obyczajem,
Państwa skonem, albo zjawem:
Ale Wiarą — ale Prawem!
Ten już odtąd Bogu kłamie,
Kto cię zdradzi, kto cię złamie;
Bo myśl Boga w twojem łonie
I los świata w twym Zakonie!

Wiekuisty ojców Boże!
Ty, co górny i daleki,
Coraz jaśniej w nas przez wieki
Tu zstępujesz — i jak zorze
Z bram wieczności, w czasu tonie
Skry Twe sypiesz, aż czas spłonie!
Teraz idzie znów zaranie,
Które dajesz nam z miłości;
I po grobach zadrżą kości
W szelest hymnu, Tobie Panie!

Darmo — darmo nasze wrogi
Ach! bluźniły, żeś bez serca,
I mówiły, żeś morderca!
Tyś umarłym wytknął drogi
Co w niebieskie wiodą progi,
Aż wskrzeszonych zmienią — w Bogi!

Za ból ciała — za ból duszy,
Za stuletnich ciąg katuszy
Dziękujemy Ci o Panie!
Choć my nędzni, słabi, marni,

Z naszej wszczęło się męczarni
Twe na ziemi królowanie!

My jak prochy, my jak pyły —
I wywiałeś nas z mogiły,
I nam rzekłeś: «O tej porze
Z was, ja wszystko nowe tworzę.» —
Prochy, lecim już w przestrzenie —
I w piorunach Twego głosu!
«Światło stań się» — śród chaosu
Z prochów stały się — promienie!
I do świata, który kona,
Tyś nas posłał nazad w gości,
By promyki z Twego łona,
My świadczyli o przyszłości!

Wiekuisty ojców Boże,
Błogosławim Ci w pokorze!
Gdy wiek wieków się przemienia,
Przed Twym tronem nasze Duchy
Zapadają w przepaść skruchy,
W śmierć przed Tobą — z uwielbienia.

Alleluja! — dniom boleści
Wnet skrzydłami zaszeleści
Anioł, zwiastun dobrej wieści!
Alleluja! — moc szatana,
Co udawał ziemi pana,
Już na ziemi pokonana!

Niby skryte zło w naturze
Od początku walczył z nami,
Chadzał dumny w wiatrów chórze.
Wył na fali, grzmiał na chmurze
I zabijał piorunami!

Chwila jeszcze a upadnie,
A gdzie czoło w pył pokładnie,
Ze zwłok jego się przetworzy,
Przeanieli, wydobędzie
Inna postać — seraf Boży
Co planety stróżem będzie!
I przejasnych widzeń darem
Po za trumien czarnym jarem,
Żywem wskaże białe raje
Gdzie Duch zmarłych zmartwychwstaje!

Wszystkie, wszystkie sprzeczne siły
W jeden nastrój się złączyły,
Jedna drugiej nie przeklina —
Wirującym ziemia jękiem
Już przestworu nie przecina;
Lecz szczęśliwa, brzmi i śpiewa,
Harmonijnym śpiewa dźwiękiem!

Słabszych silny już nie gniecie;
Tak jak w Niebie — na planecie
Wszystko świętej woli słucha;
Martwa dotąd bryła Ludu
Już przekuta dłutem cudu
W nieśmiertelny posąg Ducha!

Piersi ludzka na śpiew się sil:
Wił się wieków rój
I walk mijał stek;
Lecz skończony bój,
I szczęśliwy wiek
Ujrzy chwilę chwil!

Nie widział wzrok, nie słyszał słuch,
Jaka piersi głąb,
Jaki serca czar;
Myśli twórcza zstąp,
Daj przebudzeń dar,
Niech się ocknie Duch!

Długo trwała snu tego moc —
Uwierzyli weń,
Wieczny ból i trud!
To przybytku sień —
To po wschodach, wschód,
To zasługi noc!

Piersi ludzka, kędyż twój srom?
Spojrzyj w siebie — patrz!
Gdzie wrzał dawniej płacz,
Stęk, zgrzytanie, wrzask;
Dziś z niebieskich łask
Drugi Boży dom!

Rozszerzyła się piersi cieśń
W niezmierzoną błoń,
W jasnowidną toń!
Jeden z Nieba kwiat
Przyszłych wieniec lat,
Jedna w Bogu pieśń!

———

Tak śród przedświtów lepszego poranka
Marzył wygnaniec, marzyła wygnanka!
Co czuli w sercu, rzucili w te słowa;
Lecz słowo tylko — to marna połowa
Arcydzieł życia: modlitwa jedyna
Co godną Stwórcy, od hymnu się wszczyna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;
Co głosem śpiewa, to wciela pomału
W kształt dotykalny — aż tak jak Duch Boży
Świat rzeczywisty w okoł siebie tworzy,
Równy pięknością, światom Ideału!
Taką nam odtąd modlić się potrzeba;
Bo póki łódka na marzeń jeziorze,
Falę natchnienia w samotności porze,
Myśl tylko weszła, nie człowiek, do Nieba!

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni nie pojmą szyderce,
My już w niej całe wyśpiewali serce,
I tu jest nasze ze Słowem rozstanie!
Niech nucą jeszcze dzieciątka niewinne,
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję,
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zgińcie me pieśni — wstańcie czyny moje!

Lecz ty piękności, którą ukochałem,
Siostro jedyna, w mojem życiu całem,

Ducha mężkiego niewieści Aniele!
Czuwaj nademną — i zostań się przy mnie
Aż zginę, cząstką, w trudów arcydziele —
Aż skonam, zwrótką, w poświęcenia hymnie!

DZIEŃ DZISIEJSZY.

Tuż ich zwiędło w samem życia maju,
Czy w własnych domach, bez domu i kraju —
Czy na wygnaniu! — I milczeli długo
Z dziwnym uśmiechem nad zadziwem świata,
Co im chciał darmo Ojczyzną być drugą —
Milczeli z dziwną litością przez lata.
Aż wpadli w niemoc, lecz w skonu godzinie
Dan im wzrok w przyszłość cudowny — proroczy —
I onę Świętą widzieli na oczy,
Co nie zginęła i nigdy nie zginie!

Możem ja zasnął — umarłem już może,
Dajcie mi pokój przyjaciele moi:
Próżno mnie wskrzeszać — nic mi nie pomoże,
Nikt rany mojej, pod niebem, nie zgoi.

Jam bardzo smętny — jam bardzo znużony —
A jednak muszę pójść tą drogą ciemną,
Kędy z was żaden nie pójdzie dziś ze mną —
Zdejmcie mi z serca waszych uwag szpony!

Dajcie mym skrzydłom wybujać z tych cieśni,
Już i tak długo byłem z wami razem;
Wy życia tylko rozbitym obrazem —
We mnie brzmią głosy nieznanych wam pieśni.

Na co czekacie, czegóż jeszcze chcecie,
Czy żebym przystał, że dobrze na świecie?
Czy żebym płakał, że umieram młody,
Lub też zapragnął pośród ludzkiej trzody

Zostać i starzeć? Zaprządz się do pługa
Wić się po ziemi jak ucisku sługa
Czuć tylko w nocy — w dzień działać inaczej?
Niech Bóg wszechmocny przebaczyć wam raczy!

Nie pójdę w starych ojczyzny kościołach
Zasiąść do biesiad na braci popiołach
I katów zdrowie pić w Boga imieniu —
Wolę tu skonać w zgrozie i milczeniu.

Czemu patrzycie takim dziwu wzrokiem,
Jakbym was urzekł szaleństwa urokiem?
Ja brat wasz, człowiek, ja na was spozieram
Z miłością brata — i cicho umieram.

I prawdę mówię pod skrzydłami śmierci:
Kraj wam trzy sępy rozdarły na ćwierci,
A sprządz go nazad wolą nie umiecie!
Z was niewolniki też dotąd na świecie.

Darmo z natchnieniem czyn pogodzić chciałem —
Ciało w Myśl natchnąć i Myśl stworzyć Ciałem.
Ah! nie czas jeszcze z lotnej marzeń wstęgi
Snuć węzły życia i wieńce potęgi!

Nad grobem świętym, nędznych waśni sporem,
Nie Chrystusowym płomieniem my gorem;
Jedni w bojaźni swej się zasklepili,
Drudzy żądają gwałtu w każdej chwili.

Śni się wrzeszczącym, że Lud się przez rzezie
Rzeką krwi bratniej do Raju przewiezie!
Boże pioruny, nie ziemskie trucizny,
Z upadku, martwe dźwigają ojczyzny!

A czy wy wiecie, wy, na podłość chorzy,
Lub na bezrozum — gdzie ten piorun Boży?
On w piersi ludzkiej drga — i zwie się Miłość —
I on rozcina tu losu zawiłość!

Tem, że się brudem szatańskim nie plami,
Mści się straszliwie po nad szatanami,
Ryje na czole im potępień znamię
I z krzywd budowne cesarstwa ich łamie.

Wiedzcież gdzie zemsta, gdy tak zemsty chcecie;
Kto strachem wzgardzi, a nie tknie się zbrodni,
I wskaże światu świętość Polski — w świecie,
Ten w arcy-zemstę czyny swe zapłodni.

A czas zwyciężyć już, o przyjaciele!
Nie rozumiecie może, dni za wiele
Na martwych myślach wyście przeigrali —
I na wosk zmiękły wam serca ze stali. —

O pójdźcie, pójdźcie przez rodzinne sioła,
Przez łąk zielenie i przez kłosów fale;
Tam w kłosie każdym szemrzą ziemi żale,
Tam lilja polna o pomstę zawoła!

Szum tylko borów słychać tam w przestrzeni
A w borach groby z zielska i kamieni,
A w każdym grobie męczennik spoczywa —
I nad nim sosna hymn umarłych śpiewa!

Na pola w okół tajemnie grabarze
Kopią w głąb ziemię — i broń poszczerbioną;
Obrazy świętych i stare ołtarze
Na pył rozbiwszy, rzucają w jej łono.

By nie stał żaden przed oczyma ludzi
Pomnik dni dawnych; by ziemia ta cała
Nagim, bez krzyżów, smętarzem się stała —
Gdzie z snu wiecznego mój lud się nie zbudzi.

Ach! u bram miasta — patrzcie — tam w dolinie —
Rota żołnierzy o brzasku godzinie
Strzelby nabija — i stoi — i czeka
Na wóz ten czarny, na tego człowieka,

Co zwolna jedzie, w śmiertelnej koszuli,
Skazan od sędziów, by poległ od kuli
Za to, że wygnan, śmiał wrócić na łany,
Gdzie ojców rola i braci kajdany.

Starców i sierót lud za nim się tłoczy —
Słońce z za wzgórzów wznosić się zaczyna —
Dzwon z wieży słychać — to zgonu godzina!
Lud podniósł w niebo obłąkane oczy!

On zstąpi z wozu — on w jaskrawe słońce
Spojrzy jak orzeł i słów kilka doda:
«Chleb ten był gorzki i zatrutą woda,
Którąm żył tutaj —! Teraz na tej łące

Upaść mam ciałem jak nieczułe brzemię:
Jedna myśl tylko mej duszy się śniła —
Tę myśl jak ziarno rzucam na tę ziemię,
Niech dziś się skryje — by jutro odżyła.»

Gdzież jestem? — co się ze mną dzieje?
Ten obraz cały tak prysnął przedemną —
Mgła mi śmiertelna jakaś w oczy wieje —
Lud — łąka — miasto — zapada w noc ciemną —

Jakby mój naród zapadał w otchłanie!
Dni tylem płakał i prosił Cię Panie
O błysk nadziei! — Podajcie mi ręce —
Ja nie chcę skonać w tej zwątpienia męce!

Trzymać mnię, ścisnąć, przykuć mnie do ziemi —
Ja tu chcę zostać z temi umarłemi;
Lub nim odejdę, przeczuć w mojej duszy,
Że duch zmartwychwstań ich prochy poruszy.

Mówcie co do mnie — już nic nie wiem, zgoła —
Czy tam nie widać mojego Anioła,
Który obiecał — czy to mi się śniło?
Śnieżnem mnie skrzydłem przykryć pod mogiłą!

On stoi — widzę — niech chwilę poczeka —
Co będzie z Polską? Patrzcie! — Do człowieka
Całkiem podobny! Czyż to twarz Anioła?
Nie — to mój szatan, który na mnie woła!

Znam cię dusz słabych siwy kusicielu,
Tyś przepsuł wiarę — zatruł miłość wielu;
Wiem — ty przyszedłeś w ostatniej godzinie
Mnie prorokować, że mój naród zginie?

GŁOS SZATANA.

Ja jestem Rozum — ja jestem Konieczność!
Nie Czas mi bratem — ale siostrą Wieczność;
A choć mnie ludzie przezwali Szatanem,
Moj Duch świat stworzył — i ja ziemi Panem!

Ostatni jesteś z wielkiego plemienia,
Ostatni jesteś z Bohatyrów rodu,
Żyłeś bez domu — umrzesz bez imienia —
Zwiany jest z ziemi ślad twego narodu.

Matką ci mara upadłej swawoli —
A bracią twoją, proch co gnije w trumnie!
Życiem twem było tylko konać dumnie,
Lub siać łzy marne na nicestwa roli!

Śmiercią trza umrzeć — śmierć jest poświęceniem —
Gdy niepojęta, tylko wtedy karą,
A gdy ją pojmiesz, Rozumu ofiarą,
Przez zgubę cząstek — całości zbawieniem.

Tem bieży potok, że fale mijają,
Tem ogół stoi, że szczegóły płyną;
Tem Ludzkość żyje, że narody giną,
I trwa tem Wszechświat, że światy konają.

Lud twój się dostał drugiemu Ludowi
Na krew i pokarm. — Ojców twych spuściznę
Wróg dziś przerobił na śmierć i zgniliznę:
On życie świata tą śmiercią odnowi.

Bo w piersi weźmie zagadkę przyszłości,
Którą rozwijać — nie wam było dano!
On ją rozetnie, depcąc wasze kości —
Śpijcie na wieki: wam Noc, jemu Rano!

Lecz ty odpowiedz! — na coś z umarłemi
Zawarł przymierze? Czemuś w blaskach słońca
Żyć nigdy nie chciał, lecz w czarnej zaciemi
Sny swe jak lampy rozstawiał bez końca?

Darmo się zżymasz, przegrałeś w tym boju —
Rozum na ciebie raz ostatni woła:
Przed koniecznością ugnij wreszcie czoła,
Zrzuć z duszy upór — a zaśniesz w pokoju!

Uznaj, że dobrze i mądrze i święcie;
Klęknij przed zgodą widomą w zamęcie,
Co sprzęgła razem w okrąg nieskończony
Trumny pogrzebów i życia korony!

A w tem uznaniu schwycisz wieczność całą,
Myśl twą pojednasz z naszej myśli chwałą,
I wtedy będzie darowano tobie,
Żeś wprzód nam bluźnił — płacząc gdzieś na grobie!

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Jakolwiek straszny ten czarny Jegomość,
Zda się rozległą ma rzeczy świadomość.

DRUGI.

Mógłby on dużo nam ująć cierpienia
Przez myśl tę nową, co sprawy tor zmienia.

TRZECI.

Kołowrot w głowie i tamto, i owo —
Lecz czuję wielką obrazę sercową.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czemu bledniecie? obróćcie się ku mnie —
Bracia, nie patrzcie w posępną twarz jego!
— On duchem wprawdzie — ale duchem złego,
Fałsze więc prawi nadęto i szumnie.

Ah! gdzie mój Anioł — ten siostrzany — biały —
Co miał przyjść po mnie — czemu nie przybywa?
Sam głos twój tylko pieśń zgonu mi śpiewa —
Lecz nie drżę, Duchu — boś nędzny — boś mały.

Boś jedną tylko Wszechżycia połową;
Niedopełnienie — wieczna twoja dola!
Z ust twoich płynie wiecznej śmierci słowo,
Bo wiesz co przymus — a nie wiesz co wola!

Żądza serc wielu może pod mogiłę
Zstąpić jak Anioł — i anielską siłę
Wlać w kość i popiół — nazad stworzyć naród;
Bóg w Wolę ludzi rzucił cudów zaród!

Byle się nigdy w pychę nie spodliła,
W cud się zolbrzymi — wciąż wzrastając Czynem!
Pycha — to karłów zbuntowanych siła —
Wawrzyn jej zwycięstw — na krótko wawrzynem.

Taki dziś kwitnie na tych lubych czole —
Ich tryumf głosił w człowieczeństwa kole!
Lecz wierzaj Duchu — Ciału bez Idei
Nie zwiastuj nigdy nic, prócz — Beznadziei!

Pogromcy wieków na dziejowej niwie,
Tak jak my walczym, walczę nieszczęśliwie,
Jak my, po grobach żyją — nie na słońcu —
A czemuż, powiedz, ich wygrana w końcu?

Czemuż przed niemi na wydarzeń polu
Świat wreszcie zadrży z niewymownej trwogi?
Na niebie — z niebios pospadają Bogi —
Na ziemi — Cezar spada z Kapitolu?

Bo wciąż się z tobą pasowali, Duchu,
Gdyś na ucisków trzymał ich łańcuchu;
Bo wolni w wolnych głębokościach woli
Przysięgli wtedy — że i śmierć nie boli!

Coś nieznanego stworzyli pod słońcem —
Stworzyli hańbę na wieki, dla ciebie,
Stworzyli ciało śród katów — a w niebie,
I krew z żył wzięta męczarni tysiącem.

Która wciąż świadczy o Dobru i Pięknie! —
Mówże, u jakich piekieł znajdziesz proga
Moc, co się woli praw strasznych nie zlęknie,
Gdy cierpi w świecie — a poczęta z Boga?

I dziś jak niegdyś, wytknięta jej droga
Łaską niebieską — i dziś zdoła wroga
Obalić ona — i zespoi razem
Słowo dni zbiegłych z przyszłych dni wyrazem.

Konieczność, Duchu, jest sługą wolności.
— Ten żyć nie umie — kto prawa nie rości
Myśl wieczną wcielać — ale w swoje ciało —
A kto męczennik, temu się udało!

Zdejm z nas twój Rozum bez Czynu i Woli,
Nie nam przydatny, tylko tobie k'woli
Byś karki ludzkie jak podłe bydlęta
Na dół przeginał i kuł w hańby pęta.

Wieczna pokora w łzach i krwi — przed Bogiem —
Bunt nieśmiertelny w łzach i krwi — przed wrogiem,
To los nasz — zakon — to nasze sumienie —
Przeszłości chwała — przyszłości zbawienie!

Idź innych zwodzić. — Tyś duch cudzoziemiec!
Gdy zbrodnię jaki gdzie spełni morderca,
Wraz ją uprawnisz teorją bez serca —
— Tyś idealny Moskal — chybaś Niemiec!

I prawdęś wyrzekł. — Ja żyłem na grobie!
Wszystkie kajdany wszystkich moich braci
Mnie skrępowały — zmarniałem w żałobie —
Lecz Bóg mi wstydem twym ból ten odpłaci.

Zanim na łożu tem ciało me skona,
Zjawi się duszy mej dusza rodzona —
Zjawi się, wróci — obiecała przecie —
Raz mnie ostatni gdy żegnała w świecie.

Widzę, pamiętam — gasnąc na mem ręku
Tak mi przyrzekła — i zagasła w jęku!
Mówię ci Duchu, że z niebieskich błoni
Wróci tu do mnie i przyszłość odsłoni!

Precz ty uciekaj przed tem objawieniem,
Bo z ust twych wścieklizn lać się będzie piana,
Albo też padnij mi tu na kolana
I Polskę uczcij serca nawróceniem!

Coś ty mi radził, ja ci radzę teraz,
Radzę i szczerze — wielu zwieść i nieraz
Jeszcze ty możesz — lecz to nie wygrzebie
Z grobu przyszłości ni twoich, ni ciebie.

Za to że wiarą twą był topór kata —
Że twą pięknością — co podłe a harde —
Skazany jesteś na plwociny świata,
Skazany jesteś na wieków pogardę.

Patrzcie! — on znika — bracia! już go nie ma!
W sercach się wszystkich tylko strachu zima —
Na licu waszem tylko zwątpień znamię
Po nim zostało — ożyjcie, on kłamie!

Na walkę, bracia — na godność bez końca
Wyście skazani. — W ciepłem świetle słońca
Zwierzętom igrać — lecz wam działać trzeba;
A przez Czyn ziemi przychylicie nieba!

Jam ciężko grzeszny — wyznaję — o bracia —
Bom dał zamieszkać w sobie tej żałości,
Co z czucia w końcu w krew się przepostacia
I myśl zatrutą przewcieli w szpik kości.

Mnie smutek zabił — mnie gorzkie koleje —
Mnie, gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń —
Mnie, krok leniwy ognuśniałych zdarzeń —
Mnie, te dni naszych wciąż tak podłe dzieje!

Jam pił za nadto z krynic mętnych łzami —
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem!
Wiek wołał «czekaj» — rok, ciągnąc za rokiem,
Codzień świeżemi witał mnie trumnami!

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem,
Miłości moich — krzyże — tam po błoniach.
Gdzie blado jeźdce śpią przy śpiących koniach.
Z orłem na piersiach — sennem, krwawem, białem!

Gdzie leżą w węgiel rozsypane chaty,
A w bagnach rosną niezabudek kwiaty,
I czajka woła — jak wprzódy — na dzieci,
I słońce cicho nad równiną świeci!

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem,
Ciężko mi — ciężko — pod wspomnień nawałem;
Czemu nie wraca moja utracona —
Ta, co mnie kocha za grobem — gdzie ona?

Nikt z was nie widział piękności na oczy,
Bo piękność dotąd gdzieś jeszcze w zamroczy!
Zwolna kwiat ziemi z toni wieków wzrasta;
Lecz przyjdą czasy — lecz kiedyś się zjawi
Córka człowieka i Boga — Niewiasta!
I męskie serca od śmierci wybawi!

Ah! ona była nadejścia jej wskazem,
Zorzą przeczucia w ciemnych nocy kole,
Wolnej a świętej — odbitym obrazem
Z nieba dni przyszłych na tych dni padole!

Widziałem niegdyś jak wszyscy klęczeli
Plotąc jej z kwiatów więdniejących wieńce!

Ona, na sercu w krzyż złożywszy ręce,
Gardząc, mijała grono kusicieli.

Jak mgły pod słońcem szaty się jej śnieżą,
Na ciemnych włosach z jasnych róż korona,
I z czarnych rąbków na głowie przesłona,
Pod którą róże — jak w śnie smutku — leżą.

I tak szła zwolna przez tłum ludzki cały,
Jak siostra zmarłych, milcząca z żywemi,
Jak córka Bogów, samotna na ziemi,
Duch — wszystek z bólu i z promieni chwały!

Ah! teraz wszystkie — te wszystkie obrazy
Walą się na mnie jak grobowe głazy,
Mówcie mi bracia — spokojnie pacierze —
W ostatnich zgonu podrzutach już leżę!

— — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — —

CHÓR PRZYJACIÓŁ.

Umilkł — już skonał — na grobie mu wieniec
Z cierniów złożony i napis pod spodem:
«Choć żył na ziemi — nie był z ziemi rodem;
Los jego — Rozpacz — a imię Szaleniec!»

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Co też za życie tego człeka było!
Ciągle mu tylko w mózgu się roiło
O nieskończonych błękitu obszarach,
A tu na ziemi o kochanek marach —
I o Ojczyźnie!

DRUGI.

To był patrjota!

TRZECI.

Nie ma co mówić — lecz to stara cnota!

CZWARTY.

Cenię go mocno — ale ganię za to,
Że nigdy nie był dość arystokratą;
Bo tylko silny pierwiastek takowy
Może kraj podnieść w byt lepszy i nowy.

PIĄTY.

Cenię go mocno — lecz nie cierpię za to,
Że nigdy nie był dosyć demokratą,
Bo tylko ostry ten pierwiastek zdoła
Ze zgniłych wyrwać nas przesądów koła.
Tuszę, że Polskę niechybnie uzdrowi,
Każdemu rzezią grozić szlachcicowi,
A potem, później, jeśli będzie trzeba —
To i dać paszport Ichmościom do nieba!
Krwi sobie utocz — gdy stoisz nad grobem —
W łeb sobie wypal — kiedyś mocno chory.
Takim się Francuz wciąż leczy sposobem,
A zdrów i silny — z niego więc brać wzory!
Żadnych półśrodków — precz z nimi do kata,
Wolność i równość et cetera świata;
— Wreszcie komunizm — co bądź — wszystko jedno —
Bylem Ojczyznę uratował biedną!
— Wszak tak Panowie?

SZÓSTY.

Mylicie się srogo —
Będzie nam tylko z Panslawizmem błogo!
I oszukamy tak gracko Moskali,
Że ujrzą w końcu, iż my się dostali
Do steru rządów. — Wtedy krzyknąć: brawo!
Oni nam będą — a nie my im strawą!
Tak sztuki stanu radzi polityka!
Żal mi niezmierny tego nieboszczyka
Że się z tą prawdą minął oczywistą!
On był powinien umrzeć Panslawistą!

SIÓDMY.

On był powinien umrzeć komunistą!
— Pozwólcie chwilkę nad tym trupem — szczerze
Powiem wam bracia — w co ufam, w co wierzę.
By zrzucić ucisk, nie łez nam i pisku
Ale gorszego trza jeszcze ucisku!
Despotyzm zbijesz tylko despotyzmem,
Nie liberalnym żadnym krytycyzmem!
— Czem postępowość? Nie zważać na prawa,
Kiedy, gdzie, jaka przyjęta ustawa
Celom się twoim na nic nie przydawa!
— Czem znów genjalność? Ot, w jednym momencie
Przełamać naród w odmienne nagięcie,
I, wciąż twórczości trzymając pochodnię,
Czuć się nad wyrzut wyższym i nad zbrodnię;
Cnotliwym ludziom zanadto wygodnie —
Żadnej wewnętrznej nie spełnią ofiary —
Nie narażają się na zgryzot mary,
Nie chcą się shańbić i skalać dla Ludu
Jak Saint-Just, Marat — ci dwaj Święci Brudu!
I są spokojni nawet na szafocie!
To — moralności jakby wielkie Pany
Co chodzą w uczuć jedwabiu i złocie!
A co z tej cnoty, gdy kraj podeptany?
Uwagęm oną zrobił mimochodem,
A nią dowiodłem, że gdy Twórczość każe,
Słuszna wziąść nawet przemoc nad narodem,
I że tyranją marząc, źle nie marzę.
Niech się wam serca zbytnie tu nie zranią:
Bo oczywiście komunizm tyranją!
Nie taką znają niewolę na świecie
Ci, których Turek albo Chińczyk gniecie!
Przed komunizmu dopiero obliczem
Każden szczególnik w społeczeństwie — niczem!
Własność przepada — twe włosy, twa skóra
Nie twe, lecz Rządu — to mi Dyktatura!
Alec wiadomo — Sławiańskiej natury
Normalnem prawem żądza Dyktatury!

Myśl, pot, grosz wszystkich, przez władzy przetaki
Wciąż przelatuje. — I władzy tartaki
Wciąż kraj piłują — ot! Centralizacja!
Nie dość krwi tylko chcieć jak Demokracja;
A któż krew przyjmie za co gdzie w zapłacie?
Wprzód niż krew, pieniądz wojnę rozpoczyna,
W skarbie drga zwycięstw ukryta sprężyna,
A skarb oparty na dóbr konfiskacje!
Rząd gdy jedynym właścicielem będzie,
Zaraz się zjawi moc i pogrom wszędzie!
Ci wywłaszczeni wszyscy, w jednej chwili
Jak lwy się będą — obaczycie — bili!
Nic tak człowieka w animusz nie wpędza,
Jak zwrót do stanu zwierząt — głód i nędza!
Mnie się to widzi lekarstwem jedynem!
Stare przysłowie: klin wybijaj klinem.
Więc dla mass wynajdź jakby kształt Caratu,
Więc podnieś Moskwę jakby do kwadratu,
A taką Moskwą obalisz Moskala.
— Piekłem na piekło. — Tak Duch świat ocala!

ÓSMY.

Patrzcie Panowie, na tej zgasłej twarzy
Jakby sen dotąd cierpienia się marzy!
Choć oko szklanne — choć jak z głazu warga,
Z ust i z ócz płynie jeszcze na was skarga.
Od wszelkich stronnictw napuszonej mowy
Pełniejsze życia — milczenie tej głowy,
Na których rysach się ból narodowy
Rozpostarł wszystek — on ból, co od wieka
Każdego w Polsce rozdziera człowieka!
Błogosławiony on ból — co dowodem
Nieśmiertelności — bo już z grobu rodem!
On ból czyscowy, opatrzny, obrończy —
Co nas rozbitych, jak Religja, łączy,
Aż cud niezaznan w świecie zeń wykwita:
Pośmiertna Polskich dusz Rzeczpospolita!
— Z takiej tajemnic i ofiar głębiny
Świętsze, ja tuszę, i prawdy i czyny

Wyjść na jaw muszą, niż gwałt, konfiskata —
Lub rzeź gdzie jaka — czci, sił, czasu strata —
Małpiarstwo tylko starych zbrodni świata!
Co wy myślicie, ty i ów, i drugi?
Zamiarów Bożych nieświadome sługi!
Wy zdźbła przyszłości, z których każde śmiało
Prawi osobie: Jam przyszłością całą!
Wy mędrcy, twórcy — wy krzykacze, zuchy,
Wielkiej Idei studenty — nie Duchy!
Żaden z was kraju pod dłoń swą nie zgarnie.
Nie na toć naród zniósł takie męczarnie —
Nie — nie zwycięztwem stronniczych mierności
Kończą się sprawy, w których Bóg sam gości!
Lecz myśl się Boża tutaj Dobrem zowie —
Dobrem zaś tylko jest dobro, Panowie!
A brud jest brudem — myj go sofizmami,
Pierz i lat tysiąc — on zawsze się splami!
Wszystko co chwila rusza się i zmienia,
Prócz w piersiach ludzkich — ludzkiego sumienia!
Tu, wynalazków daremna ochota!
Środków działania i w myśli i w ciele
Masz do odkrycia nieskończenie wiele,
Lecz jeden tylko w sumieniu tkwi: Cnota!
Inaczejś bracie, nie człowiek, lecz zwierzę!
Oto, Panowie, w co ufam i wierzę. —
Żadna Genjalność w tym razie nie nada
Bo to nie moja, ni twoja zasada —
To prawo światów, co światami włada!
To nie Sławiańskiej wynik Dyktatury,
Lecz Bożej w ludzką zstąpionej natury!
A nieboszczyka owszem chwalę za to,
Że Komunistą, ni Arystokratą,
Ni Panslawistą, ani Demokratą,
Ni jakiemkolwiek bądź innem przezwiskiem,
Co z klęsk ojczyzny tylko pośmiewiskiem,
Nie zwał się nigdy. Jeźli jakim znakiem
Znaczyć go chcecie — zwijcież go Polakiem,
Bo kochał Polskę oną wiekuistą,

Ziemsko-potężną — i anielsko-czystą,
W której się zaród wieków szlachetności
Tak dowielmożni i tak dochrześciani,
Że z niej się stanie jak Duchowa Pani
Innych narodów. — On żył w tej miłości
I w niej też umarł. — Serce jemu wrzało
Goręcej w piersiach niż u innych ludzi! —

DZIEWIĄTY.

Kogoż już teraz taki zapał złudzi?
Praktyki trzeba — sercem żyć za mało.

DZIESIĄTY.

Aha! tak — prawdę mówi obywatel;
Poszło już serce teraz w rzęd bagatel;
I lepsza jedna z Londynu młockarnia,
Niż poetyczna wszystkich dusz męczarnia.

CHÓR.

Nie traćmy czasu — bo życie praktyczne,
Którem żyjemy, liczy w sobie liczne
Zajęcia. — Zatem, gdy już dni na niebie,
Bądź zdrów umarły — pożegnamy ciebie!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Dzięki wam ludzie! — jam nie skonał jeszcze!

CHÓR.

Jak! — Co? — ty żyjesz?

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Ja z śmiercią się pieszczę!
Ból zwątpień przeszedł — noc ducha ustała —
Coraz mi płynniej cięży ciężar ciała,
A już nie marzę, nie walczę, nie mdleję —
Cały w błękitną zmieniam się nadzieję!
Słodko umieram — słyszę głos Anioła —
Głos wiosen moich, głos tak dawniej znany —
Wiecznie pamiętan i wiecznie kochany,
Tu — przy mnie — wszędzie — nademną — do koła!

CHÓR.

Nic my, na honor, nie słyszemy zgoła. —
Cieszy nas tylko, że cię myśl wesoła
Cieszy w tej chwili — winszujemy tobie!
Może się kryzys w twej zjawi chorobie. —

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

O, ty nademną tak się kołysząca,
O ty coś piękna, pięknością bez końca,
Bo wiesz już Pana niebieskie wszechcele —
I na twem licu tej wiedzy wesele.
O siostro! błagam cię — słuchaj — niechaj oni
Ujrzą cię także — niech światło z twych skroni
W pierś im przypłynie — niech głos twój usłyszą!
Nastrój ich myśli ducha twego strojem,
By wrzask ich niezgód stał się odtąd — ciszą,
I walczyć mogli zwycięzkim już bojem!
— A co — widzicie?

CHÓR PRZYTOMNYCH.

Jakież ciebie licho
Znów opętało? Leż spokojnie — cicho.
Wnet ci się nerwy wściekłym skręcą spazmem
Gdy z takim będziesz gadał entuzjazmem.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czy ty mnie słyszysz? Siostro, błagam ciebie!
Zjaw się im wszystkim, tu, nagle, od razu!
Może ci na to Bożego rozkazu
Potrzeba — prośże, proś Ojca co w Niebie
By ci pozwolił — módl się — módl — mów: «Panie,
O co mnie błaga mój brat, niech się stanie.»
Nie bój się, dobry jest Pan — On pozwoli,
Byś im zwiastunką była jego woli —
Byś słowom moim w mej śmierci godzinie
Dała świadectwo, które nie przeminie!
Bóg ciebie kocha, boś kochała wiele,
Najnieszczęśliwsza z niewiast człowieczeństwa,
Niewiasto Polska niegdyś! — Ty męczeństwa
Duszo i iskro — a dzisiaj Aniele!

Słuchaj ty — wymóż to na sercu Boga —
Uczyń to dla mnie, o Siostro! o droga!
— A co — widzicie?

CHÓR.

Wciąż się łudzisz marą!
A nasze oczy widzą, co widziały;
Ten pokój, lampą wpół oświecon cały!
Fortepian — stolik — po ścianach broń starą,
A pod tem oknem ten splot róż, co wzrasta
Z tych donic kilku — wreszcie piec — i basta!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Prawda, we wszystkiem dotrzymałaś wiary!
Póki na ziemi, kochałaś do zgonu,
A teraz z góry, aż z pod Boga tronu,
Przez zagrobowe wróciłaś bezmiary,
I czekasz na mnie — i stoisz przedemną —
By mnie wprowadzić w noc grobu tajemną!
Prawda, o Siostro! a to wszystko na nic.
Słuchaj — niech raczej w tę otchłań bez granic
Spadam bez ciebie; niech bez twej opieki
Tam błądzić muszę, może błądzić wieki —
A w zamian żądaj, by im się twa postać
Ukazać mogła i Słowo twe zostać
Z nimi wszystkiemi. Śpiesz się — wszak cierpienie
Me widzisz! śpiesz się, ja woli nie zmienię!
Nie mem mi moje zbawieniem Zbawienie,
Lecz ich i Polski. Było zostać raczej
Gdzieś była Siostro — bo pomódz inaczej
Mnie ty nie zdołasz. Krótka nasza radość,
Jeźli mej prośbie nie uczynisz zadość!
W jaki bądź Zaświat odejdziem oboje,
Ścigać mnie będą zgryzot niepokoje,
Żem już gdzieś z tobą schroniony i żywy
A kraj mój Polski dotąd nieszczęśliwy;
A oni wszyscy wciąż w kłótni i w błędzie!
I choćby w niebie, źle mi w niebie będzie!
I będę gorzki — i będę okrutny —

I ty choć anioł, będziesz anioł smutny;
Aż patrząc na mnie krzykniesz: «Nieszczęśliwam.»
Więc mnie wysłuchaj — raz jeszcze cię wzywam,
Wysłuchaj Siostro — patrz! — już dogorywam —
— A co — widzicie?

CHÓR.

Co to za muzyka?
Strón niewidzialnych szum dźwięczy w przestworze,
I dźwięk nam każden wskroś duszę przenika.

GŁOS W GÓRZE.

Wszechświęty Ojcze, Synu, Duchu — Boże!
Dzięki Ci Panie, żeś w ostatniej chwili
Dał znów być razem tym, co razem byli
W życia przeszłości; na ziemi on bratem
Był mi, a teraz go z umarłych światem
Przyszłam pobratać; lecz nim mu ust pieniem
Duszę odwiążę — i jednem westchnieniem
Porwę go z sobą — wysłuchaj mnie, Panie!
Niech serca jego spełni się żądanie!

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Już nie dźwięk tylko, wyraźnie brzmią słowa.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czemu się jeden za drugim tak chowa?

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Słowo honoru! gdybym wierzył w Boga
Toby mnie zdjęła w tym momencie trwoga! —
— Daruj mi Boże! padam na kolana!

INNY.

Jakby w płomieniach cała stoi ściana!
O Jezu! biję się w piersi żałośnie;
Zgrzeszyłem, Jezu! — Jakżeż blask ten rośnie!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

A co — widzicie?

CHÓR.

Oszalejem wszyscy!

Czy my zbawienia, czy też zgonu blizcy!
Widzim, ah widzim bielejące szaty
I skrzydła widzim, i na głowie kwiaty —
Tyś prawdę mówił — twoja ah! wygrana!

GŁOS W GÓRZE.

I będzie Polska — będzie w imię Pana!

CHÓR.

Umieramy po kolei!
Serca nasze, jak tłum liści
Gdzieś niesionych śród zawiei,
Opadają w dół zawiści;
Rwie nas w górę wir nadziei —
Umieramy po kolei!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

CHÓR.

Gdzie dusz naszych wieczna rana?
Już nas wnętrzny ból nie gniecie!
Piersi skaczą — myśl pijana
Od radości, co nieznana!
My umarli już na świecie!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

CHÓR.

Wszystko w okół — gdyby rajem —
Wszystko wewnątrz — gdyby siłą —
Tak nam dobrze, tak nam miło —
Święty Boże! zmartwychwstajem!
Pierś do piersi, do rąk ręce —
Zesplatajmy się jak wieńce
I rozwieńczmy się nad krajem!
Coraz jaśniej przed oczyma —
Jednym Duchem już się stajem!
Tam gdzie Miłość, Śmierci nie ma —
Ah! kochajmy się my wzajem!

GŁOS W GÓRZE

Będzie Polska w imię Pana!

JEDEN Z CHÓRU,

Mgła przyszłości z serc nam zwiana,
Alleluja! — wraca życie;
Ojców Duchy! czy słyszycie?
— O wy, niegdyś bardziej z Bogiem
Niźli Franki, niźli Niemcy —
W każdym czynie czuciem błogiem
Zbawiciele lub rozjemcy!
Wy zdobywce — lecz Unjami,
Których ludzka krew nie plami —
Wy pogromce — lecz tyranów,
Schizmatyków lub poganów!
Przez dziesięciu wieków burzę
Europejskich bram — wy stróże!
Króle, Wodze i Rycerze
Weszli z światłem w wszechprzymierze;
Przeciw nocy, wiecznie ze dniem
Czy pod Moskwą, czy pod Wiedniem;
Wy, jak w dziejach sny niebiańskie —
Wy, godzący sprzeczne tory,
Męczenniki wy Chrześciańskie
I rzymskie Tryumfatory!
O! natchnijcie nas w tej chwili!
Wprzyszlić przeszłość — oto pora:
Niech skra wasza, co w nas chora,
W płomień zdrowia się rozsili —
Z głębi ludu, szlachty ród
By wczłowieczać w Ludzkość — Lud!
Na to z Bożej ją opieki
Wybierały los i wieki!
Póki przodem przed narodem
Poświęcenia stąpa chodem,
Żadna rana, w pierś zadana
Jej nie zmoże; nie pochowa
Żadna otchłań Kurcjuszowa,
Z tych otchłani — ona rodem!

— O Aniele! patrz Aniele!
My tu wszyscy jedną bracią,
A kto ofiar spełni wiele,
Ten na ofiar pała czele,
I to — Arystokracją!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

DRUGI Z CHÓRU.

O ty śliczna — oświetlana —
O motylu ty mój Boży!
Niech się serce me roztworzy
U stóp twoich. — My nie kaci,
A wyrzynać chcieli braci!
Ah! bo błądzić to rzecz łatwa,
Kiedy myśli smutek gmatwa.
Cudzoziemiec plótł nam dziwy,
Że gdy szlachtę kto pogrzebie,
Ten na wieki już szczęśliwy —
Aż ja wieszać chciał i siebie,
Bom sam szlachcic — jak Bóg żywy!
O Aniele! ja szalałem —
Jużci szlachta u nas głową!
W niej mózg kraju, a Lud ciałem
Zetnij głowę narodową
Cóż zostanieć z pod obucha?
Kadłub tylko, co krwią bucha
Aż się wrogom do stóp zwali.
I po tylu wiekach trudu
Ojczystego kadłub ludu
Będzie grzeban przez Moskali!
A pogrzebią go w koszary —
Pod carskiemi tam sztandary
Trupa pocznie się zgnilizna.
W rój moskiewskich się żołnierzy
Przerobaczy, sprzeniewierzy —
Taka z mordu nam Ojczyzna!
O Aniele! aż strach bierze,

Żem tak długo żył w tej wierze.
Gwałtu! ratuj! co się znaczy?
Jak w śnie wszystko się majaczy —
Czy to głos mój? ktoś mną włada —
Ktoś przezemnie inny gada!

GŁOS W GÓRZE.

Nie opieraj się daremno —
Co oglądasz, mów —

DRUGI.

Źle ze mną!
Krew się wzdyma przed oczyma —
I szumi i wali,
I falą po fali
Posuwa się dalej.
Bladych ciał połowy —
Ręce — nogi — głowy —
W głowach, w piersiach — kosy, noże —
Z czerwonych strumieni
Jeziora czerwieni —
Z jezior jedno morze —
Wielki Boże!
Kędy spojrzeć — w wszechprzestrzeni
Krew kołysze się i pieni!
Już od pian tych rudej pary
Mrok w powietrzu rudoszary —
Sklep nieba, po szczyty
Tym kirem obity —
Pośrodku twarz słońca
Jak lampa gasnąca —
I zgasła nademną —
Jakżeż teraz ciemno!
Tylko tam gdzieś na chmur łonie
W lądu stronie
Zorza płonie;
Tam w oddali
Świat się pali!
Z płomienistych łun, w przestworze,

Jak drugie krwi morze —
W dole gruzów trzask:
Nad łoskotem, huczy grzmotem
Stu tysiąców wrzask!
A tu bliżej — w łun obwodzie
Na szkaradnej onej wodzie
Oto! wioseł plask —
Setne płyną łodzie —
Wszystkie płyną w brzegu stronę
Bagnetami najeżone!
Bagnetów tysiące —
Działa, ląty tlące —
Śród dział, trony i korony,
Flag purpury — i mundury:
To króle Europy!
Ha! na mordu fali
Jedni się zostali
Królowie i chłopi!
Szparko jadą ci mocarze —
Wesołe ich twarze.
Prosto, prosto w te pożary
Przez te krwi obszary
Wiosłują wioslarze!
I żelazo tych żołnierzy
Uderzy — uderzy
W chłopów ród!
I będzie się pasowało
Z ślepem ciałem, ślepe ciało —
Z brudem — brud!
I będzie świat cały
Nad grobowym progiem
Bez Boga!
Ostatnim mu Bogiem
Wszechtrwoga!
Przed strachu bałwanem
Zgniją ludzkie serca!
Wieku tego Panem
Kat, szpieg i morderca!

Na przemiany wszystkie klęski —
Dziś motłoch zwycięski
Jutro górą król;
Wszędzie wstyd i ból —
Widnokręśna podłość wszędzie —
I nadejdzie dzień,
I wyciętej w pień
Żal wam szlachty będzie!

GŁOS W GÓRZE.

Zbudź się, zbudź się, w imię Pana!

DRUGI.

Swiatłość jawu mi oddana
Aż się jeszcze trzęsę, pienię —
Kto w mych piersiach mówił za mnie?

GŁOS W GÓRZE.

Twój drugi Ty — twe sumienie
Co nie mówi nigdy kłamnie.
Każden w sobie ma olbrzyma
Który z prawdą, nie z nim, trzyma;
Wszechmoc drzymie w tym olbrzymie —
Jemu Wieczny Cud — na imię!
Gdy opisze ciebie kołem,
Twoich własnych żądz i myśli,
Tak płomienno ci je skreśli
I rozwiesi po przed czołem,
Że w nie patrzysz ócz twych wzrokiem!
Wtedyś sobie sam wyrokiem —
Wtedy bywasz i prorokiem!

DRUGI.

Serce pękło — myśl strzaskana!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska — w imię Pana!

TRZECI Z CHÓRU.

O ty jasna, Bogu miła,
Choć mi każda mózgu żyła

Wstydu żary na twarz cedzi,
Rwie mnie spojrzeń twoich siła,
Klękam — klękam — do spowiedzi.
Dusza tylko się została
Narodowi, co bez ciała —
Bóg tej Duszy rosnąć każe
Po nad wszystkich klęsk smętarze;
Jej to straży powierzona
Niw sławiańskich wszechobrona!
A ja właśnie do niej — do niej
Zawołałem w burz godzinie:
«Patrz! nóż błyska, pieniądz dzwoni —
Od niemieckiej sprosnej broni
Krew twych synów płynie.
Zrzucaj z czoła cierniów wieniec —
Zstąp ty z krzyża, gdzieś męczona,
Stocz się w Cara, stocz ramiona —
On twój odtąd oblubieniec!
Był ci wiecznym kusicielem —
 Był zatracicielem —
Żebrz, niech będzie dziś mścicielem!
Konieczności taka droga —
 Już czasy łaskawsze
 Nie przyjdą od Boga —
Zesamobójcz się na zawsze!
Zatrać myśl twą — i jej godła —
 Z wiar twych tajemnicą
 Rozwiedź się — wietrznico!
Zeschizmatycz się — ty podła!
 Całuj Lubieżnico
 Łańcuchy i bicze!
Zwij siostrami pustyń dzicze!
Wszystko snem jest — coś kochała —
Snem twa cnota, cześć, wstyd, chwała!
 Zemsty jedną chwilką
Ukój boleść niewyleczną —
 Zemsty żądaj tylko
 I giń śmiercią wieczną!

A być może iż traf ziści,
Że z bezedni tego błota
Jakie wznijdą i korzyści
Polska zdatność, a ochota
Górę wezmą. — Będą jeszcze
Z nas, po carstwach, urzędniki,
Radzcy stanu, pisarczyki —
A u dworu — dworu wieszcze;
Trzeba — trzeba gdy los woła,
Z człowieczeństwa wynijść koła,
Z Chrystusowej zejść Kalwarji
Do moskiewskich kancelarji —»
Miłosierdzia, o Aniele!
Ja upadam — to za wiele —
Niepodobna ciągnąć dalej —
Mózg na węgiel mi się spali,
Daruj, daruj! ja tak szlocham
I tak Polskę moją kocham;
Na tej rzezi bratniej polu
Jam był rozum stracił z bolu!
Lecz dziś dusza odzyskana —
Świadcz mi sama, o przeczysta,
Żem nie Moskal, Panslawista!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska, w imię Pana!

CZWARTY Z CHÓRU.

I ja płaczę, cudna Pani,
I ja łaknę przebaczenia! —
Ach! nie rozum: w klęsk otchłani
Sercem stracił był z cierpienia;
Więc człowieka się połową
Stałem tylko — tylko głową!
I ta głowa, sierdząc skronie,
Słów nie swoich brzmiąca echem,
Z pysznym, zimnym, dzikim śmiechem,
Tak wrzeszczała w braci gronie:
«Lat tysiąców fałsz już zbity,
Rozwiązane Wiary Mithy —

Wszechidea wiekuista,
Wszędobecna, wszędojedna —
Lecz siebie bezwiedna
Lecz bezosobista,
Absolutną matką Ducha!
I ta wielka, ślepa, głucha,
W kształt się ludzki ubrać chciwa,
Dialektycznych sprzeczni rojem,
Przez naturę wskroś przepływa,
Aż się stanie w łonie mojem
Świadomością i ustrojem!
Ją to niegdyś Bogiem zwano;
Lecz się grubo omylano —
W niej pierwiastne tylko ciemnie,
Co brzmią błędnych czuć szelestem:
Dźwięk dopiero spełny — we mnie!
Ja Bóg, bardziej niż Bóg, jestem!
Jam ostatni kres wszystkiego —
Wszechświat ku mnie tęskni, zbiega —
Jam kwiat dobra, jam kwiat złego —
Jam jest Alfa i Omega!
Lecz mnie jednak na wsze strony
Pierś mej matki opierścienia —
Oczywiście — z niw istnienia
Wracam w byt jej nieskończony.
Nicość czeka mnie — po zgonie
Każden człowiek się z kolei
Znów roztapia w wszechidei,
Jak kropelka w morza łonie!
O zaświaty tylko pyta
Filozofja pospolita. —
Takie bracia, wam odkrycia
Ja od Pruskich niosę włości;
Wiecznej myśli brak jest życia
Nam żyjącym brak wieczności.
Poprzysięgam, choć się zżyma
Serce wasze, nie ma, nie ma
Boga, ni nieśmiertelności. —

Ludzkość tylko się odradza —
W duchu ludzkim więc Wszechwładza!
Jak Jehowa rządził stary,
Dziś ja rządzę śród stworzenia —
Burzę wiary,
Spuszczam kary,
Na śmierć znaczę pokolenia!
A ze śmierci tych nasienia
Wyższej myśli wstaną ruchy!
Trzeba krwawe pchać ostrogi
W przyszłych wieków gnuśne brzuchy —
Żelaznemi niech kopyty
Roztratują stare byty!
Tak w Historji jeżdżą Bogi!
Gdyby nie te jazdy,
Postępu by gwiazdy
Nie błysły nad światem,
Czyn mój miłosierny zatem!
Oto prawda rzeczywista
Tak, jakem Heglista!
Zastósować tylko święcie
Nam do Polski to pojęcie!
Kto posiada,
Temu biada!
Egoista,
Ja rozumem jemu świecę —
On opiera się Logice —
Ślepota zuchwała!
Lecz upor ten skruszę,
Zrównam wszystkie ciała,
Zrównam wszystkie dusze:
Będzie sławy karta;
Choćby rozwiać gmach w perzynę
Ja się stwarzam, w Katylinę —
Chcecie? — w Bonaparta —
Chcecie? — to i w Chrysta —
W co bądź — Hej! — ja komunista!»
Tak krzyczałem — tak — o Święta!

Nie bądź — nie bądź mi za sroga —
W myślne Niemców skuty pęta
Ah! wyznaję — jak zwierzęta,
Już nie czułem w okół Boga!
Choć mnie ust twych uśmiech rani,
Nie odwracaj się, o Pani!
O patrz ku mnie Światłolita —
Wzrok twój w niebo chwyta!
Wiem już, wiem, wiem — wszechubóstwem
Być samemu sobie bóstwem!
Nie rozślubi żadna siła,
Co myśl Zbawcy ześlubiła.
Nie my sami wiążem siebie —
Duch nas Boży wiąże — bratni.
W nim moc pierwsza, cel ostatni —
Ojcem ojczyzn, ojciec w niebie —
Królem dziejów jeden On;
Ja mych braci, tylko brat —
Mnie niewolno rzucać w świat
Ból i zgon! —
Źle Ojczyznę, źle kochałem:
Polska dzielność,
Wierzyć tchnieniem piersi całem,
W nieśmiertelność;
Źle Ojczyznę, źle kochałem!

GŁOS W GÓRZE.

O boleści — o gorycze —
Waśnie — dumy —
Bezrozumy:
O serca stronnicze!
Wina skrusze darowana;
Będzie Polska w imię Pana!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

A tych kilku — patrzaj siostro —
Przemów do nich, przemów ostro —
Nie zgrzeszyli smutku szałem,
Ale hańbą — ale kałem;
Gdy nad matki krwawem ciałem

Kirgizowa jazda tętni
Oni byli — obojętni!

GŁOS KILKU.

O my bardzo biedni, marni —
O my nędzni, szlamazarni;
My bez zbrodni i bez cnoty!
Nam się śniło w śnie ślepoty
Że Car bliski — Bóg daleki —
I że naród śpi na wieki!
Więc już tylko śród niewoli,
Do przemysłu, handlu, roli,
Do dróg bitych, do farbiarni;
By utuczyć co zostało,
To, bez ducha, nasze ciało!
O my biedni, szlamazarni!

GŁOS W GÓRZE.

I wam daję pokój Pański,
Pokój święty chrześciański —
Lecz słuchajcie — azaż wiecie?
Zanim wynieśmiertelniałam,
Polką żyłam na tym świecie —
Wtedy wami pogardzałam!
I to wraca mi wspomnienie,
Gdy wam głoszę przebaczenie!

CHÓR.

Odrodzeni, świeży, nowi —
Czy męczeństwem, czy żelazem,
Wszyscy walczyć my gotowi —
Przebacz wszystkim, równo, razem!

GŁOS W GÓRZE.

Przez was myśl swą Pan zeżniwi!
I będziecie żywi;
Lecz bądźcie cnotliwi!
Po kryształach światło Boże!
Sam Wszechmocny kłaść nie może
W pierś nieczystą wieków zorzę!

CHÓR.

Ah! z rozpaczy, nasze błędy —
Nim do koła rozwiośniały
Nam promienie twojej chwały,
Okolała nas śmierć wszędy!
Prawem władnem po nad nami
Wiek ten uznał wszechbezprawie;
W europejskich państw ustawie,
Nam kazano żyć zbrodniami —
Nam kazano być szpiegami;
Nam kazano wydać syna,
Wydać ojca, wydać brata,
Gdy syn, ojciec, brat przeklina
Niechrześciańskość tego świata. —
Kto z nas wyznał świętą Matkę,
Kto czyn poniósł jej w ofierze,
Ten jak dzikie ścigan zwierzę
Od mórz włoskich — po Kamczatkę!
Ah! okrutnie — ah! nieznośno —
W Bożej nawet już świątnicy
Imię Polski rzeczą sprośną —
Tylko imię to rzec głośno
Wolno było — z szubienicy!
Sprzysiężona ludzkość cała
Cześć i życie wziąść nam chciała!

GŁOS W GÓRZE.

Jej zapłaćcie, jak Syn Boży
Jej zapłacił przed wiekami —
Za krzyż — wszechdobrodziejstwami —
Niech wasz przykład ją przetworzy!

CHÓR.

Już nam widno, już nam wiedno —
Tak do Polski, jak do Pana
Iść się musi drogą jedną
Tą, co nigdy nieskalana!

GŁOS W GÓRZE.

Wszechświęty Ojcze, Synu, Duchu — Boże!
Twej łaski, Panie, potrójnej nad niemi!

Niech im zrozumieć w tym dniu dopomoże,
Jak sam ich wiodłeś ścieżki tajemnemi. —
Łaski Twej, łaski, miłości Twej, Panie!
Oto już dawnych wyrzekli się kłótni —
Oto już drgają na twej pieśni granie,
Jak struny różne, a tej samej lutni!
O! przyśpiesz czasy! niech przez tych strun dźwięki
Wieki przejściowe zakończą się męki;
By świat ten poznał, że sąd i zatrata
Na wieki mieszka w każdej zbrodni świata —
By świat ten poznał, że twoja uroda
Zejść i na planet potrafi niziny —
By świat ten poznał — że w końcu nagroda
Uwieńcza tylko poświęcenia czyny.
Bo kiedy próba minęła znikoma
Znów chwalc Twojej w Twojej Polsce — doma!
A teraz bracie mój dawny, jedyny,
Musisz ty — musisz w nieznane krainy —
Zdawna już twoja wciąż bije godzina,
I moja tylko do nieba przyczyna
Wstrzymuje dotąd ciebie w dnia promieniach.
Lecz już i we mnie mdleje wstrzymań siła —
Mówże więc do nich, com ci objawiła,
Kiedyś mnie ujrzał w pierwszych zgonu cieniach.
A jako chciałeś — będę ci świadczyła;
I pocałunku śmierci na twej głowie
Nie złożę, póki, co było w mem słowie,
Raz im ostatni twój głos nie wypowie!

CHÓR.

Srebrnem go skrzydeł obwiązała kołem —
Wzrok jej gdzieś w górze, lecz rąk jej promienie
Spuszczone k'niemu — i spływając dołem
Na skroń mu kładą niebieskie natchnienie.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Ona mi świadczy — uderzcie w proch czołem —
Ja wam zwiastuję — że Polska nie będzie
Królestwem tylko lub Rzeczpospolitą —
Lecz nad państw świeckich skończenne krawędzie

Prawem miłości rozlewalnem wszędzie —
Niedzielą wieków na jaw wydobytą!

Nagle jak poseł ukaże się Ona —
I pośród mocarstw spodlonego grona
Przezwą ją ludzie: Mocarstwêm-Aniołem!
Ja wam zwiastuję, iż Polska kościołem
Będzie na ziemi widomego Czynu!
Przed nią pobledną potępione-społem
Królów uciski i wściekłości gminu!
I będzie, będzie, w tej Polsce i chwała,
O którą szlachta w dziejach harcowała —
I będzie, będzie, i wolność ludowa
Ludziom Romańskim i Germańskim nowa,
Bo krwią rusztowań ni rzezi nie błotna,
A w wyższą dolę, co dzień wstępniej lotna,
Aż ruch bezprzerwny, wraz i w spokój wielki
Rozstrój i rozbrat pobratan już wszelki —
Aż religijnym stało się obrzędem,
W Bogu ojczyzny polskiej sprawowanie —
I ludzkość poszła natchnień polskich pędem,
Panu się wszystka dała na mieszkanie
I toć ludzkości pierwsze zmartwychwstanie!

A wszystko sprawia to, sprawia — Duch święty,
Duch Chrysta z nieba nazad w ziemię wzięty,
O którym wasi marzyli ojcowie,
Gdy doń wznosili cochwilne modlitwy,
By się wprzytamniał czy w sejmy, czy w bitwy!
Lecz trud ich przerwan klęskami w połowie,
I do otchłani wy zejść musieliście,
By cel ten wieczny dopełnił się iście.
Duszę tam waszą od ciała rozjęto —
Dusza zapadła w czyscową tęsknicę,
Ciało przez zgonu przeszło tajemnicę;
Lecz duch żył mocą światu niepojętą!
I duch ten wstanie z promienniejszem ciałem —
Patrzcie tam — patrzcie — Europejskie święto
Zbliża się — zbliża — gromowym nawałem

Spieszą wypadki. — Już na dół się chyli
Złe, co was gniotło: źle ze złem w tej chwili!
Ten co z serc waszych pasował się wiarą,
Dotknięt już zwątpień i rozpaczy karą;
Na czole jemu ciężka Pana ręka —
Jego się wszczyna, wasza kończy męka!
Przemarni żywot kto piekła kapłanem!
Pan jeden wielki, Pan jeden jest Panem!

Czy nie słyszycie tych głosów tam w dali?
Wszystkie na czasu już stworzonej fali
Płyną tu, płyną i krzyczą w podziwie:
«Śmierć sama zmarła — a zabity żywie!»
Zaprawdę bracia, tęsknijcie cierpliwie!
Źli oszaleją zaślepienia szałem,
Olśną im oczy przed Boga oczyma —
Dziś są, a jutro spojrzycie — ich nie ma!

O! ja was żegnam — ja was tak kochałem,
A odejść muszę — Ah! nie będę z wami,
Gdy w on dzień zabrzmi pierś wasza hymnami;
Gdy, to co Judzkie śpiewały proroki,
Zstąpią wam z góry tęczane obłoki,
Spłyną wam w dole miodowe potoki —
I starych bolów zrzucicie zewłoki!
Nie będę z wami — ledwom już na jawie —
Za mgłą mi czarną wy znikli już prawie —
Czy mnie słyszycie? Chciałbym was do łona
Przycisnąć wszystkich, nim ten kształt mój skona!
Sercem i myślą ja wam błogosławię —
Ja błogosławię wam, ah, całym sobą —
Wolnością woli i losem istoty!
Wszystkiemi memi w Wszechświecie żywoty —
Kolei ziemskich przebytą żałobą —
Prochem tych trumnie przeznaczonych kości —
Pokutą, którą za grzechy odbędę.
Całą wiecznością mej nieśmiertelności
I niebem, jeźli ja w niebie zasiędę!
Wszystkiem czem byłem, czem jestem, czem będę,

Wam błogosławię. — O! bądźcie mi czyści!
O! bądźcie święci! a com rzekł, wam ziści
Sprawiedliwy Bóg — —

GŁOS W GÓRZE.

— Już wszystko spełnione —
Za mną, idź za mną nowonarodzone
Ty Grobu dziecię! w jedną idziem stronę.

CHÓR.

Coraz wyżej, wyżej w górze,
Jak w dwóch głosów zgodnym wtórze
Jeszcze nóta brzmi pieśniana!

GŁOSY GDZIEŚCI.

Będzie Polska, w imię Pana

CHÓR.

Jak kapiące dźwięku rosy
Tają, mdleją, nikną głosy —
Pieśń już ledwo dosłyszana.

GŁOSY GDZIEŚCI.

Będzie Polska, w imię Pana!

OSTATNI.

Z gór, gdzie dźwigali strasznych krzyżów brzemię,
Widzieli zdala obiecaną ziemię!
Widzieli światło niebieskich promieni,
Ku którym, w dole, ciągnęło ich plemię —
A sami do tych nie wejdą przestrzeni!
Do godów życia nigdy nie zasiędą,
I nawet może — zapomnieni będą!

Bezimienny.

Życiam wiek cały przemarnił w więzieniu,
W nędzy — w chorobie — w ciemności — w milczeniu!
Pamięci ziomków coraz niewidomszy,
Tym, co mnie znali, coraz nieznajomszy;
Od kochających coraz mniej kochany,
Aż teraz pewno całkiem zapomniany!
Za to pod czarnem pogrzeban sklepieniem
Żem jak syn światła niegdyś ziemi śpiewał,
I pieśń jak ziarno w ludzkie serca wsiewał,
By równem memu odkwitła natchnieniem!

Byłem ja dumny, lecz dumny z dumnemi! —
To nie popłaca na murawach ziemi.
Kto pognębiony, w tego bij — a wygrasz;
Lecz jeśli pysznie z pychą władzców igrasz,
Jeśli w nich patrzysz jak w dzikie zwierzęta,
Po nad któremi dan ci wzrok człowieka,
Straszna cię zemsta od tych zwierząt czeka.
I będziesz nosił — ty człowiek — ich pęta!

Dni moje pierwsze to u losu wzięły,
Że skorym biegiem prędko przeminęły,
Jak bystre łodzie, jak orły lecące.
Lecz biedne, biedne, same nie wiedziały

Dokąd tak lekko i chyżo leciały,
Gdy jeszcze w górze świeciło im słońce,
I każda chwila była wiosny kwiatem,
I człowiek każden siostrą albo bratem —
I świat dziś głuchy młodości mej światem!

Gdzie jest ten Anioł, co groby odwala,
Po męki próbach i skonu godzinie,
Gdy ranek trzeci zmartwychwstań nadpłynie?
On Bogów tylko — nie ludzi ocala!
Gdzie jest ten drugi Anioł, który zdziera
Z bram Mamertyńskich, śród nocy, zawiasy
I święte Pańskie z rąk katów wydziera?
Lecz ja nie święty — i dziś inne czasy!
Twardsza dłoń wrogów niźli śmierć, bo ima
Żywego jeszcze — i w trumnie go trzyma,
Z której dla ducha Zmartwychwstania nie ma!

Duch twój albowiem lotny gość Wszechświata;
On co wprzód marzył Pół-boże koleje,
Śród ścian więzienia tak osierocieje,
Że będzie szukał — ot! w pająku — brata!
I o dźwięk mowy ludzkiej błagał — kata!
Aż miną chwile, dni, miesiące lata.
Żadne do ciebie nie zajrzą nadzieje!
I duch twój w końcu na nic znikczemnieje!

Ileż ja razy sam z sobą walczyłem
I mrące myśli tchem woli cuciłem,
By się nie poddać umysłowej śmierci! —
Lecz gdy raz rozpacz w dno mózgu się wwierci,

Strach, po tym gwoździu, jako krew się leje,
Jak mózg stopniami zsycha i więdnieje!
Serce też, serce do zgonu się skłania;
Nie pęka zaraz, kostnieje powoli —
Aż zbezsilnieją w niem wszystkie kochania —
I z wszystkich bolów ten najbardziej boli!

Jak olbrzym rwałem się za pas z nicością,
Z osamotnieniem, z brakiem życia, z czczością!
Krat się pytałem: mówcie, czy nie wiecie,
Co tam się dzieje na żyjących świecie?
Lampę tę smętną brałem w sine ręce
I długom liczył popiołki jej knota,
By czemś odmiennem rozerwać się w męce!
Nic nie pomogło — jakaś mgła i słota,
Codzień mi ciemniej duszę zalewały!
I świat wewnętrzny mój zagasł mi cały!
I samem został, bez natchnień, bez Ducha,
Skuty na zawsze do tego łańcucha,
Który, te wrosłe w kość moją kajdany,
Spaja z tym hakiem, wkutym do tej ściany!

O dawniej — dawniej starce ostrzegali:
«Pójdziesz ty z harfą twą brzmiącą młodzieńcze
W głuche przepaści, pod rygle ze stali.
Pieśń twa tam umrze i ty z nią szaleńcze;
Ludziom nic dzisiaj po dumkach wolności!
Darmo się zżymasz — im tylko potrzeba
Nienaruszonej handlu spokojności.
U nas mordują takich jak ty gości —
Zginie, kto światu nosi wieści z Nieba!»
Jam ich nie słuchał, lub waśnił się z nimi,
Ha! — ja żyć chciałem a nie gnić na ziemi!
Więc gnić mi przyszło pod ziemią bez końca.

Światłość mi wzięta, wszystkim jaśniejąca!
I odczłowieczon ja spadł tak głęboko,
A Bóg na niebie został tak wysoko,
Że mnie i Boga nie dojrzy już oko!

Tak — ja w najniższem twierdzy tej więzieniu,
Gdzie wszelkie życie zmiera w znicestwieniu!
Lecz tam nademną piętrzą się sklepienia,
W inne świetlejsze, wolniejsze więzienia.
I w nich szczęśliwsi mieszkają zbrodniarze,
Których łaskawiej rząd cesarski karze!
Boć matkę tylko, lub ojca, lub brata
Zamordowali — więc leksza ich krata!
Wolno im z okien patrzeć w bezmiar świata!
Wolno na wiosnę pić wichry krzepiące,
Gdy nad te śniegi powraca tu słońce!
Im wszystko wolno, lecz mnie — co innego!
Jam od nich gorszy, na Chrystusa rany!
Jam człowiek Polak jak Duch zbuntowany!
Więc ze mnie Szatan w tem Państwie Dobrego!

Prawda — jam wskrzeszał prochy ojców stare,
By miękkie serca twardą pieśnią trumny
Przerzucić z podłej w wyższą życia wiarę!
Prawda — ja byłem szalony i dumny!
Jam się nie rodził synem czasu mego,
Bo wiek mój wiekiem był przejścia i złego. —
A w tem złem przejściu osadzić go chcieli
Ci, którzy sądów Bożych nie pojęli,
Książęta ziemi i ziemi handlarze!
I jak świątynia niegdyś Salomona,
Nim gniew Chrystusa wygnał z niej kramarze,
Cała kupiectwem żydów obluźniona —
Tak za dni moich stał gmach świata stary,

Bliski upadku, pełny win, bez wiary!
A w nim dwa tylko dusz kupieckich stany,
Igrząc walczyły o prym na przemiany.
Raz zysku chciwość — to znów wojen trwoga —
I świat ten cały był Giełdą — bez Boga!
A jako szatan Archanielskiej mocy,
Po nad tą Giełdą, od lodów północy,
Wzrastał już wtedy cień tego olbrzyma,
Który mnie dotąd w tych okowach trzyma:
A oni wszyscy, miasto dziarsko, razem,
Uderzyć w wroga ogniem i żelazem,
Z żelaza tylko kuli dróg koleje,
I w parach wodnych pokładli nadzieję!
Bo się nie bali, ni Boga, ni sromu,
Lecz śmiertelnego pola bitew gromu —
I dobrze było Mieszczanom tym w domu!

Zostali'ć oni gdzie bruki, gdzie kramy,
I tryumfalne nad targami bramy!
A ja przepadłem śród moich szkaradnie —
Tak jak śmierć nagła, wróg mnie pojmał zdradnie!
Myślim ostatniej nie zwierzył nikomu!
Ja z kochanymi się nie pożegnałem.
Nocą, bez śladu, cicho, pokryjomu —
Kibitek wściekłym uwieźli mnie cwałem.
I polskie tylko pamiętają gwiazdy,
Te pierwsze, tajne, me pośmiertne jazdy!

U władz bezecnych stawili mnie sądu!
Sąd ze mnie szydził, żem mógł i na chwilę,
Polak bezsilny zapomnieć o sile
Zgon lub zbawienie dającego rządu!
Więc car wraz z Bogiem na mnie za bezwiarę
Słusznie i święcie zesyłają karę!

I pójdę pieszo, aż za świat, w te lody —
Rzeczpospolitej wnuk ja i swobody —
Pośród złodziejów skajdanionych trzody!

I takem poszedł do strasznych guberni,
Pośród moskiewskiej podłych-zbójców czerni!
A kat, pamiętam, wiódł konia przed rzeszą —
Ni siadł nań kiedy, wciąż szedł jak my pieszo.
Na siodle tylko leżał knut rzemienny,
I kat powtarzał: «Instrument kazienny»
I głowom ludzkim bić kazał pokłony,
Jakby krzyż z siodła sterczał poświęcony!
Tak mnie to carskiej wszechprzytomne godło,
Na wskroś, przez państwa bezmiernego strony,
Ku północnemu biegunowi wiodło.

A owi łotrzy, fałszerze, złodzieje,
Wszyscy na lepsze odeszli koleje!
Zdjęto z nich okuć żelaznych pierścienie
I rozlecieli się na posielenie!
Lecz jam się dalej wlókł pustyni błoniem,
Wciąż za tym katem i knutem i koniem,
A gdy na nogach i rękach kajdany
Coraz mi głębsze wyżerały rany,
Bywa czasami do kata się modlę:
«Daj mi człowieku wytchnąć na tem siodle.»
A Moskal: «umrzyj przeklęty Polaku,
Umrzyj a nie tknij praw cesarskich znaku!»
Bodaj to umrzeć u wstępu męczeństwa!
Lecz nie umiera się, gdy śmierć zbawieniem.
W dniu szczęścia skonasz, zginiesz w dniu zwycięstwa;
Nie zatracalnyś, gdy żyjesz cierpieniem!

Ach! gdzie rodzinne majowe obszary?
Gdzie zbóż mych łany — gdzie mych łąk moczary?
Gdzie bory sosen szumiące nademną,
Jakby modlitwą dziwną i tajemną?
Gdzie są skowronków powietrzne gadulstwa?
Gdzie stary kościół kędy śpią ojcowie?
Gdzie katolickie Litanje pospólstwa?
Gdzie lud, co Marję królową swą zowie?

Boże! gdzież jestem? — Boże! cóż się stało?
Toć w duszy mojej jest jeszcze zakątek,
Gdzie nie zagasła gromnica pamiątek?
Coś we mnie jeszcze ludzkiego zostało?
Lat już dwadzieścia, nie wiem, ty wiesz Boże!
Jak martwo padłem na to śmierci łoże!
Wszystko co było, co jest i co minie,
W jednej się dla mnie ściemniło godzinie!
Lecz teraz nagle pobladły ciemności!
I stróż mój Anioł znów ze mną tu gości!
Łzy mi się cisną — dawno nie płakałem —
Dawnom nie marzył i nic nie kochałem.
Daj mi wspominać, daj kochać, Aniele!
Co każden człowiek wziął na wieki w dziele,
Oto się proszę na chwilę znikomą! —
Duszę mą własną zostaw mi widomą!

O myśli moje! czy wy dotąd wiecie,
Przed zgonem waszym co już dniało w świecie?
Jakiem przeczuciem pierś ludzkości cała,
Gdyście konały, o biedne już drżała!
Wszak głos niczyi a głos brzmiący wszędzie,
Zwiastował ziemi — co na ziemi będzie:
«Ludy przyklękną, króle oniemieją
Wskrzeszoną wiarą, miłością, nadzieją —

Znów się w poczętych ozwie Niepoczęty!
Wieki przeszłości rozprysłe na szczęty,
Wieki przyszłości z czarnych mgieł wschodzące,
W jednym błękicie roztopi Duch święty —
Każe, by jedno świeciło im słońce!
Bo wstanie wreszcie plemion Wybawiciel,
Odojczyznionych ojczyzn przywróciciel,
Wszystkich krzywd ludzkich natchnion z nieba Mściciel.
Z sprawiedliwością On dzieje zeswata:
Odeń już inne zaczną snuć się lata,
Trzecia planety rozemknie się pora —
Odeń już Ludzkość na państwa nie chora,
Które, dla zysku lub dla marnej chwały,
Ciała narodów porozćwiertowały
A kładły dusze ich pod grobu głazem —
Na bożej ziemi, za bożym rozkazem
Dusze i ciała narodów już razem! —
Takie naonczas zewsząd biegły wieści
Po świecie, pełnym gwałtu i boleści;
Lecz my Polacy, my dobrze wiedzieli
Że tą postacią, co pokój Messjasza
Na zdarzeń świeckich wzburzonej topieli
Norodowościom, w tym wieku, przynasza,
Nikt inny, jedno Święta Polska nasza!
Bo z mąk jej krzyża tyle krwi wyciekło,
Że ta krew ziemskie odkupiła piekło!
O! ja tak wierzył, że Duch mego ludu
Po trudach śmierci znów do życia trudu,
Już wznosi skrzydła i chwyta miecz cudu!

Ileż to razy — ah! może zawcześnie
Boga zmartwychwstań widziałem ja we śnie!
Bez krwi na ręku i bez krwi na łonie
Ten sam a inny wiekom Chrystus płonie!
Twarz jako słońce, a bielsze od śniegu,
Szaty go niosą w nadpowietrznym biegu —

I macza w światów wschodzących jutrzence
Odkrzyżowane, wniebowstępne ręce. —

A zwolna, zwolna — za człowiekiem Bogiem
Cudna pięknością i bez śladów zgonu,
Idzie ma Polska i staje nad progiem
Obiecanego wszem ludom Sionu!
Oręż Cherubów w Jej ręku się pali,
A tam gdzieś w dole, gdzieś w głębi, gdzieś w dali,
Innych narodów zgromadzone koła —
I głos jej do nich z wyżyn świętych woła:
«O! do mnie, do mnie wy, plemiona bratnie,
Skończona walka ostatniego boju —
Zdrad i kłamstw ziemskich rozerwane matnie!
Wstępujcie za mną w królestwo pokoju.» —
A wtedy śpiewa narodów chór z dołu:
«Błogosławieństwo ci Polsko i chwała!
Bo choć my wszyscy cierpieli pospołu,
Tyś najwielmożniej z nas wszystkich cierpiała —
Ty niebotycznej twej krzywdy ogromem
Wrogów trzymałaś wciąż pod Bożym gromem —
Ty śród mąk, sercem co kochało wiele
Potężniej żyłaś, niż ujarzmiciele,
I życiem twojem Tyś nam życie dała —
Błogosławieństwo ci Polsko i chwała!»

A pomnę, nieraz w noc jesienną, ciemną,
Głos matki zmarłej czy jakiego dziada,
Z grobu się zerwie, wzbije się nademną,
I przyszłość myślom moim rozpowiada!
A z jego szmerem przed oczyma memi
Snują się tłumem obrazy, widzenia,
Ciągną zwycięzcy wieńcami długiemi,
Słyszę milionów tryumfalne pienia!

Przechodzą białe, świetlane postaci
Sióstr wyjarzmionych, wyjarzmionych braci —
Skra nieśmiertelna na ich twarzach płonie,
Choć są bez skrzydeł płyną jak skrzydlaci,
Choć są bez koron, błyszczą jak w koronie —
I śród nich stąpam i czuję sam siebie
W nieznanem jakiemś, przedgrobowem niebie!

A kto wie! — może nad Polski mogiłą
Już się proroctwo snów mych dopełniło!
Mnie tam ach! tylko mnie, trupa nie było
Śród żywych duchów. — Ha! za temi kraty,
W czas, w przestrzeń sięgam głęboko, daleko,
Wskroś przez te mury, jak przez trumny wieko
Czuję — Tam wszędzie gwiazdy, wszędzie kwiaty —
Świat już z wolnością w wieczne pobran swaty!
Nad Alp wierzchołkiem i nad Tatrów szczytem,
Jednym się niebo rozpromienia świtem!
Tam ludów zlanych jedno błyszczy morze,
I nad niem świeci Sławian Słowo Boże!
Wiem — imię święte mej Polskiej Ojczyzny,
Dziś już imieniem całej Sławiańszczyzny!
Tak duch zmartwychwstał z rozbiorów puścizny!

Dreszcz w moich piersiach dziwny nieskończenie,
W każdej mi żyle drga, jak luteń drgnienie!
Krew moją słyszę, jakby się już cała
W dźwięk idealny jakiś przedźwięczała:
Lekko mi, lekko prawie mi bez ciała —
Już mi te ciężkie nie ciężą kajdany;
We mnie, przedemną, jakaś światłość błoga,
Wynieśmiertelniam się z pod ręki wroga,
Ot! lochu mego przejrzystnieją ściany!

Wszech mi obecność dana magnetyczna!
Widna mi przestrzeń cała okoliczna,
I widno, jasno, coraz szerzej, dalej!
Co tych przestworów! — jak fala po fali
Tak uciekają. — Precz niebo za niebem
Zwija się, niknie za chmur tych pogrzebem,
Co tak trumniano się tam w górze cieni.
Błękit! Ot! błękit! — wiosna od zachodu!
Precz za tem piekłem z Moskiewskiego lodu,
Oto zieloność mojej Polskiej ziemi!
I tłum tam wielki Polskiego narodu!
Powietrze barwne chorągwi tysiącem!
Wieca zebrana, jak niegdyś pod słońcem —
Wszyscy tam moi na polach bez końca
Szczęśliwi, złoci, w złotem świetle słońca!
Widzę ich, widzę, dotykam ich wzrokiem —
Zda się, ach! jednym tylko stąpić krokiem
A ręką dotknę! — Nic, już nic nie boli —
Niech się napatrzę, napatrzę do woli!

Czy sejm się jaki walny rozpoczyna?
Ta cała, żywa, głów ludzkich równina
Zadrżała jednem olbrzymiem wzruszeniem,
Jak drżą zbóż fale pod wiatru powieniem.
Nad głów rzędami podnoszą się wszędy
Rąk niezliczone i powiewne rzędy.
Ku tej tu mojej — i od razu, razem
Jakimś w powietrzu skinęły rozkazem
Te stutysiąców wyciągnięte dłonie.
O jakżeż dziarskie te hufce, te konie,
Co się na północ, jak skrzydlatą zgrają
Od jasnych onych tłumów odrywają!
To jeźdce moje Litewskie — Koronne.
Tłum gdzieś zostaje z tyłu, już go nie ma,
Bezmiar i oni tylko przed oczyma!

O jakżeż pędzą! — Wciąż jak błyskawice
Sadzą przez wzgórza, mijają padoły,
Na północ pędzą, za wszystkie granice.
Zbawienia męgo witajcie anioły!
Od bieli lśniecie i od karmazynu —
Skrzą wam z rąk szable jak pioruny czynu!
I tak lecicie, o wy ptaki boże,
Moskiewskim stepem, zwycięsko i dumnie!
Car ni Czart żaden już dziś nie pomoże!
O ptaki moje, wy lecicie ku mnie.

Co na tej wielkiej, bezbożnej przestrzeni
Ohydnych świątyń na cześć Cara-Boga!
Co twierdz z krwi ludzkiej, wapna i kamieni!
W ileż to więzień wam się jeży droga!
Widzę, przed każdem stajecie więzieniem,
I zeskakując na chwilę ze siodła,
Straży anielskim każecie skinieniem,
By was w podziemne te groby powiodła.
Słychać krzyk życia w umarłych mogile;
Mar nazad z wami ah! powraca tyle!
I znów was pędzi dech Bożej wszechmocy
Dalej i dalej.....

Jak chwilki, dni, nocy!
Czy nocą czarną, czy o słońc rozświcie,
Rączo, bez folgi, widzę was, pędzicie!
Dobrze — ach! — dobrze, jużeście wlecieli
Ze czarnoziemia do śniegów mych bieli!
Prawdaż? — Widnokrąg świata odmieniony?
Mgła, mróz, śmierć wieczna, same lody, szrony.
Lecz Bóg mi świadkiem, coś z czoła im tryska
Co rozpromienia pustyni mgławiska,
A żwawo moi! — a prędzej! — a do mnie!

Jezu ty Chryste! — jakżeż jadą gromnie!
Jakżeż im w barwach narodowych pięknie!
Ratuj mnie Boże! — bo mi serce pęknie!

Wszak gród Moskiewski wy ten już widzicie?
Widzą, ach, widzą —! skręcili się w biegu!
— Lecą piorunem do rowów tych brzegu,
Wkrótce dopadną na bram tych rozbicie!
Chwili brak jeszcze — jednej chwili mgnienia,
A Polska wejdzie do mego więzienia.
Oddać mi dla Niej stracone me życie!
O bądź pochwalon, wiekuisty Boże,
Że też się w końcu i złe skończyć może!
O! ja nie będę umierał w rozpaczy!
O bądź pochwalon.....

Hej! bracia, co znaczy
Że tak śród pędu osadzacie konie?
Dzicz koczującą na pustyni łonie
Wyście dostrzegli — wy z nią mówić chcecie!
Ruszajcież z miejsca: krok jeden już przecie!
Z ciemnym tym czasu nie traćcie narodem!
Wyszli mchu trochę uzbierać pod lodem;
O niczem więcej nie słyszeli w świecie.
Czasem i Moskal w ich hordę się wbierze;
Lecz nie ufajcie — gorsze od nich zwierzę.
Im się przynajmniej szczerość w sercu plemi.
Czemuż tak długo mitrężycie z niemi? —
O Bracia — Bracia!....

Przez powietrza ciszę
Każde tam słowo wymówione słyszę.
Pytają moi: «Czy męczą się jacy
W tych murach czarnych, skazani Polacy,

Za to że niegdyś im Polska, ich wiara
Nie dozwoliła uczcić Boga-Cara?»
A głos śród ludu jakiś odpowiada:
«Tu język tylko sprośny, mord i zdrada!
Innych tam więźniów nie ma, jedno tacy
Co matkę, ojca zabili, lub brata!»
Kłamstwo! ah! kłamstwo — nie wierzcie rodacy!
I znów głos moich po nad śnieg ten wzlata:
«Nie takich szukać my przyszli w te kraje —
Polska jest świętą — świętym żywot daje!
Lecz matki, ojca, lub brata morderca
Niech tu w Moskiewskim dognije pogrzebie —
Bóg może zbawić takiego — lecz w niebie —
Polska na ziemi nie skłoni doń serca!»

Bracia! o bracia! — zaczekajcie chwilę!
Ah! nie ściągajcie tak cugli ze wstrętem
By gród przekleństwa bocznym minąć skrętem —
O! ja czekałem na was wieków tyle!
Męczarniom wszystkim sprostało me życie!
I pękł nad ziemią hart moskiewskiej stali!
I wieki przeszły — i wy nadjechali —
I wy tak blisko — a mnie nie słyszycie!
Jam ojca, matki nie zabił, ni brata!
Jam nie kat żaden — Jam wróg był Wszechkata!
Patrzcie — ja do was wyciągam ramiona!
Tędy, a do mnie! tu mych lochów strona.
Nie mogę pobiedz do was w mej bezsile —
Ten łańcuch trzyma — stójcie jeszcze chwilę!
Oto sprobuję — zwiędłe ręce moje
Sił mych ostatkiem w żelaza te wpoję —
Będę je targał i kruszył po trosze.
Tylko wy stójcie — na Boga was proszę!
Błagam, o chwilę błagam, o pół chwili!
Stójcie! — Ah biada! — już w bok się zwrócili
I spięli konie — czy nie posłyszycie?

Obywatele! ziomki! dobrodzieje!
Ja tu, tu jestem pod ziemią, tu skrycie!
Zawrócić nazad! — Boże, co się dzieje?
Mgłą mi już wszystko — wzrok mój już nie może
Tych ścian przebijać....

O Boże! o Boże!
Znów tam po śniegu szorują kopyta —
Coraz to ciszej śnieg szumi, lód zgrzyta —
Odgłos tententów głuszeje w oddali.
Nic już nie słychać — już mnie odjechali!
Wszak ja nie marzę? — ah! czy to być może?
Oni tu byli, moi właśni byli —
Oni tu byli — i mnie zostawili
Śród ojcobójców, o zmartwychwstań porze!

Czy mnie słuch zmylił? — Nie koniż to rżenie?
Może czas jeszcze — a ja skrępowany!
Ha! czy nie wyrwę cię haku ze ściany?
Czy was ogniwa nie rozodpierścienię?
Naprzód wy piersi, naprzód wy ramiona!
Tak! — ot! tak, dobrze — lej się krwi czerwona!
Może czas jeszcze! naprzód! — ach! daremno!
Coraz mi słabiej — w oczach już tak ciemno —
A nikt, nikt w świecie, nikt nie dopomoże —
I znów tak cicho — przestrzeń milczy wściekle!
Wszędzie spokojność w widnokrężnem piekle.
Gdzie wy jesteście? gdzie? — ach! czy być może?
Oni tu byli — moi właśni byli —
Moi tu byli — i mnie zostawili
Śród ojcobójców — o zmartwychwstań porze:
Wy bracia niby — nie prawda! wy katy!
Wy życia mego mi wzięli ostatki.
Ach! czy ja ojca, albo własnej matki

Nie zamordował, gdzie, kiedy, przed laty?
I zapomniałem? — Lecz wiedzieli oni!
I zostawili mnie w zatraceń toni.
Nie! — ach! to nie to — co innego jeszcze
Wynajdź o myśli! w mózgu gdyby kleszcze,
Gdyby sztylety — chyba po tych głazach
Tarzać się będę w tych zgrzytnych żelazach —
Sam zgrzytający. — Co się ze mną dzieje?
Wiem, znam, rozumiem, czuję — ja szaleję!

Gdzież ja znów jestem? — Znów ta lampa tląca.
Znów za tą lampą noc lochów bez końca,
Znów to moskiewskie obrzydliwe łoże,
I nic, nic więcej. A Ty — gdzieś Ty Boże?
Nie wiem. — Wiem tylko, że tu głowę złożę —
Jak pies sam skończę, gorzej niż pies może.
Za co w wszechświecie mi być wdzięcznym komu?
W Cara mieszkałem — umrę w Cara domu!
Innej jam w życiu nie doznał opieki! —
Ah! znienawidzam wszystko co ufałem!
A już ma wola nie włada mem ciałem
I oczom moim tak ciężą powieki!

Na dalszą mękę, z tych ziemskich katuszy,
Żywej nie pragnę żadnej wynieść duszy.
Miłości nie ma w świecie — ni za światem,
Wszędzie szyderstwo w którą pójdziesz stronę,
Jak nieskończoność takie nieskończone.
Ni Bóg gdzie ojcem, ni Anioł gdzie bratem,
Niebieskie, ziemskie, jeden zawód, włości —
Ja się wyrzekam mej nieśmiertelności!
Ona ból tylko w ból drugi przemienia —
Mnie dość już złego — mnie dość już cierpienia —
Ja chcę nicości — bo chcę Wybawienia.

Zapomnij o Mnie, o Ty Stworzycielu!
Z przepiekielnionych lat życia mych wielu
Tę jedną prośbę wznoszę Ci przy zgonie:
Niechaj nie będę tam gdzie żywot płonie.
Duch mój w wieczności niech bez śladu zginie,
Jak pamięć moja w mej polskiej krainie;
Ach! nawet w Polsce nie będą wiedzieli
Na jakiej konam śmiertelnej pościeli —
Nie będą nawet, że mi raz ostatni
Ręki nie ścisnął żaden uścisk bratni!
Polska! co? Polska! — prawda! — zmartwychwstała.
Wszak prawda Panie? — dziś już Polska cała,
Już na śmierć w pętach, jak ja tu, nie czeka!
— Daruj więc Ojcze rozpaczy człowieka!
Dzikim uniesion bluźniłem ja szałem —
Przebacz mi Panie, ja Polskę kochałem!
I Ciebie, Panie! nie siebie, nie siebie —
Ona na ziemi żywa, a Tyś w niebie —
A więc umieram, błogosławiąc Tobie
Na zawsze, wszędzie, przed grobem i w grobie.
Z Twojem i Polski umieram imieniem.
Na tych mych ustach, co będą kamieniem
Za chwil już kilka. — Święta Twoja wola!
Święta moskiewska ma długa niewola,
Święta okropność mej samotnej śmierci,
Gdy nierozdarta już więcej na ćwierci
Ziemia mych ojców!....

Dzięki, żeś w widzeniu
Oczom ją moim pokazał na jawie —
Dzięki Ci Panie, że choć w tem więzieniu
Jam tych oglądał, co służą w jej sprawie,
Dzięki ci panie! — Otoś mi dał w darze,
Że ludu mego ja zamknę smętarze.
Polskim ostatni trup w carskiej pieczarze!
Dzięki Ci Panie! — ach! sił już tak mało —

Klęknąć nie zdoła styrane to ciało.
W krzyż składam ręce — gdzież już strona nieba?
Tak czarno wszędzie, a po sercu jeszcze
Krząta się, czuję, jakieś tchnienie wieszcze!
Modlić się, modlić, modlić mi się trzeba
O Polskę moją!....

O Panie! O Panie!
Gdyś męczennicy Twej dał panowanie,
Niech na tej ziemi, po raz pierwszy, ona
Niepokonalne na ziemi — pokona!
Czego nie mogły żadne świata Pany,
Szlachta, ni króle, ni lud, ni mieszczany —
Przemienne tylko, a równe, Tyrany,
Skoro tryumfu im błysły mamidła —
Niech po nad czasu w dół rwące otchłanie
Wyżej niż pokus i pych wszystkich sidła,
Wyżej niż ślepe fal losu igranie,
Utrzyma w górze anielskie swe skrzydła!
Daj jej na wieki wszechmiłości siłę!
A jak zdeptała ciemności mogiłę,
Zwycięży, żyjąc, nietrwanie żywota!
Nie — nie rozsypie się jak z krwi i błota
Bryły państw wszystkich, bo w niej będzie cnota
I mądrość Twoja — a toć są okręgi
Arcy-zwycięztwa i arcy-potęgi.
Niech u narodów wszystkich się nazywa:
Ta która szczęściem narodów szczęśliwa,
Więc nieśmiertelnie i władna i żywa!
Niech lśnią jej czołu sławiańskie korony,
Niech w niej Twój Chrystus będzie uwielbiony;
Przez czyn na ziemi, przez Królestwo Boże!...
Coraz mi ciszej — toż i śmierć już może —
I owszem Panie....

Coś się miga, bieli!
W pierś mi się ulga nieskończenna leje;
Smętne w pamięci tają życia dzieje —
Harfy! — gdzieś harfy widzę — ach! Anieli!
Harf takich ludzie nigdy nie słyszeli —
O dobrej, dobrej mówią tylko wieści!
Coraz mniej smutku, coraz mniej boleści —
O Polsko! dusza już moja nie ranna
Gdzieści odpływa — Hozanna! Hozanna!

RESURRECTURIS.

Świat ten smętarzem z łez, ze krwi i błota!
Świat ten jak wieczna każdemu Golgota!
Darmo się duch miota
Kiedy ból go zrani!
Na burze żywota
Nie ma tu przystani!
Los z nas szydzi w każdej chwili!
Dzielnych strąca do otchłani —
Giną święci — giną mili —
Żyją niecierpiani!
Wszystko się plącze — i nierozgmatwanie!
Śmierć w pobliżu — a w oddali
Gdzieś na wieków późnej fali
Zmartwychwstanie!

Więc trzeba skrzepnąć, stwardnieć, być bez serca!
Pośród morderców stanąć jak morderca!
Pośród zbrodniarzy wystąpić zbrodniarzem?
Kłamać — nienawidzić —
Zabijać i szydzić.
Tak świat, tem samem co dawa, obdarzem!
Oto potęga! — lub stańmy się niczem!
Jedzmy i pijmy, bądźmy śmiercią złotą,
Ciała wygodą, a myśli nędzotą —
Tak się do głupich i szczęśliwych wliczem?

O nie! o Duchu mój!
Wstecz się cofnij, stój!
Nie takąć to bronią
Na ludzkości czele
Z złem na ostre gonią
Zła Okróciciele!
Jedna tylko w świecie
Moc ofiary cicha
Los gniotący zgniecie —
Oto dziejów lew!
A podłość czy pycha
To jednakie śmiecie,
Które w otchłań spycha
Lada dziejów wiew!

O! poznaj sam siebie!
Nie żądaj być panem
Jak Pan, który w niebie!
Ni chciej, jak bydlę, gnić nad paszy łanem!
Z tej strony grobu przed zmartwychwstań wschodem
Bądź ty w człowieku, męką z niebios rodem,
Bądź arcydziełem nieugiętem woli!
Bądź cierpliwością, tą panią niedoli,
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
Bądź tą przegraną, której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością śród burz niepokoju,
W zamęcie miarą i strojem w rozstroju —
Bądź wiecznem pięknem, w wiecznym życia boju!
Dla podłych tylko i Faryzeuszów
Bądź groźbą, gniewem, lub świętem milczeniem!
I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem!
Bądź tym pokarmem, który serca żywi;
Bądź im łzą siostry, kiedy nieszczęśliwi —
A głosem męzkim, gdy się w męztwie chwieją!

Tym, którzy z domu wygnani, bądź domem!
Tym, co nadzieję stracili, nadzieją!
A śpiącym trupio bądź przebudzeń gromem!
W walce z tem piekłem świata co się złości,
Zawsze i wszędzie bądź siłą co skłania —
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
Bądź piekłem miłości!

W ciągłej przykładu i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego, twej braci!
Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące
A będą z ciebie jednego — tysiące!
Bądź i w kajdanach niestrudzonym trudem!
Niech ból cię każden choć boli, nie boli;
W jednej twej piersi, bądź twym całym ludem!
Bądź niebo z ziemią spajającym cudem!
Świętością w niewoli!

Ni spiesz się na śmierć, aż jak ziarno w ziemi
Myśl twa się w sercu wsieje, i rozplemi!
Póki męczeństwo nie pewnią zwycięztwa —
Twem dobrem tylko, a nie człowieczeństwa —
Unikaj męczeństwa!
Marniej sławy wieńce
Chwytają szaleńce!
W niebezpieczeństw wiry
Skaczą bohatyry!
Lecz wyższa moc Ducha
Tych ułud nie słucha!

Dopiero kiedy jęczący do koła
Dzwon zdarzeń wszystkich na ciebie zawoła,

Byś ty się w odkup ofiarował za nie,
A usłyszawszy to ziemi wołanie
Ty padniesz duszą w pokornianej skrusze
U rozstajnego obu światów proga,
I w twą rozsłaną tam przed Bogiem duszę
Spłynie śród ciszy natchnienny głos Boga:
Wstań i jak szermierz dobiegły do mety
Ze stóp twych strząśnij pył tego planety —
Wstań, i z miłości co gdy kocha, kona,
Odlatujące wznieś w niebo ramiona!
Wstań i do katów, co spieszą ku tobie,
Sam spiesz się naprzód i witaj tych gości:
Cicho, spokojnie, błogo, w bezżałobie,
Litosnym wzrokiem twej nieśmiertelności!
Wtedy świadectwem skończ w przyszłość obfitem:
Śmiercią, bądź życia najwyższym wykwitem.
Co świat przezwał snem i marą
Uczyń jawem,
Uczyń wiarą,
Uczyń prawem,
Czemsiś pewnem i ujętem,
Czemsiś świętem,
Co głęboko w serca
Jak sztylet się wwierca
I tkwi w nich bez końca,
Choć tylko je trąca
Westchnienia powieniem —
Aż świat twój morderca
Sam klęknie i wyzna,
Że Bóg i Ojczyzna
Narodów sumieniem!

Gdy z krwi płynnej twego ciała
Myśl twa szkarłat będzie miała,
Myśl twa będzie światła prądem,
Skrzącym w górze Bożym sądem

Nad bezbożnych dolną zgrają.
Jej nie dotrzymają:
Ni męże, ni działa,
Ni kłamstwa, ni złudy,
Ni genjusz, ni chwała,
Ni króle, ni ludy!
I o trzeciej dobie
Na męki twej grobie
Ze zdarzeń powodzi
Po nad klęsk otchłanie,
Niezrodzone się narodzi,
Sprawiedliwość wstanie!

NIEDOKOŃCZONY POEMAT.

I.

WSTĘP.

(Góry w okolicach Wenecji. — Wschód słońca. — Na skale Aligier i Młodzieniec w stroju myśliwskim.)

MŁODZIENIEC.

Patrz przyjacielu! w jakiej purpurze Bóg dnia się zrywa. Bodaj by tak się rodzić człowiekowi i kiedyś tak ziemi panować! Patrz! jak ta biedna, ostatnia gwiazdeczka umiera — mówią, że tkliwe serca tak zwykły konać przed światłem genjuszu. O słońce, bywaj! zajrzyj w te jary, kędy dotąd lęgną się ciemności i mostami tęcz połącz brzegi tych bladych potoków. Tak mi świeżo — tak mi dobrze — tak bystro — ostro — tak daleko widzę — czuję, że dzisiaj nie chybię ni razu. Giemza co na tamtym wierzchołku mech gryzie, nie dożyje południa — Ot! trąbki naszych od góry jodeł się odezwały — chodźmy!

ALIGIER.

Ja tu zostanę —

MŁODZIENIEC.

Aligier! co tobie dzisiaj? Od kiedy słońce zaszło wczoraj, tyś do mnie nie przemówił słowa. Gdyśmy o północy zaczęli wdzierać się na skałę, w milczeniu stąpałeś stroną przepaści, znakiem ręki tylko ostrzegając mnie o niebezpieczeństwie. A teraz gdy łowy się rozpoczną, gdy od grania psów zadrżą wszystkie kory sosen, i ziemia i skały i duch w nas — ty się ociągasz, ty nie chcesz być z nami?

ALIGIER.

Czy nie wiesz, że o tej godzinie zwykłem modlić się do Pana? —

MŁODZIENIEC.

To poczekam.

ALIGIER.

Czy nie wiesz, że w samotności zwykłem modlić się do Pana?

MŁODZIENIEC.

To powiedz, kiedy chcesz, a wrócę po ciebie.

ALIGIER.

Wieczorem zastaniesz mnie na tem samem miejscu.

MŁODZIENIEC.

Przez Boga żywego, człowiecze chodź ze mną, proszę cię, chodź — bez ciebie nie będę umiał celować. Aż na tamten szczyt nagi dostać się musim — tam kryształy rosną i dzikie zawieszają się kozy — chodź! strzelcy mówią, że ztamtąd świat cały widać!

ALIGIER.

I ztąd można świat cały zobaczyć!

MŁODZIENIEC.

Jak?

ALIGIER.

Zamknąwszy oczy i ukorzywszy ducha przed Panem!

MŁODZIENIEC.

Znowu zatrąbili — bądź zdrów! teraz z góry na dół, potem znów w górę, w górę aż pod te obłoki. Aligier! serdecznie mi żal, że nie chcesz iść ze mną!

ALIGIER.

Nie podawaj się tak naprzód — czepiaj się gałęzi, widzę przecież — widzę — tylko nie oglądaj się ku mnie — ostrożnie tam, koło wodospadu! —

Już on mnie nie słyszy — lotem ptaka leci jak gdyby nie ciężał do ziemi — płocho, wysmukle, niedbale, o pierwszej zorzy życia buja dziecię śmiertelne, podobne duchom, które już nigdy o śmierci nie posłyszą. Ale one znają tajemnice życia. On i o życiu nic nie wie. Jak eter, z którego błękity

uwite, zrość się może w bryłę ciemną lub w jasne słońce lub w nikłą parę, igraszkę powiewów, tak i ono wszystkiem być może lub niczem! — wybranym niebios lub ofiarą piekła!

(Wznosi ręce.)

Ojcze Niebieski! onych dni zaciemniły się drogi Twoje na tej kuli ziemskiej. Twarz Twoja zakryła się obłokiem. Znów Cię ludzie szukają i znaleźć nie mogą. Ty wschodzisz. Ty wejdziesz — czemu oni patrzą w sam środek niebios? czemuż nie na widnokręgi? — Ojcze Niebieski! ta chwila przejścia, to straszny zmierzch oczom, to straszna pokusa myślom, to straszny ból sercom ich! Jeźli jej nie skrócisz, to wielu z nich poginie!

(Klęka.)

Za tym Cię proszę Panie, któregoś duszę mi powierzył — wysłuchaj o niej świadectwa mego. Ona bezustannie, sama o tem nie wiedząc, ku niebu Twemu się wydziera. Zaród wszelkiej piękności, iskra Twoja pali się w jej głębiach, tylko że ciało jako mgła wielka obeszło ją zewsząd — przez mgłę, duch, którego strzegę, szuka Ciebie!

I nie przejrzał dotąd, że Ty nie tylko wysoko nad nim, nie tylko głęboko pod nim, ale też i wewnątrz niego samego przebywasz. Daruj mu więc Panie, że tęskni za Tobą!

I oto smętno mi aż do śmierci Panie, bo pora jego niewinności przemija — bo serce mu wkrótce rozedrze walka dobrego i złego, jedyna, straszna matka cnoty. Wspomnijże i o mnie Panie! — zmiłuj się nademną, miłując się nad nim!

(Zniża czoło do samej ziemi.)

A nie proszę Cię Ojcze Niebieski, byś mu ujął co z trudów życia — wiem, że na wzór wszystkich wygnanych w świat, a przez świat wracających ku Tobie, on próbę fałszu przebyć musi, gdy pokusy wybije godzina. Stań się wola Twoja — chłostaj go gradem boleści — poniż go wśród ludzi — niech mu włożą kajdany na ręce — niech ciało jego wycierpi męczeństwo. Jedno uskąp mu hańby podłości, jedno zbaw go od wiecznej nocy Ducha! —

— A na to dozwól mi, bym go ostrzedz mógł w tej przedostatniej chwili.

— Niech dzisiejsza noc mnie słucha, gdy ją zaklnę Twojem Imieniem — niech wyziewy dolin i pary potoków zlecą się do

mnie, a ja z nich stworzę wiotkie postaci, natchnę je myśl Snu który jutrzejszej nie dożyje Zorzy! —

Ale w nim będzie prawda wiekuista Twoja i prawda doczesna tej ziemi.

A ten, którego miłuję, wspomni kiedyś o wiekuistej Twojej, i za to Ty go zbawisz, o Panie!

(Długie milczenie.)

MŁODZIENIEC (wchodząc.)

Cóż to? dotąd na tem samem miejscu, pod tą samą jodłą, i dotąd się modlisz? daj mi rękę — wstań.

ALIGIER.

A ty tak prędko wróciłeś, Henryku?

MŁODZIENIEC.

Czy śni się tobie? wszak porzuciłem cię o wschodzie słońca, a teraz, patrz! ono z tamtej strony nieba za cyple skał się chowa — Tak prędko! — a od kiedym cię opuścił, trzy razy wzdłuż i wszerz przeszedłem Lodnik Hewaldyny, byłem na wierzchołku tych gór i potrzykroć trąbką odzywałem się z parowu — musiałeś mnie słyszeć?

ALIGIER.

Prawda — już wieczór.

MŁODZIENIEC.

Dzień ci więc przeminął jako jedna chwila?

ALIGIER.

Szczęśliwy komu tak całe życie mija — znać, on żyje w wieczności! Lecz cóż się z tobą działo? co ta krew znaczy na twoich piersiach i na rękojeści noża?

MŁODZIENIEC.

O małom nie zginął — to nie krew lekkiej giemzy lub niewinnego daniela. Słuchaj tylko, a zarazem idźmy drogą naszą, bo strzelców wyprawiłem naprzód i nim ich dogonimy, noc będzie.

ALIGIER.

Zstępuję za tobą.

MŁODZIENIEC.

Otóż słuchaj! — Strzeliłem do dzikiej kozy; spadła z urwiska, potoczyła się aż na same dno przepaści. Wołam więc moich

Tyrolczyków, powiadam, wskazuję, ale żaden nie był, nie widział, zatem sam muszę iść do jaru po zgubę. I poszliśmy we trzech, obchodząc daleko, szukając przeprawy, coraz niżej na dół, aż w bory ciemne, wielkie bory sosen. Czarno tam, a taki szum, jakby się każde drzewo modliło do Boga — idziem, a tu coś łamie się po gęstwinie, tuż przed nami, nie dalej jak na strzał — może sarna, jeleń może — ja do strzelby — patrzę — zapomniałem nabić — sięgam więc po nabój — aż w tej samej chwili niedźwiedź się wydobywa z zarośli — i stanął i wietrzy i ujrzał nas! — Moi od razu, razem oba wystrzelą — kule gdzieś po skórze tylko drasnęły niedźwiedzia. Stanął dęba i rycząc sunie ku nam — oni krzykną na mnie i pierzchnęli — krzyczą jeszcze i co tchu na bliskiej sosny wdzierają się konary. Sam jeden zostałem — nie wiem czemu, bo jakiejże chwały człowiek dorwać się może w boju ze zwierzęciem, nie wiem czemu, ale wstyd mi było uciekać. Ojce moi nigdy czy z łowów, czy z pola bitew nie uciekali. Strzelbę rzuciłem — nóż wyrywam z pochwy — a już kudłaty król boru siedzi mi na piersiach — jak człowiek chciał mnie opasać rękoma — pazury w żywe mięso mi ciśnie. Natychmiast go pchnąłem w pierś i w pierś go pchnąłem raz drugi. Za trzecim dopiero się obalił — padłem z nim razem ale on już leżał podemną, bez ducha! potem strzelcom w oczy plunąłem i darowałem im skórę zakłutego — na pamiątkę podłości!

ALIGIER.

Pan cię obronił — za ocalenie podziękowałżeś Panu?

MŁODZIENIEC.

Może nie słowami, ale całem serca czuciem, kiedym się zerwał, otrząsł i rad że żyję, wzniósł ręce do nieba!

ALIGIER.

Są chwile, w których Pan więcej nie żąda od nas!

MŁODZIENIEC.

Dziwna! — anim o tyle nie opadł na siłach — takim rześki jak z rana. — Uważaj Aligier jak prędko schodzimy — już mieszkania ludzi niedalekie być muszą, kiedy to dziewczę tędy przechodzi. Hej! dobry wieczór śliczna! — czy nie słyszysz?

czy się boisz? zatrzymajże się i daj mi konwalije, które trzymasz w dłoni!

DZIEWCZYNKA (przechodząc).

Nie dam ich tobie, ale tamtemu —

MŁODZIENIEC.

A to dla czego?

DZIEWCZYNKA.

Bo całkiem wygląda jak ten biały Anioł, co stoi po prawej stronie Bogarodzicy nad naszym wielkim ołtarzem — ale ty z innych stron zapewnie, tyś nigdy nie był w kościele naszym, tyś nie widział tego Anioła — (do Aligiera). Dobry wieczór — proszę cię weź te kwiatki, panie!

ALIGIER.

Dzięki ci dziecię — bądź szczęśliwem, dziecię!

MŁODZIENIEC.

A zatem ja brzydki, panienko?

DZIEWCZYNKA.

I ty piękny, lecz nie tak jak Anioł! —

(Przechodzi.)

MŁODZIENIEC.

Daj mi połowę tych kwiatów, zachowam je na pamiątkę, że proste dziewczę uczuło to samo co ja, kiedym pierwszy raz w życiu cię ujrzał — prawdę mówi, prawdę — i nie tylko lica twoje urodziwsze, ale i duch twój wznioślejszy od mego. Aligier, czy pamiętasz tę pierwszą chwilę naszego spotkania? Ona mi w oczach gdyby teraźniejsza —

ALIGIER.

I mnie równie, bo o tej chwili stałem się przyjacielem twoim —

MŁODZIENIEC.

Ot! widzę ten stary budynek, w którego salach tysiąc rówienników moich siedzi, a nauczyciele z katedr mówią do nas. Widzę te w węża załamane wschody — i zakręt ten — i wschód ten sam kamienny, na którym mi się objawiłeś.—Nie prawdaż, harde było ze mnie chłopię, choć niedorosłe i wątłe na siłach.— Szedłem właśnie z domu, przechodziłem wśród nich wszystkich

z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu, nieświadom! Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniej! Krzyczą «panicz, panicz,» jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło — poręczy żelaznych się uchwyciłem — oni ciągną mnie na dół, za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje. Byłbym może pod ich stopy runął, ale tyś się ukazał — zchodziłeś z góry taki sam blady, taki sam wysmukły jak dzisiaj, tylko że z okiem w płomieniach. Nikt cię nie znał — widywali cię tylko czasem i pamiętali wyraz twego czoła — krzyknąłeś — oni odpadli odemnie — jak liście suche odpadli odemnie. Daj rękę Aligier, ja nigdy tej chwili, nigdy nie zapomnę?

ALIGIER.

O nie możesz Henryku, ale słów którem wtedy wyrzekł, pierwszych słów moich do ciebie nigdy nie zapomnij!

MŁODZIENIEC.

Tak — czuję jeszcze twój uścisk — słyszę jeszcze głos twój: «Oni niesprawiedliwi. Ty bądź więcej niż sprawiedliwy — przebacz im w duchu i kochaj ich w czynach,» potem zeszliśmy razem, a tyś przechodząc wśród nich, spokojnym czasami powtarzał głosem: «hańba wam.»

ALIGIER.

I od dnia tego nierozdzielni byliśmy —

MŁODZIENIEC.

I będziem do śmierci — bo od dnia tego wiem, żeś wyższy odemnie i za to kocham ciebie.

ALIGIER.

Do śmierci, mówisz?

MŁODZIENIEC.

Tak —

ALIGIER.

Ja umrę przed tobą —

MŁODZIENIEC.

Nie szpeć takiem przeczuciem tej cichej godziny. Raczej okiem całem pijmy to światło złagodniałe — piersią całą to

letnie powietrze, woniami róż dzikich natchnione! patrz! te ostatnie promienie na gór śniegu, ta gwiazda wschodząca nad szczytem skał, to uśmiech Boga nad nami — a ty ze mną, a ty przy mnie — czegoż więcej nam trzeba?

ALIGIER.

Jeszcze raz ci mówię: Ja umrę przed tobą —

MŁODZIENIEC.

Nie dobryś — przecież już ojciec mi umarł — i matka i siostra śpią w trumnie — i wielu z tych, między którymi wzrosłem, odeszło na wieki — groby ich marzą o mnie w biednej dalekiej Ojczyźnie. Tam jeden żyję ostatni z rodu mego — a tybyś miał opuścić mnie także, pójść tam gdzie lepiej, nie zostać się ze mną! nie — nie, Aligier!

ALIGIER.

Zaród śmierci czuję w tych piersiach — ale czyż żywych tylko umiesz kochać, a umarłych nie? Duch mój wszak nie umrze w tobie, choć postać moja odleci? Z serca do serca przeskrzydla się myśl! — czegom pragnął, o com się modlił, ty wykonasz — a pragnąłem byś był mężem wśród ludzi — wśród duchów niebieskich Aniołem! Kiedy już na te góry, na to niebo, na ten wieczór patrząc, radbyś czas w biegu zatrzymać i wołasz: «Piękny, piękny.» Henryku! pomyśl, jakim cudem na tym świecie dusza, na którą patrząc każdy wołać musi: «Ty piękną jesteś.» Braciom twoim daj szczęście takie. Bądź wśród nich arcydziełem!

MŁODZIENIEC.

Czy mi ostatnią wolę zapisujesz? Aligier, daj pokój, nie chcę słuchać tego — zwiałeś mi wszelkie przeźrocze z błękitu niebios — zasłona jakaś roztacza mi się przed oczyma — powiedz, gdzie jesteśmy? co to się znaczy? przecież już nam blisko było doliny? Dziś jeszcze, kiedyśmy razem o brzasku tędy przechodzili, krzyż, tu na prawo, gdzieś widziałem! gdzież się podział?

ALIGIER.

Idź za mną.

MŁODZIENIEC.

Alboż znasz lepiej kraj ten odemnie? ot! wschodzi księżyc, przyjaciel mój — on mi rozwiąże zagadkę.

ALIGIER.

Czekajmy więc.

MŁODZIENIEC.

Przez Boga żywego! im więcej światła przybywa, tem bardziej nie widzianą nigdy wydaje mi się okolica — niech tylko opadną te wyziewy — tam, tam bieli się droga — nie — to mgły wstęga na łące. Hej! czy nie ma tam kogo! Hej! hola! odezwijcie się — wystrzelę — może nas usłyszą!

ALIGIER.

Góry usłyszały i odpowiadają.

MŁODZIENIEC.

Jaki grzmot echowy! — czy pojmujesz, jakim my sposobem zabłądzili? zdaje się, szliśmy wciąż jak się należy — w tem, jedną razą, czy uważasz, potrojone skały — same niebo się odmieniło — tam morze z chmur jar zalało i jak niewzruszony Lodnik świeci. Ztąd wstają wyziewy, snują się, snują, aż w mózgu się zawraca. Teraz ciemno choć oczy wykłuj — ot! znów księżyc górą, a taki jaskrawy, przykry! Aligier! ja już nie trafię do ładu.

ALIGIER.

Czego więc czekasz? — idź za mną!

MŁODZIENIEC.

Na lewo tym ciasnym wąwozem?

ALIGIER.

Takie natchnienie moje!

MŁODZIENIEC.

Pójdę, gdzie chcesz, szukaj, krąż, wstępuj w górę, schódź w dół, wszystko mi jedno — nim zorza zejdzie, musim błądzić wciąż. — Nigdym takiej nocy nie widział — kto wśród niej mądry będzie, ten albo wielkim tych puszcz dziedzicem, albo giemzą, tych skał panią — Hej! gdzie ty? odezwij się!

ALIGIER.

Tu, obok.

MŁODZIENIEC.

Przeklęta mgła, buchnęła mi z pod samych stóp — zaćmiła oczy — a teraz sobie w górę płynie do tamtych sióstr — patrzaj! czy to nie stary król na tronie z brodą, z berłem w ręku

— za nim zaraz wąż ogromny — nie, smok raczej — nie, już teraz czteroskrzydlny Cherubin — a tam, ot! tam w przedziale między skałami, widzisz, cały naród cieniów spieszy na sąd ostateczny! — A to co? na czemże się ja tak potknąłem?

ALIGIER.

To, wywrócone wrota, za któremi stary smętarz leży.

MŁODZIENIEC.

I właśnie księżyc teraz zaświecił, jak blady czyściec dusz nad tym smętarzem ciał — przed chwilą jeszcze taki rześki byłem, lżejszy od powietrza, a w tej chwili tak mi ciężko, tak serdecznie źle — nie wiem czemu i skąd — chyba mnie te stare nieboszczyki urzekli. Gdybym usiadł na tem kamieniu, zdaje mi się, zasnąłbym.

ALIGIER.

Oprzej się na mnie.

MŁODZIENIEC.

Dobrze, bo kleją mi się powieki i chciałbym tu zostać.

ALIGIER.

Dalej jeszcze trochę — aż do tej białej kaplicy!

MŁODZIENIEC.

Dobrze — ciszej nam będzie pod dachem, niż na tym wietrze.

ALIGIER.

Czemu więc stajesz? idźże!

MŁODZIENIEC.

Boże! czy wzrok mój oszalał od jadu tych wyziewów? albo czy śpię już i śni mi się?

ALIGIER.

Co widzisz?

MŁODZIENIEC.

Czoło twoje dziwnie zżółkło w tych miesięcznych promieniach — oczy tak ci zapadły — wychudłeś — zdajesz mi się coraz starszy, wyższy — czy to ty?

ALIGIER.

Ja, Henryku!

MŁODZIENIEC.

Głos twój tylko jeden podobny do ciebie. Teraz marzy mi się, że wieniec laurowy błysnął koło włosów twoich i krąży i znika i znów się pokazuje — odpędź go — ja się boję ciebie — nie pójdę dalej. Sen mnie tłoczy ku ziemi — padnę — daj mi upaść! Bóg widzi, żem twarz gdzieś podobną oglądał — gdzieś —

ALIGIER.

Jeszcze kroków kilka.

MŁODZIENIEC.

Gdzie to było? — gdzie? — A znam ten wieniec, znam ten podziemny ogień w oczach, z innego świata przyniesion! — Taki obraz w sali godowej, w domu ojca, na obiciu w gwiazdy srebrne, na obiciu zielonem, w domu ojca. — Tak. I ojciec mawiał, że przed laty człowiek ten zwiedził piekło i czyściec i w raju był. — Mistrzu, mistrzu, gdzie mnie wiedziesz?

ALIGIER (wnosząc go do kaplicy).

Teraz możesz zasnąć.

II.

S E N.[1]

Zdało się młodzieńcowi, że się postać Danta k'niemu odwróciła i rzekła: «Kędy wiekuista Miłość i Rozum i Wola, ztamtąd mnie posłano, bym ci pokazał piekło dni teraźniejszych — zbądź więc trwogi wszelkiej i kędy idę, idź!» — I jak słup bladawy uniosła się postać w przestwór ciemny i po mglistych stąpała wyziewach, gdyby po falach nadpowietrznych. Czasem z pod jej stóp wyrywał się nikły meteor, a ztąd i zowąd podnosiły się szare brzaski i przepływały i gasły w oddali; a duszy młodzieńca stało się bardzo smętno, bo nie wiedziała dokąd idzie. A szła w nieskończoność i czuła, że w nieskończoność złego.

Postać zatrzyma się na szczycie góry jakiejś i niby we wnętrza jej zstępować zaczęła, a rozwidniało się stopniami i z obu stron drogi stały kute w skale ściany — przez ciasne strzelnice śniady świt się wdzierał — przy ścianach, na prawo, na lewo, zbrojny, w jednakim stroju, wszyscy równi wzrostem, wszyscy jednakowi tym samym liców wyrazem — a ciągłym ruchem to garbią się, to prostują, czyszcząc żelazne lufy, które trzymają w ręku. Postać dotknęła powiek młodzieńca znikomem dłoni powiewem, mówiąc: «Przejrzyj — boć tu zaprawdę wstęp do piekł na ziemi.» A wnet obaczył dusze onych wszystkich, na pół z ciał wychylone, nie mogące ani wstąpić do nich napowrót,

[1] Ułamek ten był już drukowany u Günthera w Lesznie, w 1852 r. pod tytułem: Sen, pieśń z niedokończonego poematu.

ani też w pełni się oderwać — i targając się, płakały: «Nam ni żyć, ni umrzeć — gdzie każą, iść musim przeciw Bogu, a idziemy — przeciw braciom, a idziem — biada nam!» — I płacz ich był nieukojony. Postać stanęła, pytając: «Mówcie, czem wy i jakie imię wasze?» Lecz usta onych ciał wszystkich nic nie odpowiedziały. — «Gdzie ojczyzna wasza?» — A oczy onych ciał wszystkich podniosły się w górę pełne podziwu. «Gdzie dom wasz?» a śród ócz tylu niektóre tylko upuściły łzę, jakoby mętnego wspomnienia. Lecz ramiona wszystkie coraz żywiej się ruszały, gładząc wciąż lufy i ostrząc kolce bagnetów — aż z nad niemych ciał odjękły wszystkie dusze razem: «Dziećmi nas jeszcze zagnano w świat — kazali nam zapomnieć o sobie, a drugich zabijać — kto się opierał, ten sam jak zdrajca, kulą zabity, legł — a teraz nie pamiętamy zkądeśmy wyszli, ni wiemy, gdzie pójdziem.» A na to im blada postać: «Dawniej, kiedy męże stawali do boju, znali jakiej sprawie służą i czemu trzeba umierać — oni jako Bogi wojny, a wy jako jej bydlęta.» I jednem skinieniem rozerwawszy łańcuch zbrojnych, poszła postać ku schodom, co się wiły w głąb.

Za wieszczem zeszedł młodzieniec w ciemne podziemia — nagle potop światła roztoczy się przed nim, ujrzał mury czarne i kraty i obręcze z łańcuchami wpojone do murów i w lampach alabastrowych lubieżne płomienie i jedwabie kobierców na ziemi — i mnóstwo ludzi koło jednego człowieka, który na wyniosłem krześle, biały i wysmukły jak niewiasta, przewraca kartki księgi czarnej. Przed nim krzyż marmurowy, olbrzymi, pod same sklepienia — i rozpięty na krzyżu posąg Chrystusa. Od stóp do głów wzdrygnął się cień Danta i rzekł: «U starych potępieńców nie spotkałem tego świętego znaku. Oni przynajmniej nie umieli bluźnić Bogu, Boga samego imieniem — ale patrz i słuchaj.»

Przełożony nad mnóstwem schylił się i ciągnął z pod stóp krzyża ciężkie wory złota. Wszyscy, którzy tam stali, kołem przystąpią do niego — wszyscy wyciągnęli ręce — pot chciwości kapie im z czoła. On im płacę rozdając, uczy ich, a głos jego piszczący i drgliwy, jak zgrzyt rylca po szklannem zwierciadle: «Gdziekolwiek się wkradniecie, bądźcie uprzejmi i słodcy — w domu starożytnego pana sypcie dumie pochlebstwa

— w domu ubogim przymilajcie się nędzy. Gdzie mąż nęka żonę, pocieszajcie ją — gdzie ojciec synom skąpi, pożyczcie im grosza. Wszędzie, gdzie silniejszy słabszego uciska, bądźcie słabszemu obroną, a wszystkie ich skargi i nadzieje jak skarb ukryty, staną przed wami otworem. Jeśli kto ponury i milczący, sami zacznijcie rozpaczać, a krzyk wasz obudzi głos jego. Jeśli gdzie młodych spotkacie, drżących niecierpliwie do czynu, zwiążcie ich zaraz strasznemi przysięgi — dajcie im pod szaty tajemnicze oręże — bo z ludźmi jak z kłosem — im pełniejszy, tem prędzej wykruszon! — A pamięć wasza niechaj będzie chciwa, ostra, nieskończona. Gdy wiatr trąca liście po drzewach, obzierajcie się za tym szumem — szpilkę gdy znajdziecie na drodze, podejmcie ją i przynieście tu — więcej ona warta niż miecz — bo gdzie miecz leży, tam już nie czas! — Kochajcie dzieci i bawcie się z niemi — jak motyle na kwiatach, tak na ustach niedorośląt siadają czasem ich rodzin tajemnice. Wiedza jest darem darów. Ciała wszystkich w jednem się nie zmieszczą więzieniu, ale głowa jedna zdoła objąć myśli wszystkich i jak wieczne więzień sklepienie zawisnąć nad niemi! — Idźcie w świat. — A owi wszyscy ciężarni złotem poznikali jak mary.

Z drugiej strony lochu zwinęła się różana makata — drzwi się za nią żelazne roztwarły. Weszli posługacze, wiodąc pod boki człowieka w łachmanach, który się wyprostował i ryknął jak zwierzę: — Dajcie jeść, dajcie pić — wczoraj ojciec umarł z głodu — dziś rano matka skonała — a mnie pali gorączka, i ja umrę w nocy. — Skinął przełożony, a wnet podniosła się naprzeciwko lazurowa makata, za którą błysnął stół gnący się pod srebrem mis i kryształem czar. Rzucił się zgłodniały — ale wstrzymali go: — Wprzódy przysiąż nam na wierność. — Jeść, jeść! a przysięgnę potem. — Na to rozśmiał się wysmukły i wskazał na krzyż, a konający padł na kolana przed krzyżem.

I zdało się młodzieńcowi, że głos przełożonego wzbił się jak syk węża: — Na Trójcę świętą i na mękę Pańską, co obaczę, co usłyszę, czego się domyślę, donieść tu przyrzekam, choćby jęk brata, choćby siostry westchnienie. Jeśli co przyjaciele, jeśli co krewni knują, wypowiem — a niech ich gardło pod nóż kata się dostaje. Gdybym co zataił, niech sam zginę przybity do deszczek i rwany kleszczami, palon ogniem i pojon trucizną. —

Ale klęczący nie chciał powtórzyć słów onych i padł na ziemię, wołając: — Umieram! — a wysmukły odrzekł mu: — Umieraj! i założywszy ręce, czekał.

Nastąpiło wielkie milczenie — i zdało się młodzieńcowi, że się sam pyta postaci: — Mistrzu! gdzie są dusze tych ludzi, że nie widzę ich, choć wzrok Duchów od ciebie przejąłem. — A postać: — W sprawiedliwości Boga nie znalazło się dość srogiej kary na nie — zatem w wiekuistą puszczone pogardę, ztożsamiły się ze swemi ciałami. Im tylko śród wszystkich święty dar żywota odebran, i gdy te ich pierwsze ciała się rozwiążą, ich samych nie będzie już nigdzie. — W tem podrzucił się zgłodniały w stronę zastawionej biesiady — przysięgnę — szepnął, sypiąc skry oczyma, a przełożony podał mu rękę i postawił go znów na kolana. On zaczął przysięgać! —

I mara jakoby anioła, z zasłoną na czole, wyjrzała z przestrzeni, krzyż broniąc kręgiem skrzydeł swoich — i dopóki trwała przysięga, stał anioł rozpostarty przed krzyżem — lecz go nikt z tych wszystkich widzieć nie mógł. A gdy skonał ostatni wyraz przysięgi, gdy ciało zgłodniałe wstawszy wlokło się dalej, twarz anioła pokryła się wielką śniadością — i zasłonę rozdarł, wołając: — Dusza jedna, Panie, zginęła! — Ten krzyk na wskroś przeszył serce młodzieńca i zdało mu się, że musiał spuścić głowę z nieznośnego bólu.

Gdy oczy podniósł, wszędzie ciemności — a środkiem ich płynęły blade smętarze, pełne sterczących rusztowań i kości niepogrzebanych, płynęły jedne za drugiemi jak nawałne chmury. Z nad nich wzbijały się jakoby tumany liści jesiennych z szumem żałobnem — pełno tam głosów mięszało się razem, a wszystkie skarżyły na donosicieli — i niewieści szloch i dziecinny płacz i mężów donośny jęk. A cień Danta rzekł do nich: — Przyjdzie na was czas niebożęta i żyć będziecie podwójną wiecznością — waszą własną i tych, którzy was zgubili — bo z nicości im przeznaczonej wycofnie się duch i przejdzie do was Uciszcie się więc, o nieszczęśliwi! — A gdy tak mówił, zapłakał sam! —

I napowrót szedł ku powierzchni ziemi, aż znów wstąpił pomiędzy zbrojne, którzy już stali teraz pod bronią jak rzędy posągów. Dźwięk trąb i bębnów odmierzał im spadkami czas i tryb

życia. Jedni odchodzili na spoczynek, drudzy jak głazy na ich miejsca się wbijali — inni wziąwszy na cel leżących na ziemi więźniów, strzegli ich wiecznie, z palcem na cynglu, z kolbą w piersiach, z okien bez ruchu, nie oddychając. Czasem, gdzieś z tyłu, gdzieś po bokach, odzywał się huk rozstrzelania — a w miarę jak młodzieniec za wieszczem się posuwał, rozstępowały się ściany wykute w skale, coraz szersze chwytając przestrzenie, aż pobiegły każda w stronę swoją, na wschód i na zachód, póki dosięgnąć zdoła oko.

Pobiegły — cały przestwór, zda się, ogarnąć chcą — i rosną w górę, lgnąc do widnokręgu kamieniem obiciem — sklepieniu niebios podścielając się kamiennem sklepieniem, aż stał się gmach ogromny jak świat, granitowy, szary, bez błękitów i bez zieloności. A w tym świecie ujrzał młodzieniec jakoby marę słońca w wielkiem oddaleniu, przybitą do pochyłych gzymsów i świecącą wiecznie ukośnemi promieńmi. A blask ich wydawał się raczej jak choroba światła, niż jak samo światło — i w tej śniadości przechadzały się tłumy niezliczone jakoby narody ziemi i jako huk mórz wielkich: gwar ich mowy tłukł w ściany świata tego i rozbijał się.

Dusza marząca, dusza młodzieńca zapytała: — Mistrzu, gdzie jesteśmy? — a on jej na to: — W świątyni, w której ludzkość zamieszkała na dzisiaj, ale w której Boga nie masz. — I wstąpił zaraz między zgraję ludzi przy wejściu siedzących. Każden miał przed sobą dołek, własność swoją, długi i głęboki jak trumna — i nosił na głowie lampę, którą, schyliwszy się, ten ciemny dołek oświecał, wybierając zeń rozmaitych rzemiosł narzędzia. I każden z nich pracował rękoma, z osłupiałym wzrokiem jak u obłąkanych — i ujrzał młodzieniec takich, co trzymali w palcach główkę od szpilki — i mieli czoło wyżłobione zmarszczkami, jakby wszystkie lata nad zaokrągleniem główki tej przeżyli. A ile razy godzina śmierci, bijąca w oddali, odezwała się na tem olbrzymiem sklepieniu, ten i ów, tu i owdzie, spuszczał głowę i z jękiem w jamę swoją się staczał. Wtedy ich odwiązane dusze widnemi się stawały — jak modre obłoczki w kształcie kół zębatych, stęplów, lewarów, wznosiły się i płynęły równolegle od ziemi, wszystkie w stronę żółtego, odległego słońca. A na widok wieszcza powstali ci ludzie, tłukąc lampy swoje i krzycząc: — Jeśliście Bogi lub czarty, a wszystko nam jedno, o których słyszeliśmy kiedyś, złota dajcie, złota! — I trzęśli się jak kościotrupy, z wyciągniętemi rękoma. Zapłoniła się blada postać Danta krwią gniewu i odparła im: — Opętane najemniki — a oni poupadali na ziemię jak martwe bryły przed Duchem.

I zapłoniła się powtórnie postać, lecz jakoby krwią natchnienia, mówiąc: — Izali mnie zrozumiecie, gdybym wam o przeszłości prorokował? Kiedy ciało moje jeszcze z tamtej strony grobu w szczerym blasku słońca szło ku grobowi, byli także naonczas wyrobnicy na ziemi, a chorągwie ich cechów powiewały na krużgankach wież. Szkarłatem i wszelakim kamieniem drogim handlowali po jarmarkach miast — ale miecz tkwił, różaniec wisiał im u boku — ich ręka na wzburzonych falach umiała rudlować, na lądzie sypać niezdobyte szańce. Srebro brali, a brud srebra zmywali krwią bitew! — Co wy dzisiaj, z palcami jak wosk miękkiemi poczniecie, wy, których usta nie zmówiły nigdy pacierza? Wy, bez sił na ziemi i bez nadziei w niebo, a łaknący złota? — A chłopię śliczne jak anioł, ale zwiędłe przed czasem od pracy rąk, przyczołgało się — i głowę kładąc na stopach widma, rzekło po cichu: — Zmiłuj się nad nami! Co w dzień zarobim, w wieczór pożywamy — a nazajutrz o świcie znów robić musim. Nie mamy czasu modlić się do Boga, jedno robić, by zjeść co, a nie umrzeć — i ledwo co zjadłszy, znów robić by jeść — zmiłuj się nad nami. — A widmo stało się śniade, jako ten chłopiec, który mu włosami stopy obcierał — i wzniósłszy oczy w górę westchnęło: — Przeszłość nie powróci — dziecię! — módl się o przyszłość do Ojca, który jest w niebiesiech. — A chłopię odeszło szemrząc: — W niebiesiech może, ale nie na ziemi. — Tamci tymczasem zgrzytali, tarzając się w kurzawie. — I cień Danta przeszedł śród nich jak nawałnica, unosząc się dalej.

A inne tłumy w środku świata tego stały pochylone nad ogromnym otworem. Twarze zazierających pływały w łunie czerwonej — grunt na około trząsł się od podziemnych huków — i zdało się młodzieńcowi kiedy się przybliżył, że ujrzał jakoby łoże wyschłego jeziora, ocembrowane zewsząd kręgiem skalistych, prostopadłych ścian. A od głów ludzkich czarno tam

w dole, od głów ludzkich miotanych jak fale w burzy — a od węgli palących się krwawe światło tam, od węgli dymiących jak żużle wulkanu — i nieustannie wzbijały się ztamtąd groźby i przekleństwa!

Jak matka dziecię przytula do piersi, tak widmo ogarnie młodzieńca rękoma i zleci aż na ciemne dno otworu. Tam wrą i kipią dzikie postacie — ich lica zarosłe kudłatemi brody — rękawy podkasane, ramiona sine od nabiegłych żył — naprzemian kupią się i rozsypują — czołgają się po ciemnicy jak żmije, to w blasku ognisk zrywają się jak męże gotowi do boju. Koło najbliższego płomienia dwunastu rosłych jak olbrzymy, uklękło — do pół ciała zdarli szaty z siebie — trzynasty przybył z sztyletem w prawej, z czarą w lewej ręce, i rzekł: — poświęcę was. — Olbrzymy nabożnie pochylili głowy, a on na ich barkach nagich, kędy odbłysk żarów się płomieni, ryje ostrzem puginału głoski krwawe. Z nich żaden ni jęknie, ni zadrży. Słowo «Równość» i słowo «Wolność» na każdego plecach ranami wykwita. Wieszcz wtedy: — Patrz, jak ten człowiek zbiera w tę czarę krew kapiącą z ciał braci, zbiera każdą kroplę jej. Może myślisz, że on ją zachowa jako świadectwo męki, lub okaże ludowi jako godło zemsty? — A młodzieniec po cichu: — Mistrzu! czyż inaczej będzie? — Głos widma rozległ się jak łoskot podziemny: — Zaprawdę! on tę krew sprzeda kupcom, na miejscu i o godzinie targów — przejdź więc i nie patrz na niego. —

A gdy szli dalej, rzesza jedna czarna wołać zacznie, zataczając się śród węgli gasnących: — Eheu, eheu! czyż na zawsze ciemny padół mieszkaniem naszem? Nigdyż się nie dostaniem na powierzchnię ziemi, do przybytku kupców? — A druga rzesza powiewem rąk budząc śpiące żary, przejęła głos pierwszej: — Do świątyni złotego słońca, kędy dostać i słodkich win i smacznej strawy i cienkich szat — do giełdy, kędy człowiek grą zdobywa potęgę, a od kolebki do śmierci rąk ni razu nie kaleczy pracą. — A trzecia wylała pełne flasze oleju na ogień, krzycząc: — Bądźmy odważni, a wstąpim do giełdy narodów — przecież i u nas znajdą się piersi jak mur i kły jak u drapieżnych lwów — a długie gwoździe weźmiem z sobą, bo nie mamy szabel. — Wtedy wszystkie zgraje razem klasnęły w dłonie, rycząc: — Choć opierać się będą inne plemiona, my się wedrzem na te

brzegi kamienne. Raz tylko, raz jeden niech nam losy zdarzą położyć się w raju bogaczy, na ich jedwabnych kobiercach. Iżaliż lepiej może być w niebie, jako im na ziemi? — Bądźmy więc jak oni szczęsnymi przed śmiercią. — A wtem wstąpił między wołające on człowiek z puginałem i czarą, wiodąc za sobą napiętnowane olbrzymy.

Mnóstwo przywitało go pijanym wrzaskiem, pytając: — Którego dnia wywiedziesz nas ztąd? — On odparł: — Poczekajcie jeszcze nieco, a przyjdzie godzina. — Olbrzymy podnieśli ręce, słyszano ich kości łom, krew świeża tryśnie im z ran, przysięga zagrzmi z ust: — Za was zwycięztwo lub zgon! — I przeciągnęli za wodzem w stronę jaśniejących szubienic, które stały długim rzędem, jedna w drugą, gorejącemi kagańcami strojne.

A pod każdą klęczały chłopięta, po bokach siedzieli prawnicy i biegli w piśmie, ucząc je jak mają imię naddziadów przeklinać. Dzieci owe przekleństwa szemrzącym powtarzały chórem — a gdy które ucichło z niemocy, lub zapłakało ze wstrętu, przystępowali nauczyciele z biczem w ręku, a ono zasłaniając się rączętami, ciągnęło dalej. Jak słup szary stanął cień Danta przy tym smugu klęczących — i słuchał — potem nagle krzyknął głosem wielkim. Prawnicy zbledli i zapytali: — Kto przemówił? — A on na to: — Jeden z tych, którym złorzeczycie, wy kłamcy, wy obłudni — wy gorsi niż podły gad! bo macie wzrost szlachetnych i mowę uczonych. —

Patrzcie się w moje umarłe oczy — izali nie pęknie wam serce ze wstydu? Wiecie li co wolność Ducha? Biada wam — wy znacie tylko co wygoda ciał. — I przywołał dzieci i rozciągnął ręce nad temi, co w pobliżu się cisnęły i w stronę tych, co dalekie były, błogosławiąc wszystkim: — Nie wierzcie fałszom — wyście sługi — ale ojce ojców waszych byli wolnymi w prostocie serc swoich. Wiara w Boga tarczą im była od ucisku ludzi. Świeżość wiosny rozkwitała w ich duszach — w chacie równin czy w zamku na szczycie skał, oni byli sobą — kochali kochając, lub walczyli walcząc. Dziś jako świat wielki, tak miłości nie ma i jako świat wielki tak i walki nie masz. —

I zdało się młodzieńcowi, że jeden z prawników podniósł się i szedł do postaci trzymając dwie lufy w rękach — a był jednooki, krzyczał: — Równość i mord! — i czapkę miał na bakier

a na niej wyszyte słowo: — Lud. — Idąc zataczał się, a gdy s tanął, odwiódł kurki i zaczął mowę mieć, przewracając oko samotne i pieniąc się na ustach. Lecz postać przerwała mu: — Wrzask twój, dźwięk marny, a nie żadna myśl — nie krzykiem lecz czynem, nie mordem lecz nastrojem wszystkich stoi Rzeczpospolita. Tyś zwierzę a nie Duch — i zanim przeminie lat dziesięć, ty sam lud twój zdradzisz! — Oko mówcy zaszło krwią i truchlejąc zniżył lufy żelazne, a cień Danta rzekł do młodzieńca: — Przechodząc plwaj na tę duszę, pogardą! Z fal ta najgorzej huczy co się ma rozbić na piasku — piersi ludzkie, to fale świata. —

A tu grunt zaczął niżej zstępować, a światło szubienicy przyświecało jeszcze, ale coraz słabiej, aż ukazały się w dole inne gwiazdeczki, silne, niewzruszone, na wzór lamp czuwających w szpitalu. Każda z nich, nad rogożą zatknięta — na każdej rogoży niewiasta i lud cały niewiast leży, jęczy, wzdycha, płacze. Gdzie niegdzie ozwie się krzyk ostatni, śmiertelny — i znowu jęk, westchnienie, płacz przeciągnion w coraz dalsze i głębsze podziemia.

Jedna z tych zerwała się przed widmem Danta, okręciwszy koło rąk włosy rozpuszczone i targając je — a młodzieniec ujrzał jej duszę wplecioną między te włosy, od głowy do rąk i od rąk aż do stóp spływającą z niemi, w nieznośnych podrzutach: — Mów, ty — krzyknęła — ktokolwiek jesteś, i ty drugi, mówcie wy oba mężczyzni, czemu mnie z powierzchni świata zepchnięto do dołu? Pókim ciało miała nadobne, chodziłam w promieniach słońca — ludzie dobrzy byli dla mnie. Gdym zwiędła jak kwiat, jak najpiękniejszy kwiat, wzięli mnie, zrzucili między gnijące, w ciemny mrok, gdzie płacz i zgrzytanie. Im, mężczyznom, kiedy zestarzeją, młodzi pieśni pochwalne śpiewają—nam, przededniem śmierci na wiele dni jeszcze każą się kłaść do trumny. Prosim się, skarżym się, wołamy. Oni daleko, oni nie słyszą—potem konać zaczniem; oni jeszcze dalej, oni nie przyjdą nas pożegnać — i tak trzeba umierać. — A gdy mówiła, inne się dźwigały i wstawały wołając: — Sprawiedliwości! sprawiedliwości! — A za temi inne jeszcze, tłukąc się w piersi, szlochając, przeklinając. Aż strugi łez z ócz ich spłynęły na włosy ich długie i z włosów kapały na ziemię z głuchym szelestem

dżdżu jesiennego. A słabsze lub bardziej znękane ledwo się podniosły, znów upadały — inne, tylko klęczeć mogąc, wlokły się na na kolanach — inne, twarz, przez pamięć piękności zasłaniając rękoma, szły ku Widmu, a z za ich palców ócz tylko dwoje gasnących świeciło.

Ujrzał wtedy młodzieniec kilku starców w czarnych, długich szatach z kropielnicą w ręku, rzucających wodę na te wszystkie głowy i śpiewających głosem ponurym. Jedne z niewiast spuściły czoło i cicho na rogoże pokładną się nazad. Inne przykląkłszy, całują tych starców w ręce i szepcą przed niemi nieskończone żale. Ale ta sama co pierwsza się zerwała, jeszcze gwałtowniej rwąc włosy, krzyknie ku nim: — Tam, na powierzchni świata, mężczyzni nie słuchają was, ale rzekli wam: Idźcie, bądźcie szpiegami kobiet umierających! Gdy dusze ich od ciał się odrywają, uciszajcie ich skargi! Gdy klną nas, zamykajcie im usta! bo ich jęki nie miłe nam! Czasem z przepaści, gdy wzniosą się razem, psują nam porę biesiady lub godzinę targów! A wy poszli, zstąpili, przyszli. Wy nas uczycie jak cicho umierać. Otóż ja umrę głośno, wołając: Duszęm miała, duszę nam, a na ziemi ciało mi tylko przyznali! Ty sądź Boże, Ty, coś mi duszę dał! — I dusza jej przed oczyma młodzieńca ostatnią konwulsją wyrwała się z plecionki jej włosów i poszła po nad lampy w ciemną przestrzeń, jak krwawe płótno przekłute tysiącami igieł.

Wieszcz przechodził zadumany, nic nie odpowiadając, jakoby ze wstrętem. Aż przyszedł do łoża białego, co stało na uboczu, w wielkiej odległości od tych wszystkich innych. Tam paliła się lampa na słupie marmurowym, pod krucyfiksem, i w szacie żałobnej odwrócona klęczała niewiasta. Cień wieszcza się zatrzymał i stojąc milczał, jakoby w smutku głębokim.

— Mistrzu, kto ona? — zapytał młodzieniec. A cień mu na to: — Przed laty jednę tylko kibić podobną tej widziałem, raz na ziemi — a potem raz drugi tam wysoko, tam w niebie. Gdy twarz obróci, kto ona, poznamy. — I stał, nie przerywając modlitwy niewieście.

A młodzieńcowi się zdało, że obok czarnej klęczącej widzi białą klęczącą, zupełnie taką samą, tylko że miasto długich włosów, skrzydła dwa miała anielskie cicho w krzyż zwite i zło-

żone niżej ramion. A na tych skrzydłach głębokie rany i w każdej ranie gwóźdź sterczący, tak że się skrzydła rozwiązać nie mogą. Po chwili obie te postacie zaszły jedna na drugą — i znów tylko czarna niewiasta klęczy. Wtedy cień: — Oto skończyła modlitwę, bo jej śnieżna dusza zniknęła — i dodał jakoby mimowolnie: — Beatrix. —

Czarna pani obróciła się i rzekła: — Ta, która to imię nosiła przed laty, nic oprócz raju nie znała na ziemi, bo zgasła w pierwszej wiośnie życia — nic oprócz raju za ziemią, bo niebo zaraz ją wzięło do siebie! Ale mnie nikt pierwszej drugą nie zapłacił wiosną. To nie moje imię! — I załamawszy dłonie, stała z twarzą bez krwi, białą jak alabaster.

A gdy ją wieszcz zaklął, tak mówić pocznie: — Urodziłam się w ziemi mlekiem i miodem płynącej, którą zwą dziś ziemią mogił i krzyżów — zwą też i ziemią niedoli! Tam w górze wyście słyszeli o mnie. Lecz języków tysiąc zatruło i rozszarpało imię moje, zanim doszło do was. Zrazu zwali mnie rodzice: niewinną, śliczną, szczęśliwą! później nazwano mnie inaczej: niewolnicą! —

— Bo obyczajem świata, mnie dzieckiem jeszcze, mnie bezmiłosną, wydano czy sprzedano za mąż. O! zapłaczcie nademną i nad temi wszystkiemi siostry mojemi, które nic jeszcze nie wiedząc ni czując, idą bezwolnie ciało i ducha oddać tym, co wszystko wiedzą i wszystko już czuli — ale którym wiedza nie przyniosła anielskiej jasności, jedno dała chytrość zgrzybiałą szatanów!

Wszystko zniosłam, bo wszystko znieść można na tej smutnej ziemi, prócz jednego uczucia: pogardy! Kiedy ten sztylet wpadnie pomiędzy dusz dwoje, rękojeścią w sercu jednej, ostrzem w sercu drugiej utopion, jakżeż im dalej iść razem po drodze życia? Im, co już tylko tem jednem, tem śmiertelnem skute są do siebie żelazem? Jakżeż codzień ten sam chleb łamać, czekając aż śmierć wreszcie pobłogosławi, rozdzieli? Kazałam sobie, nie — a musiałam — prosiłam się Bogu, by nie — a musiałam pogardzać. — Tu umilkłszy znów stała niewzruszona, z twarzą bez krwi, białą jak alabaster.

A gdy ją wieszcz znów zaklął, jęcząc odrzekła: — Bogu w dzień sądu, Bogu samemu nie odpowiem. Jedna ja wiem, jedna pamiętam! Jakby dziś, widzę ten pałac, tę ulicę lip rozwonionych i za gałęźmi słońce zachodzące. Czuję się pod temi drzewami, przechadzam się jakby w letargu. Wszak mówili tych dni wszystkich, że się coś gotuje na ziemi naszej? W powietrzu śród zapachu sianożęcie, pływało jakieś przeczucie, jak kiedy zaraza ma uderzyć, jak kiedy wielu ludzi ma powstać i walczyć i zginąć! A mąż mój wysmukły i biały jak niewiasta, przechadza się także i czeka na coś, na kogoś! Ach! czeka z uśmiechem nigdy niezapomninalnym!

Z różnych stron do ogrodu wsuwają się ludzie — znam i tego i owego i wszystkich — to krewni, przyjaciele, sąsiedzi! On im ściska dłonie, coś obiecuje, przysięga! Gdy słońce zaszło, prosi, by odpasali broń i siedli raz ostatni się naradzic. Każden broń odpasał, usiadł na murawie. On klasnął, znak dał — do syku węża podobny był gwizd jego. Żołnierze zewsząd, żołnierze, żołnierze. —

— Nie pytajcie mnie — jam imię tego człowieka nosiła — jam mu była przysięgła na wierność do grobu — ja go wam nie wydam, jak on wrogom braci swoich! —

— A teraz oto trzecie imię moje na ziemi: shańbiona! Wiecież wy za co, o ludzie? Za to, że rozpacz rozerwała mi serce a przyszedł dzień, w którym ukochaną zostałam — za to, że w tym dniu uwierzyłam w piękność i dobroć i rozum na ziemi — za to, żem umarłą podniosła głowę, żem krzyknęła: — O! jakże z trumny dobrze w niebo róść! — za to, żem święcie kochała! —

I tu umilkłszy, znów stała niewzruszona z twarzą bez krwi, białą jak alabaster. A gdy ją wieszcz po raz trzeci zaklął, rzekła cicho: — Chodźcie za mną — i zdjąwszy lampę z pod krucyfiksu, coraz bardziej się oddalała od ludu niewiast leżących, wijąc się w jakąś przestrzeń podziemną, w lochy ciasne a rozdłużając się żywotnie w miarę jak ona rękę wyciąga i lampę podnosi.

Wszędzie te same ściany płaczące wilgocią — ciągle to samo sklepienie niskie i duszne. Szelestu jej stąpań nie słychać — żaden powiew nie igra z jej lampy płomieniem. Młodzieniec idzie, a coraz mu tęskniej i zwiędniej i słabiej — niby to powietrze umyka się zewsząd, odpływa od niego — niby to ciężar jakiś

niewidomy głowę mu przygniata — niby to w piersiach krew mu już stygnie — zdało mu się, że sam krzyknął: — nie pójdę dalej! —

A czarna pani obróciwszy się, rzekła, lampę mu nad czołem trzymając: — Jednej godziny nie możesz wytrzymać, ty z rodu mężczyzn, ty silny i dzielny, tam gdzie mijają i przeminą wszystkie lata moje — odejdź więc w pokoju. —

A wieszcz smutno się odezwał: — Gdzież ten, który kochał ciebie? — Ona spuszczając oczy odrzekła: — Tam gdzie go jego męskie losy zagnały. — Wyrwał mnie z samotności serca, a zostawił w duchu samotności — kochałam go, a opuścił mnie. — I wskazała na kamień daleki, bielejący śród tych ciemnic, mówiąc: — Tam już dusza moja w własne skrzydła obwinięta, pochowana leży — a to Ja na które patrzycie, to tylko ciało, co dotąd nie umiało skonać. —

I z wielkiego smutku padła na kolana wołając: — Ty który wiesz, powiedz czy z nami tak na wieki będzie? — I pierwszy raz wtedy zapłakała.

A wieszcz rękę położywszy jej na czole: — Wyście dotąd były jak lilije Boże, co rosną, nic nie wiedząc o własnych barwach i woniach. Oto idzie dzień, w którym się każda z was na myślącą różę przemieni. Wymkną się struny natchnienia z rąk mężczyzn i przejdą w dłonie wasze. Oni do stóp wam pochyleni błagać was będą o jedną pieśń osłody — o jedno proroctwo nadziei, o jeden obraz piękności — bo ich dola, trudów nieznośnych i twardych czynów wtedy dolą będzie. Lecz wy zapatrzone w Boga, nie spojrzycie na nich, nie usłuchacie ich płaczu. Wtedy im serca pękną, jako wam od wieków! —

— Wyrzecz jeszcze jedno słowo do mnie — rzekła czarna pani, modląc się do wieszcza wzrokiem. A ona: — Tak będzie, aż przyjdzie na was wtórej przemiany godzina — i znów podacie im ręce — i serca ich konające zbawicie miłością — i na zawsze staniecie się jako siostry ich, równe im na ziemi i w niebie. — A gdy czarna pani coraz rzewniej płakała, dodał: — Odwołaj duszę, a nie lękaj się — bo gdyby co zaginąć mogło, prędzejby w sądach Pana olśnęła męzka gwiazda chwały, niż wyschła na próżno łza nieszczęśliwej. —

A gdy klęcząca spokojniejszą się wydała, cień ją opuścił —

i szedł prosto ku grobowi, porywając młodzieńca za sobą — i gdy grób ten biały mijał, rzekł: — Zaprawdę, ona umrze w tych ciemnościach i tu odpoczywać będzie — bo czas idzie dopiero, lecz nie nadszedł dotąd. — I grób ten pobłogosławiwszy, niósł siebie dalej — dalej z głębi w górę.

Aż przed otwór przepaści, wysoko, wysoko nad sobą, znów ujrzał młodzieniec sklepienie granitowe świata. W miarę jak się dobywał z głębi, ono się rozszerzało w śniadem świetle swojem — słychać było ztamtąd jakoby huk tysiąca rozkołysanych dzwonów — jakoby odgłos kroków spieszących się, kroków miliona — i stęki kamiennych posadzek pod niemi! A gdy widmo stanęło u brzegu otworu i znakiem dłoni jak wirem przyciągnęło młodzieńca — on obaczył wszystkie narody ziemi idące ku żółtemu słońcu i pod tem słońcem wystawę olbrzymią, czarną, na której trony jakieś w oddaleniu świecą!

Jak gnane wyziewy, jak płynące koryta, jak pędzone trzody, tłumy prą się, rwą, rzucają, jedne za drugiemi, wszystkie w tę samą stronę. Dzwonów niewidzialnych dźwięk brzmi po całej przestrzeni — starce i młodzi, niewiasty i dzieci nadchodzą, przechodzą, mijają, pomięszani razem — a starce proszą się młodych by zwolnili kroku, by się zatrzymali na chwilkę, by ich wzięli z sobą. Tamci ni się odwrócą, ni słuchać chcą — biegną! I blade dziewice stanąwszy i płacząc, proszą się braci, proszą się kochanych by na nie zaczekali. Oni się nie obejrzą — biegną! I matki tam z niemowlętami na piersiach mijały, spiesząc się — i nagle tu i owdzie dziecko potrącone w biegu zapłacze, odwinie rączki, spadnie na posadzkę. Zewsząd inne następują tłoki — matka żadna się nie zatrzyma ni schyli, ale bieży dalej! Nad takiem ciałkiem dziecięcia zdeptanem stanął młodzieniec, pytając: — Mistrzu! czy to już sądu ostatecznego godzina? — A widmo twarz zasłaniając rękami: — To tylko godzina sądu kupców — to Giełdy i targów godzina! —

I rzekłszy, poniosło młodzieńca na wskroś przez świata przestrzeń, aż na tamten koniec, gdzie słońce ono i ona wystawa — i zdało się młodzieńcowi, że stoi zawieszon w równi z tą wystawą, a niżej od słońca tego — i że go jakby skrzydła czyjeś utrzymują w powietrzu — a postać mistrza oblekła się w wielką pogardę i znikła.

A owo słońce było jakby ze złota i ze sztucznych płomieni — a wystawa była z marmuru czarnego, wschodami wiodąca aż tam, gdzie górowały trony świecące. Na nich siedzieli wybrani kupcy z wędrownych pokoleń wschodu, w długich szatach, z siwemi brody, z purpurową przepaską na czole — a pod ich nogami leżały ogromne wozy, pełne brzęczącego kruszczu.

I czasem z tych leżących podnożów wyrywały się przerywane głosy, jakoby nalegania, prośby, wyrzuty. I poznał młodzieniec, że w tych worach dusze kupców ukryte i spętane, płaczą. A w miarę jak się nieszczęsne coraz bardziej skarżyły, wzrastał gniew siedzących — i gniotąc wory stopami, zagłuszali jęki tych własnych dusz swoich.

A gdy się biedne uciszały, oni wolnym i chrapliwym głosem zaczynali radzić, wskazując czasem rękoma na odmęt ludów, ciągnący ku nim z stron wszystkich. A nad idącymi narody, wisiały w przestworze ogromy mgieł czarnych, poprzerzynane pasami rudej jasności — i przejrzał młodzieniec, że to był kształt wszystkich dusz ludzkich zgromadzonych razem i leżących zbiorowo nad ludźmi — niby krew ulotniona, niby żużle roztopione, niby żar dogorywający śród wielkich ciemności.

Pod tą łuną, jak pod piekłem nadpowietrznem, szły narody, na wzór kry huczącej, na wzór burzy co grzmi. Czasem wzbijał się krzyk padających, głuchy stęk duszonych i deptanych. Jeden z kupców z tronu wstał — skinął — i wnet obok wystawy, na dole rozsunęły się ogromne głazy, rozwarły się lochy, i rzędem z pod nich, niemo, posągawo, powstawać i iść zaczęli żołnierze z bronią w ręku, z bagnetami u luf — i potrójnym szeregiem stanęli z obojej strony wschodów marmurowych.

Coraz więcej huku, łoskotów, jęków, nawoływań — każden ród, każde plemię, każda zgraja chce się pierwsza przecisnąć. Ogromy zbite z tysiąca rąk, głów i piersi, przewalają się, zniżają, podnoszą. To błyśnie krwawem światłem łuna nad niemi, to znów szaro i sino i marnie w powietrzu. Jak trąby morskie, jak walący potop wód i chmur, już dochodzą do stóp wystawy. Żołnierze zagrzegotali bronią i broń wymierzyli ku mnóstwom — na chwilę wielka cisza nastanie — a inny kupiec wstał i zawołał: — Oto się targi rozpoczynają — i dzwony bijące, raz jeszcze uderzywszy razem, oniemiały w przestrzeni.

Wtedy kupiec zapytał się ludzi o wypadki dnia zeszłego — a w miarę jak mu z dołu głosy przełożonych nad ludami książąt i mędrców odpowiadały, donosząc o waśniach i rzeziach, o odkryciach i wynalazkach, stojący za nim wspólnicy radzili i układali się — i znów wielka cisza nastała. Słychać tylko szept głosów kupieckich w granitowym świecie. Łuna nadpowietrza zbladła, wszystkie dusze ludzi razem pobladły od oczekiwania!

A po chwilach kilku, kupiec mówca ogłosił o ile się podniosły jedne, a zniżyły dtugie ceny na ziemi. Wtedy z mnóstwa nieoddychającego wzniesie się nawałnica poklasków i złorzeczeń, krzyku i płaczu. Jedne zgraje wołają: — Z głodu pomrzemy! — a drugie: — Niech żyją kupcy wszechmożni! — Jedne pląsają wrzeszcząc: — My wygrali j — a inne: — O kubcy, o Bogi nasze! zmiłujcie się nad nami! — I znów zaczęły się swarzyć i bić i mordować — znów jedne ciała poszły w dół, a drugie w górę, deptając po tamtych!

Trupów wiele ujrzał młodzisniec stratowanych przed wystawą — a po tych trupach porządkiem przechodząc, zaczęli żyjący wstępować na marmurowe wschody. Pierwsi szli książęta z berłem w ręku, z mieczem u boku, otoczeni wielkimi urzędnikami narodów. Sklepienie z żołnierskich bagnetów wzniosło się nad ich głowami i strzegło ich od stóp wystawy po pół olbrzymich wschodów — a tam kupcy zstąpili ku nim i ścisnąwszy im ręce, wiedli ich wyżej.

Z nimi wstępować zaczęli wszyscy przemyślni żwłata — rękodzielnicy i wyrobniki — lichwiarze i kramarze — jedni nieśli towary, drudzy wory spore, inni jeszcze powiewne papierów zapisanych zwoje. W miarę jak dochodzili połowy wschodów musieli stawać, a grzmiący głos z góry pytał się o imię każdego z nich. Oni odbowiadali nazwą rsemiosła lub towaru, lub rękodzielni, alboliteż liczbą jaka — bo własnego, ludzkiego imienia żaden już nie miał świecie.

A za nimi, z morza czarnego ludów, oto wydobył się orszak zgarbionych i smętnych, trzymający w ręku, dźwigający na plecach, dawne jakieś miecze, kolczugi i hełmy. W tej samej chwili młodzieniec usłyszał w powietrzu: — Patrz na starej szlackty ostatnich potomków. — I obejrzawszy się, ujrzał znów widmo za sobą.

Orszak wstępował po wschodach czarnych aż doszedł ich połowy i tam na szerokim stopniu marmurowym zasiadł. Każden z tych ludzi wtedy zacznie nożem i młotem pracować koło zbroi, którą przyniósł — tłuc ją, rozrywać i łamać. A Widmo: — Patrz jak wybierają damasceńskie złoto i perskie turkusy z ojcowskich tarcz — jak zamierzchłe djamenty oddzierają od buzdyganów i szabel — by ślad ostatni starożytnej chwały ponieść kupcom na sprzedaż. — A gdy tak skarżył cień Danta, oni odłamki rozbitych zbroic rzucali na dół — i powstał chrzęst wielki tylu chełmów, pancerzy i kordów, zlatujących po marmurze i roztrącających się.

A syny dzielnych wstały i szły wyżej, trzymając ku kupcom wyciągnięte dłonie pełne proszku złotego i błyszczących klejnotów — a idąc, prosili się głosem uniżonym by mogli wstąpić między książęta i handlarze. Dano znak z góry, że wolno im — wtedy podziękują i wzniosłszy głos zaczną się targować o cenę kosztowności onych! Ścięły się usta Danta i plusnęła z nich krew, a głosem grobowym zawołał: — Piekło dawnych ludzi nie bolało mnie tyle! —

I położył dłoń niedotkliwą na głowie młodzieńca mowiąc: — pamiętaj. — Ale w tej samej chwili zdał się znowu znikać i stopił się z przeźroczem przestrzeni — i nie było go!

Od środka świata, z podziemiów przepaści, wzbił się teraz posępny, wściekły wrzask, który przeleciał po nad głowy narodom i rozbił się o wystawę. Książęta i urzędniki na chwilę pobledli — ale kupcom twarz się nie odmieni — rozśmieli się tylko, głaszcząc brody siwe.

Szły ztamtąd olbrzymie postaci samym środkiem mnóstwa czarnego — szły na przebój i coraz bardziej rosły w oczach młodzieńca, aż poznał owych dwunastu poświęconych i ich wodza trzynastego, który ich prowadził, sztylet w prawicy trzymając, a w lewicy czarę.

A gdy zbliżał się do wystawy, twarz jego, po nad głowami innych ludzi, zdała się pryskać iskrami, nabiegać potęgą. Przywiódł swoich aż na pierwszy wschód — tam kazał im posiąść i czekać. Sam, nie pytając o żadne pozwolenie, a ręką odginając bagnety żołnierzy, wstąpił i w górę szedł — ogromny, niewstrzymany, potrząsając grzywą włosów jak lew!

A jeden z kupców zeszedł k'niemu i wprowadził go aż na sam szczyt wystawy, w środek koła radnego. W tej chwili zdało się młodzieńcowi, że nagle oczy olbrzyma pozbyły iskier i że gniew czoła jego mięknieje. Jednak stanąwszy śród kupców krzyknął głosem podobnym do grzmotu: — Od sponiewieranych, uciścionych i nędznych raz ostatni przynoszę wam pozew — równy podział wszystkim, albo zgon wam. — I głosowi temu wtórowały zgraje niektóre — i głosowi temu w oddali odkrzyknęła przepaść!

Olbrzym schylił się i obosieczny puginał rzucił na posadzkę — potem jeszcze niżej się garbił i spuszczał, aż czoło jego zniknęło z oczu narodów — i tak przełamany, siadł na jednym z tronów kupieckich i cichym głosem zapytał: — Mówcie prędko — za tę czarę krwi, wiele dajecie dzisiaj? —

A gdy mu kupcy oznajmili cenę, którą byli naznaczyli, on odparł: — Nie dosyć za tę krew dzisiaj. Alboż wy wiecie, co się dzieje w przepaści? Alboż wy śmieli kiedy zstąpić do niej? Teraz, tam zgromadzeni wyją i czekają na powrót mój, piersi sobie kalecząc i rwąc włosy z wściekłości! Dziś, po tylu już zawodach znów zawiedzeni, może się zbuntują — może już nie pochlebstwem, nie wymową, nie obiecankami, ale tym puginałem będę musiał ich spokoić. A wy się tu ze mną targujecie! O kupcy i pany ziemi! czyż błogi ciąg dni waszych nie wart trochy więcej złota? — Kupcy mu na to: — Alboż nie codzień to samo nam mówisz? jednak, byś nie narzekał, krwi, którąś przyniósł, podwyższamy cenę. — I radząc między sobą ofiarowali mu więcej. Lecz on znów odparł: — Nie dosyć mi za tę krew dzisiaj! — I wznosząc czarę do góry, udał, że chce wstawać z tronu.

Wtedy jeden z kupców, z przepaski purpurowej na czole odpiął ogromny djament i rzekł: — To gwóźdź z krzyża na Golgocie, co się tak przekrysztalił tej nocy, w której Bóg wasz skonał. Nazajutrz zaraz zrana prapradziad mój oderwał go z drzewa. Odtąd chowamy go w rodzie naszym. Mów, czy ci dość tego djamentu za krew twoich braci dzisiaj. —

Olbrzym spojrzał — i wnet zniżył czarę — i krew z niej całą wylał na czarny marmur przed stopy kupcom, mówiąc:

— Gwóźdź moim. — Żyd rzucił mu djament do próżnej czary, która w jękliwy oddzwoniła dźwięk!

I porwał się wódz poświęconych i brał się nazad ku narodom świata. Zstępując złorzeczył i groził, aż przybył do swoich-którzy się podnieśli, pytając: — A co? kiedyż? — On dumnym głosem im odparł: — Wy tylko za mną idźcie teraz — dziś nie czas jeszcze — lecz przyjdzie godzina! — I pociągnąwszy ich za sobą, przerzynał się przez mnóstwo, w stronę przepaści.

Wtedy kupiec mówca oznajmił narodom, że wielki pokój i wszelka bezpieczność na ziemi — że każdemu godzi się wejść i zejść, handlować sprzedażą i kupnem! Na tronach w górze zasiedli wszyscy kupcy i wszyscy książęta — u stóp ich, orszak szlachty pokładł się na marmurze — głowy oparli o brzęczące wory, z których dusze kupieckie jęczały — w garściach ścisnęli zdarte ze zbroic klejnoty — i tak leżeli niewzruszeni, bezbronni, ze zmarszczonemi brwiami, z dużą łzą w oku! A ludzie wszelacy tłoczyli się wschodami nieustannie to w górę, to na dół, jak dwa nurty przeciwpłynne — i powstał gwar waśniących się i godzących się — a na dole mnóstwo, hucząc, sprzedawało i kupowało także!

A były tam zgraje ponure i wołające, że chleb dzisiaj na zawsze straciły — ale nikt ich nie słuchał. Stały tam całkie rzędy ludzi, jakoby chorych i trzęsących się od zimna, a żebrzących — ale nikt na nich nie spojrzał. Leżały tam gdzieniegdzie ciała stratowane, ustami jeszcze ruszające i szemrzące: — ratunku! — ale nikt im ręki nie podał!

A gdy tak działo się na ziemi, owa łuna dusz wszystkich, pluskając krwawemi połyski, coraz bardziej w przestrzeniach siniała. Nakształt serc, co jedne po drugich pękają, gasły i przepadały wszystkie jej ogniska, światełka, promienie. Wreszcie czepiając się gzymsów granitowych, czarną kopułą dymu zawisła nad gmachu ścianami — i słońce ono żółte od niej się zaćmiło — i gmach ten niezmierny zczerniał widnokrężnie od podstaw swych po szczyty swoje. Kupcy tylko jedni na tronach śród tej nocy błyszczą. I świat był jak Giełda, ciemna — a oni, jako królowie świata!

I wszystkie te obrazy zachodząc jedne na drugie, mięszać się i psuć zaczęły przed okiem młodzieńca. Z mgły coraz posępniejszej i gęstszej znów wyjrzało widmo z twarzą smętną, lecz pełną pokoju — i młodzieniec usłyszał: Odwróć się od tego piekła podłych! — i chłód orzeźwiający jakby powiew nocnego wiatru z tym głosem Danta przemknął mu po skroniach.

Widmo ujęło go za rękę i poszło przodem — i szło po chmurach jakichsiś białych i cichych, śród zapachu niewidzialnego zioła. Szafir nieba tu i owdzie się wynurzał — gwiazdki jakieś migały w oddali — aż znów jęk wielki przybiegł z za tych chmur i rozległ się po nich i skonał — a ledwo skonał, drugi się podniósł — i trzeci — i czwarty. A srebrne chmury się rozsuwały jak stado potrwożonych łabędzi.

I zdało się młodzieńcowi, że na jednej z nich został wraz z wieszczem i że ztamtąd jak z wyniosłego ganku patrzy na szeroką równinę i szczerych błękitów krąg, którym pełnia księżycowa przyświeca. I zdawało mu się, że przed sobą, na polach onych, widzi wszędzie jakoby las z samych chudych i wysokich drzew — niby to sosny, a dziwnie obcięte — każda o dwóch konarach tylko i każda na osobnej mogile — a jęki nie ustawały — owszem, częściej zaczęły powracać — a każden z nich trząsł powietrzem jak grzmot — jakby tysiąców ludzi cierpiących razem, przedśmiertny, słyszno-kręźny krzyk! Cień zapytał się: — Czy widzisz czyściec dni teraźniejszych? — Młodzieniec na to: — prócz niebios tych i boru tego nie widzę nic. — Wtedy wieszcz, wznosząc powoli ręce: — Powtórny widzeń dar przejąć musisz odemnie, bo wzrokiem, którym przenikałeś podłych, ujrzeć nie możesz szlachetnych. Lecz wprzód coć powiem, wysłuchaj uważnie! —

Śmierci nie ma — są tylko straszne marzenia o niej. Pan nigdy i nigdzie jej nie pomyślał, bo wszędzie i zawsze sam żyje. Własnem znikczemnieniem tylko zadać sobie można wiekuisty zgon, a kto umrze tak, temu życia ni grobu już nie masz — spodlił się do nicości i znicestwiał przez podłość. Chyba po miljonach lat coś rozbudzi się z niego — taki nie oczyszcza się, ni zmartwychwstaje. Lecz kto odżyć ma, ten przemienić się musi — każde przemienienie do czasu nosi pozór śmierci. Oto próba grobu! — A w niej pełno szyderstwa i łez, i bolu, i złudzeń. Osobniki i całkie plemiona, i ludzkość, i światy muszą ją wytrzymać — każdy nieśmiertelny musi się jej dotknąć. Kto jej nie zniósł,

ten zginął na zawsze. Bądźże lwiego serca teraz, bo tych złudzeń kształty oto się rozwiodą przed tobą. — I dłoń przykładając mu do powiek, tchnął na nie...

I zdało się młodzieńcawi, że z każdej sosny boru tego wytryska przed nim postać ukrzyżowanego męża. Ujrzał mnóstwo ciał w powietrzu rozpiętych, krwawych, drgających — coraz ich więcej i więcej. W widmowem świetle księżyca tłumy ich za tłumami występują tu i tam, i owdzie, i dalej jeszcze, i dalej, jedne obok drugich, jedne za drugiemi aż pod sam widnokrąg się ciągną — cała przestrzeń żywa, głośna, konająca niemi. I poznał młodzieniec, że to naród cały w Chrystusowej męce rozwieszon nad własną ziemią swą — i łzy zalały mu wzrok!

A cień wtedy: — Nie odwracaj się, ale patrz, choć wstrętno ci! By zwyciężyć ból, w ból wwiedzieć się trzeba. Uważaj, w tym lesie niezmiernym, pracą umyślną, potężną, każda sosna odgałężniona i przeciosana w krzyż! Uważaj, każda podparta mogiłą z gruzu — a gruz ten, to żywych niegdyś kościołów i zamków, dziś sucha kość. I uważaj jeszcze, wszędzie między mogiłami jednakie odstępy — krzewów ni darni nigdzie. Jak skały przebudowują w miasto, bory te przebudowano w jeden smętarz mąk. Doskonały kat tylko tak odmierza ból, tak porządkuje śmierć! —

I spojrzał znów młodzieniec i zdało mu się, że widzi po tych wszystkich mogiłach, jakoby wstęgi mgły miesiącem osrebrzonej — a choć wiatru żadnego nie ma, to podnoszą się, to zniżają naprzemian, jakby cierpiące także i bezspokojne. I poznał młodzieniec, że to szeregi niewiast i dzieci, w białych szatach, pod krzyżami stojące. I widać było ręce ich wyciągnięte ku wierzchołkom drzew, gdyby mnóstwo skrzydeł bladych, chcących, a nie mogących wzlecieć i — z niemocy opadały na dół — a wtedy wszczynała się drżąca, modlitwiana pieśń, którą pochłaniał płacz!

A krew kapie i kapie z góry na te tłumy śnieżne — i przelewa się przez nie — i ścieka pomiędzy mogiły — a ztamtąd słychać jakoby strumieni wzbierających szum. I znów zdało się młodzieńcowi, że go Widmo upomina: — Nie odwracaj się od tych topniejących mnóstw i od tych czerwonych potoków. Teraz idzie na wszystkie ukrzyżowane śmiertelny, przepływny

dreszcz — skonać nie mogą, ale muszą konać tak, a ty widzieć to! Rozkazuję, patrz! —

A nim jeszcze spojrzał, już usłyszał jęk z tysiąca tysięcy krzyżów, rozgrzmiewający się — i wszystkie drzewa od kończyn równiny zaskrzypiały — i wicher powstał od tylu głosów rozdzierających i wiał tu i tam! Wszystkie ciała jakby jednym bolu podrzutem schwycone, trzęsą się i szarpią, każde na krzyżu swym — i jak po piorunie letni deszcz, tak wszędzie krwi gęstsze puściły się strugi. I zwolna przemija ta burza mąk — stopniami umilkła równina — znów na wszystkich krzyżach niewzruszenie, porządnie — wszędzie cicho znów — krwi tylko słychać nieustanny spad!

I oto przez powietrze przeleciał śmiech rozrzynający je. I spojrzał młodzieniec w stronę śmiechu tego, pod sobą zaraz— a tam na czystem polu, przed pierwszym rzędem krzyżów, czernieje kopiec wysoki z samych rozwalin i węgli, jakby ostatek miasta po wielkim pożarze — a z warstw popiołu wyzierają szczątki dział i połamana broń — i snuje się dym siny, opasujący stojącego na tych zgliszczach olbrzyma.

I w tej chwili promień księżyca wpłynął nań. Znać koronę ze stali jakby plecioną z łańcuchów — znać płaszcz żołnierski kajdanami podpasan, tylko że zamiast miecza, bicz rzemienny wisi u kajdan tych i aż do stóp mocarza spływa. A gdy jęk ukrzyżowanych się odezwie, on głowę wytęża, przysłuchuje się — a gdy zabrzmi niewieści szloch, on odpowiada nań dłoni poklaskiem. A cień Danta rzekł: — Doskonały kat! Słuchaj teraz, on ich kusić zacznie! —

I zdało się młodzieńcowi, że przechylił się z nad kopca ukoronowany olbrzym i że rękę wyciągnął ku umęczonym mnóstwom, a drugą trzymał na pasie z kajdan i na biczu, jakby naorężu jakim — i wołał: — Wyrzeczcie się przeszłości i przyszłości, ojczyzny i Boga — uznajcie mnie przeszłością i przyszłością, ojczyzną i Bogiem — a jakom kazał was powbijać na krzyż, tak każę z krzyża zdjąć. Tłuszcze me przywołam i zdejmą — i naród szczęsny uczynię z was! Dam jadła i napoju i wszelkiej obfitości moc. Będą jeszcze ciała zdrowe, świeże, tysiące, z waszych nędznych, podziurawionych ciał! —

Ale tłumy ukrzyżowane nie odpowiedziały nic — zwykłym

15*

nawet nie skarżą się jękiem — krwi tylko wystąpił aż po za pierwsze krzyże szeroki prąd — i jak bałwan morski w brzeg, uderzyła w kopiec, a w brzęku tym usłyszał młodzieniec jakoby słowo: nie. I śnieżne tłumy niewieście nie odpowiedziały nic — tylko gdy fala od kopca wracała, schyliły się i zerwały z ziemi dzieciątka swe — a całe rzędy dzieci onych, trzymanych w powietrzu, krzyknęły: nie! A ledwo rozległ się ten tysiączny drobnych głosów szmer, wielka się jasność rozleje w przestrzeni — i młodzieniec oczy w górę wzniósł!

A tam wysoko, wysoko, na samym szczycie nocnych błękitów, zdawało się, że z ponadniebnych głębi zstępują dwie drogi mleczne, przecinające się z sobą w jeden ogromny, jasno biały krzyż — i na krzyżu tym widać było rozwieszoną postać, w coraz dolniejsze spływającą przestrzenie, rozpostartemi nad światem ramiony, których łuk się rozszerzał i olbrzymiał co chwila. I ujrzał młodzieniec na tem czole nadniebnem koronę cierniową, jakoby z palących się a cichych piorunów — i na tych dłoniach i na stopach tych ujrzał jakoby ran trzy, błyszczących jak trzy czerwone księżyce — i nieustannie z nich lały się jakoby tęcze krwi — i każda tęcza taka spadając, przekrapiała się na roje gwiazd, które rozsypywały się i świeciły po niebie. I tak, w chwale i krwi, ukrzyżowana i stwarzająca, coraz to niżej i niżej spuszczała się postać, rozsłoneczniając przestwory pod sobą — aż z dróg mlecznych, które ją niosły, stały się jak dwie bezmierne obręcze ze srebra, od wschodu na zachód i od południa na północ okuwające widnokrąg — aż z krwi płynącej stało się miljon gwiazd, który przesłonił jej kształty. I wzrok ócz jej tylko przebijał, jak dwie żywe błyskawice, które nie rozchodziły się na wszechświat, ale szły prosto na dół od nieba do ziemi i padały w pełni na ukrzyżowanych las.

I w tem spojrzeniu bożem wystąpiły te wszystkie ciała blade i zbroczone — i wszystkie te głowy, jakby trupie już, ze zgasłemi oczyma. I zdało się młodzieńcowi, że widzi naród cały zamordowany, pływający w morzu niebieskiej jasności — i zawołał: — Za późno! za późno! —

Wtedy cień Danta, przyklękły na chmurze, wstał i rzekł: — Zaprawdę! zaprawdę! tu czyściec dni teraźniejszych, bo wszelkie ciało na tych równinach umęczone — ale nad duszą narodu tego czuwa Najdroższy. Utajony sam! — A gdy młodzieniec płakał i bił się w piersi i ukoić się nie mógł, mistrz dodał: — Nie płacz nad nimi, ale nad tamtymi, nad szarym światem z granitu — bo tam piekło i rozpad i sądny zgon — a tu ból tylko! Wszakem powiedział ci: z bólu zmartwychwstaje duch — z podłości tylko zmartwychwstania nie masz! — A gdy tak mówił, zasuwała się kurtyna chmur — a równina i las i niebo i wzrok postaci niebieskiej znikały.

Coraz to chłodniej i rzeźwiej i jawniej. Wieniec tlejący nad czołem Mistrza zaczyna się roztapiać. Młodzieńcowi się zdało, że widzi znów wnętrze jakiejś kaplicy i pola i góry i wschodzące słońce — i wyciągnął ręce wołając: — O! Mistrzu! Mistrzu! pokaż mi niebo — owo trzecie — na ziemi! —

Cień Danta jeszcze raz skupił się w kształt i objawił całkiem śród napływającego światła. Lecz głos jego był inny, jakby już daleki, już wracający w chwale tam, skąd przybył. — Dotąd na waszym świecie piekło tylko i czyściec — ale duch Pana zamieszkał wam w piersiach — wyście jak przepaści — a w głębiach waszych tajnie ukryte błękitu. Wiarą wzbudźcie je w jaśń — skrzydłem woli świętej wznieście je w górę, wynieście na zewnątrz — przed sobą, nad sobą, w okół siebie rozwidnokręgźcie je miłości czynem! Wtedy ono trzecie zacznie widomieć na ziemi — lecz baczcie pilnie — żaden doń inny nie powiedzie tor — nie ślepy traf, ni przeznaczeń mus, ni swawoli dąs, ni żadnej pychy kłam. A biada wiekom! jeśli gwałty niebożc kusić się będą o dóbr Bożych lud — bo do tyla was uszanował Pan, Stwórca wasz, że wolno wam z Nim staczać bój i złem waszem zwyciężać Go — lecz skoroście wygrali tak, wnet zwyciężony Wszechistny ucieka z was, a wam pozostaje w zamian wiekuisty brak, wiekuista śmierć, wiekuiste nic. Czuwajcie więc nad losami planety waszego! —

I mdlejąc śród światła poranku — srebrząc się ostatnim śladem w powietrzu — coraz to szerszemi kręgi — coraz to przejrzystszemi — jak wiry wód poruszonych — jak powiewów uciszających się tchnienia — jak sen co przemija, poszła postać Danta w przestrzeń — w oddal — w blask słońca — w niewidzialność nieskończoności!

III.

(Karnawał na placu Ś. Marka w Wenecji. — Kościół Ś. Marka i pałac Dożów w głębi. Mnóstwo masek na placu pod portykami. — Młodzieniec. — Bankier-Książe, wschodzą.)

CHÓR GRECZYNEK.

Eulaloe-lana! My z Archipelagu uciekły — z seraju Baszy pohańca uciekły. Czy widzisz ócz naszych ogniki? Zdejm nam maskę, zdejm! Eulaloe-lana!

CHÓR WENECJANEK.

Na czarnej gondoli niegdyś Patrycjusz i Patrycjanka! Róże, aksamit i perły, miecz, gitara i puginał — w koło szmery fal! Po dziś dzień gondola, po dziś dzień róże, po dziś dzień szmery fal! — a reszta gdzie? — i sama, pusta, czarna gondola po falach z tą wiąską róż płynie!

CHÓR CYGANEK.

Do nas tu, do nas! Za groszaka przyszłość — za groszaka przeznaczenie — o groszak, o groszak prosimy cię!

JEDNA Z CYGANEK.

Stójże młody panie!

MŁODZIENIEC.

Czemu mnie zatrzymujesz maseczko?

CYGANKA.

Dajże rękę, daj?

MŁODZIENIEC.

Chcesz przeczytać mi losy me?

CYGANKA.

Co tu pokrzyżowanych ścieżeczek na dłoni tej! wszystkiego podostatkiem — miłość — rozpacz — samobójstwo — burze — klęski — szczęście — natchnienie — szał. Strzeż się kobiet, strzeż!

MŁODZIENIEC.

Więc mnie puść, bym dopełnił przestrogi,

BANKIER-KSIĄŻE.

Pan Hrabia pewnoś w życiu jeszcze takiego karnawału nie oglądał?

MŁODZIENIEC.

W istocie nigdy! co za pstrokacizn tłum! co za mruczenie i pisk!

BANKIER-KSIĄŻE.

Skorom też list rekomendujący mi Pana Hrabiego od Rotszylda, prawdziwego króla giełd europejskich, zawczoraj odebrał — natychmiast sobie ułożyłem w myśli, służyć sam Panu Hrabiemu za przewodnika śród dzisiejszej uroczystości — wszak dobrzem uczynił? wszak zabawnie i miło, kochany Hrabio?

MŁODZIENIEC.

Co mi tu najmilszem, to, że te błękity bez maski, że słońce to bez maski, że taką wonią fijołków rzucanych rozpojone powietrze, że deszczem róż wszystkie te poczwary między sobą się biją! A jaki ten kościół tęczaro-mozaikowy! a jaką przepaską koronkowych filarów ten pałac obwiązan! a to morze dal j jakimże puklerzem jednym widnokrężnym ze srebra!

BANKIER-KSIĄŻE.

Wejdźmy pod same portyki — tam najwięcej porządnych masek. Będę mógł Panu Hrabiemu pokazać osoby z tutejszego towarzystwa.

MŁODZIENIEC.

Szkoda, że ztamtąd ni morza, ni tych niebios nie widać; — ale, kiedy książe chcesz, idźmy!

BANKIER-KSIĄŻE.

Musisz Pan Hrabia mieć namiętność do malowania krajobrazów, kiedy tak ciągle się zajmujesz powietrzem i wodą?

MŁODZIENIEC.

Wcale nie — lecz wzrok Boga mi z po za nich, osobliwie w tych stronach, przebija!

BANKIER-KSIĄŻE.

Aha! tylko dla tego! Widzę, drogi Hrabia egzaltacji pełen — zwyczajnie młodość, wyobraźnia! I ja też taki sam byłem, tylko że mi czas nie starczył do takowych spostrzeżeń. — Musiałem pod ojca okiem w biórze siedzieć, do kantorka przykuty od rana po wieczór — inaczej nigdybyśmy książętami nie byli zostali — ale zupełnie taki sam byłem, gdym miał lat osiemnaście. Oto jeden z moich agentów mnie szuka; na chwilę przepraszam Hrabiego. A co Petrucjo?

AGENT.

Stoją metalliki sto dwa i ćwierć.

BANKIER-KSIĄŻE.

Wstrzymać się jeszcze aż dojdą sto trzy — wtedy puścić hurmem!

AGENT.

A jak nie postąpią tak wysoko?

BANKIER-KSIĄŻE.

Wątp o słońcu że świeci, ale nigdy nie wątp, gdy ci zapowiadam ruch giełdowy jaki — za godzin dwie będą sto trzy!

AGENT.

Ale Jaśnie Oświecony Książe, gdy wszystkie od razu rzucim na targ, to mówią że dom Pignatelli i Merecz ucierpi znacznie, — może upadnie.

BANKIER-KSIĄŻE.

Właśnie dla tego — właśnie dla tego! — ruszaj!

(do Młodzieńca.)

To bardzo niedoświadczony jeszcze, nowo wzięty do mojej buchalterji pisarz — lecz się wykształci. I ja taki byłem, zupełnie taki sam, gdym miał lat osiemnaście. Czy widzisz drogi Panie tego arlekina?

MŁODZIENIEC.

Widzę.

BANKIER-KSIĄŻE.

Najpoufalszy mój przyjaciel, prawdziwy przyjaciel! Markiz, grand hiszpański pierwszego rzędu, kawaler runa złotego, komandor Moncenigo, najstarszy szlachcic z całej Wenecji!

MŁODZIENIEC.

Z tym pół łokciowym nosem, z temi brzęczącemi szmaty i tym czarnym z tyłu ogonem?

BANKIER-KSIĄŻE.

Tak, ten sam, ten sam! Jak się masz Moncenigo? zaraz cię pod maską poznałem. A to, to przyjaciel mój, Hrabia z Polski, zarekomendowany mi zawczoraj przez Rotszylda i spółkę — zapoznajcie się panowie! Przepraszam cię drogi Hrabio, takie imię twe sławiańskie trudne, że nie mogę — Lecz już nas minął Moncenigo — poleciał za tą dziewczyną w różowem domino — na drugi raz zapoznanie! Prawda, jaki piękny i gibki mężczyzna! — Przewybornie mu w tym stroju pół-djablim, pół-arlekinowym!

MŁODZIENIEC.

U nas w Polsce, gdyby się tak przebrał, powiedzianoby, że —

BANKIER-KSIĄŻE.

Że co?

MŁODZIENIEC.

Ot, na ustach mi się rozpłynęło.

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale powiedz drogi — ciekawym nader!

MŁODZIENIEC.

Roztopiło się!

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale proszę cię!

MŁODZIENIEC.

Pozwalasz Książe?

BANKIER-KSIĄŻE.

Koniecznie wymagam — zabawnego coś być musi!

MŁODZIENIEC.

Koniecznie każesz Pan?

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale musisz drogi! Mówże, cóżby powiedziano o najwytworniejszym z naszych elegantów tak humorystycznie zamaskowanym?

MŁODZIENIEC.

Powiedzianoby Mości Książe, że ojców dziarskich znikczemniały syn!

BANKIER-KSIĄŻE.

A to czemu? nie stracił ani grosza z ich majątku — dotąd wszystko ma?

MŁODZIENIEC.

Powiedzianoby, że dopóki po waszych rynkach chodzą obce najezdniki przy pałaszach u boku, a z pychą na czole, to wam nie za arlekinów się przebierać, ale w milczeniu wybohatyrzać się na dawnej Rzeczpospolitej mścicielów!

BANKIER-KSIĄŻE.

Rozmaitość obyczajów narodowych! Hrabia i politycznie widzę egzaltowany — ja taki sam zupełnie byłem, gdym miał lat osiemnaście! A tego, tego czy też widzisz, tego mnicha z kosturem i w sandałach? To malarz pierwszy tutejszy — dobry dzień Arpeggiani! Nie zapomnij obiadu u mnie we środę, punkt o siódmej. Drogi Hrabio, ja sztuki, uważasz, proteguję ogromnie. Po trzy razy w tydzień zapraszam wszystkich artystów czy pędzlem, czy muzyką, czy rymami się odznaczają. Cóż chcesz Hrabio! gdy się miljony ma, trzeba być wspaniałym. Pieniądz dziś, czem było papiestwo dawniej — więc ma się obowiąski. Trza też sypnąć czasem! cha! cha! cha! Tak dalece, że ludzie, no, naturalnie pochlebcy, o mnie głoszą, żem Mecenasem tego miasta; inni, żem z Medyceuszów rodem chyba. Może też nasze rodziny kiedyś tam się i powikłały! cha! cha! cha! Spójrz się na lewo Hrabio!

MŁODZIENIEC.

Co takiego?

BANKIER-KSIĄŻE.

Śród tych dwóch rzędów masek co się rozstąpiły, najpiękniejsza kobieta z całej Wenecji idzie naprzeciwko nas!

MŁODZIENIEC.

Ta, oparta na ręku onego wysokiego mężczyzny?

BANKIER-KSIĄŻE.

Ta sama, w czarnej sukni, bez maski. Szkoda tylko, niepowetowana szkoda, że od jakiegoś czasu chudnieje wciąż. Przypatrz że się jej! per Bachcho! oto mi rysy! oto mi oko oto mi chód! wielkiej damy chód!

MŁODZIENIEC.

W istocie coś królewskiego —

BANKIER-KSIĄŻE.

A co!

MŁODZIENIEC.

Kolana moje proszą się mnie, bym przykląkł!

BANKIER-KSIĄŻE.

Drogi Hrabio, bledniesz — czy słabo ci?

MŁODZIENIEC.

Nie, nie! O słuchaj! chciałbym w tej chwili być tą wiąską fijołków co w twojem ręku — wziąłbyś mnie i rzucił pod stopy te!

BANKIER-KSIĄŻE.

Widzę, żeś Pan Hrabia egzaltowany i co do kobiet — taki sam zupełnie byłem, gdym miał lat osiemnaście. Zatem obowiązuję się kochanego Hrabię zapoznać z księżną. Lecz teraz nie sposób, gdyż znać, spieszy się, — a potem, książe z nią — a to pan całą gębą i mówiąc między nami — to —

MŁODZIENIEC.

Przeszła! tak przeszła jak sen!

BANKIER-KSIĄŻE.

Jakżeż to powiedzieć? — to — to człowiek niezmiernie poważny, przytem niezmiernie grzeczny, ale szczególnym sposobem. Głęboko też rozumny — wielka figura — rozumiesz? nie wiem jak ci to wytłumaczyć? — to straszny człowiek! —

MŁODZIENIEC.

Jakto?

BANKIER-KSIĄŻE.

Tylko na miłość Boga nie powtarzaj nikomu, drogi Hrabio; — ja, uważasz, szczerym, otwartym z tobą — boś mi Pan Hrabia zarekomendowany przez Rotszylda i Spółkę — mówię zatem, czegobym drugiemu nie powiedział, nikomu drugiemu zarekomendowanemu przez inny dom mniej kapitalny, nigdy, słowo honoru, nigdy nie powiedział! Ale też za to nie zdradź mnie przed nikim. Czy mi dajesz słowo honoru!

MŁODZIENIEC.

Spojrz mi w oczy! czym do zdrajcy podobny? Zważ przytem Książe, żeś mi nic nie wykrył, wcale nic, powiedziałeś tylko, że to straszny człowiek —

BANKIER-KSIĄŻE.

Za wiele już — już i tak! Chodźmy dalej, nie stójmy tu, nie spoglądaj Pan tak za niemi — jeszcze powiedzą, że nie za Panią, tylko za Panem patrzysz! że jego ruchów pilnujesz! Bóg wie czego ludzie nie wykłamią.

MŁODZIENIEC.

Ale któż to, powiedzże mi Pan wreszcie?

BANKIER-KSIĄŻE.

Książe Rahoga, bardzo znakomity człowiek. Rusz się Hrabio z miejsca, w zakręt wejdźmy ten!

MŁODZIENIEC.

A ona?

BANKIER-KSIĄŻE.

Księżna Rahoga, żona jego!

MŁODZIENIEC.

Żona jego?

BANKIER-KSIĄŻE.

Tak!

MŁODZIENIEC.

Czy pewno żona jego?

BANKIER-KSIĄŻE.

A jużciż! coż za pytanie!

MŁODZIENIEC.

A więc żona — powiadasz, że żona?

BANKIER-KSIĄŻE.

Powiadam, powtarzam, przysięgam, tak jak że dwadzieścia tysięcy sześćset pięćdziesiąt i jeden napoleonów w złocie, ni mniej ni więcej, leży w tej chwili w prawej szufladzie szafy mej bankowej. Roztargnionyś Pan Hrabia — cóż w tem tak dziwić cię może!

MŁODZIENIEC.

Dziwić nie dziwi — ale boleć, boli!

BANKIER-KSIĄŻE.

A to dla czego?

MŁODZIENIEC.

Dziwak ze mnie! nie lubię żon! Idźmy dalej! Ja już gdzieś tę postać powietrznianą spotkałem — ale gdzie, gdzie?

BANKIER-KSIĄŻE.

Zapewnie w Rossji, bo Rossjanka.

MŁODZIENIEC.

Nie bluźń! nie prawda! być nie może!

BANKIER-KSIĄŻE.

Na pewno wiem, że ani Włoszka, ani Niemca, ani Angielka; — ze sławiańskiego jest pochodzenia —

MŁODZIENIEC.

Polka być musi!

BANKIER-KSIĄŻE.

A może być — podobno tak, nawet niezawodnie! Tak, masz rację Pan Hrabia; istotnie przypominam sobie teraz jak mówiono niedawno, że spadło na nią dziedzictwo jakieś w Polsce, ale w tej Polsce, co to Rossją jest!

MŁODZIENIEC.

Zkądżeś więc był sobie Książe wyobraził że Moskiewka?

BANKIER-KSIĄŻE.

Alboż to nie prawie jedno?

MŁODZIENIEC.

Tak jak Ateizm i Religja jedno! — tak, jak dźwięk twoich sztuk złota, a szczęk Napoleonowej szabli jedno, mości Książe!

BANKIER-KSIĄŻE.

Dla nas Włochów nie ma różnicy — ogólną Russa nazwą wszystkich północnych mianujemy gości!

MŁODZIENIEC.

Ah! powiedzże mi jej imię polskie!

BANKIER-KSIĄŻE.

Co tego. to nie potrafię!

MŁODZIENIEC.

Chichotania tych masek mnie zarzynają! Co tylko wiesz, powiedz mi Pan o niej.

BANKIER-KSIĄŻE.

Opowiadano więc, że dziedzictwo jakieś niespodzianie spadło na nią i to w pobliżu dóbr znacznych, które sam Książe posiada także w tamtym kraju — podobno gdzieś niedaleko miasta Odessy. Nawet przydawano, że Książe z tego bardzo zły!

MŁODZIENIEC.

Czemuż zły?

BANKIER-KSIĄŻE.

Usuńże się z drogi tym pędzącym Mandarynom! Widzisz Pan, słychać, że Książe wziął ją bez posagu, choć ze znakomitego domu, zwyczajnie z takiego, co to uświetnion herbami i chwałą, nie pilnował interesów, nie przejrzał jak my finansiści, że tajemnicą która władnie światem, pieniądz jest! Tak, drogi Hrabio! Ja się nieraz siebie zapytuję, gdy po nocach się przebudzam, jak Bóg świat stworzył bez pieniędzy — musiał mieć kapitał jakiś i sypnął nim! Czyż gwiazdy nie dukaty jego? cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC.

O Księżnie, o Księżnie mówmy.

BANKIER-KSIĄŻE.

Zatem Książe, który sam posiada ogromne majątki wszędzie,

w Austrji, Szląsku, Włoszech i tam koło Odessy, zły był, że się ona dostała do czegoś własnego.

MŁODZIENIEC.

Nie pojmuję!

BANKIER-KSIĄŻE.

Rzecz jednak matematycznie jasna. Wszak majątek przynosi niepodległość, obdarza siłą, rozwija nawet rozum, pamięć, wolę, wyobraźnię! A wszystkie te dary Boże w żonach, plagami mężom. Miał, miał na honor z czego być zły Książe! Teraz nią rządzić tak jak dawniej już nie sposób! deptać po niej już nie sposób! zamykać na klucz już nie sposób! Znajdzie przecię takich co wybiją drzwi! Patrz Hrabio, co to pieniądz znaczy!

MŁODZIENIEC.

Albożją tak uciskał? męczył? więził?

BANKIER-KSIĄŻE.

Ponure rzeczy opowiadają, a można wierzyć, bo zazdrośnik niesłychany i żelazny despota!

MŁODZIENIEC.

Chyba ten Rahoga szatanem!

BANKIER-KSIĄŻE.

Niedoświadczonyś Hrabio! Proszę cię, proszę i zalecam, ciszej mów — imion własnych nie wykrzykuj tak w głos, na publicznem miejscu. Zmiłuj się!

MŁODZIENIEC.

Jemu samemu w oczy bym powiedział!

BANKIER-KSIĄŻE.

Możeby bezpieczniej było niż za oczy — bo gotówby przebaczyć — a tak, gdy mu powtórzą, nie daruje!

MŁODZIENIEC.

Albożtu wszyscy jego krewnymi, przyjaciołmi, sługami?

BANKIER-KSIĄŻE.

Nie! — ale czemś innem może!

MŁODZIENIEC.

Czemże!

BANKIER-KSIĄŻE.

Przedstaw sobie, drogi Hrabio, że u dworu ma wzięcie nadzwyczajne, niewypowiedzialne. Choć żadnego urzędu oznaczonego nie posiada, gdy przychodzi, drzwi cesarskiej sypialni same z siebie odmykają się przed nim — gdy wychodzi, panuje — wszyscy bledną — wszyscy biegną gdzie skinie!

MŁODZIENIEC.

Lecz tu nigdzie w około nas pod maską ni Cesarza samego, ni dworzan wiedeńskich nie ma, by mnie podsłuchawszy, zaraz pobiegli mu donieść. Samych tylko widzę szalonych, zapustami pijanych, skaczących Turków, Indjan, Bogów i poliszynclów!

BANKIER-KSIĄŻE.

Nachyl no bliżej ucha Hrabio!

MŁODZIENIEC.

Słucham!

BANKIER-KSIĄŻE.

A szpiegów nie ma może na tym rynku Świętego Marka?

MŁODZIENIEC.

Jakto? co mówisz? Tej kobiety mąż policjantem?

BANKIER-KSIĄŻE.

Któż no bo takie rzeczy przypuszcza? zkąd? jak? czym co podobnego powiedział? Ale gdzież tam policjantem! alboż Cesarz naprzykład policjantem? alboż gubernator miasta Wenecji policjantem? a przecież i Cesarz i gubernator czytują sprawozdania policji!

MŁODZIENIEC.

Więc czemże ten Rahego? raz mi powiedz już, a nie męcz!

BANKIER-KSIĄŻE.

Opisać go dokładniej panu Hrabiemu istotnie nie potrafię. Wie wszystko — trzęsie wielą rzeczami w państwie — i prześliczną żonę ma, z którą pana Hrabiego zapoznać się będę starał. Na kiedy Hrabio mam zapowiedzieć cię salonowi jej? bo jeźli się nie mylę, jużeś zakochany! cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC.

Pan ani pojęcia o nas nie masz — Polska ojczyzna bajecznym

ci krajem — nie wiesz jakie kwiaty uczucia wydaje najrozdeptańsza ziemia Europy, orana lemieszem klęsk, łzami zroszona pokoleń! Nie domyślisz się nigdy spójni, co łączy jej ziomków — acz się nie znają naocznie, skoro los ich zetknie, wiedzą zaraz o sobie że równi i ciż sami bolem bezmiernym. Dość, że Polką ona, bym ja Polak, na obcej tej ziemi, zaraz siostrę w niej wyznał!

BANKIER-KSIĄŻE.

Broń się Hrabio jak chcesz, ja twierdzę żeś zakochany; cha! cha! cha! a dobrze robisz, choć to trudna sprawa — dobrze na honor! Jakaż to kibić! jakie nóżki! bravo! bravissimo! cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC.

Mości książe! muszę cię jeszcze ostrzedz o jednym narodowym obyczaju polskim!

BANKIER-KSIĄŻE.

O jakimże?

MŁODZIENIEC.

Polacy byli wesołymi niegdyś, ale dziś sponurzeli w grobie, nie lubią żartów. Za pierwszym tylko razem je znoszą — za drugim, przestrzegają — za trzecim zaś albo sami giną, albo ginie żartujący z nich!

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale się nie gniewaj panie Hrabio, ale się nie gniewaj! Jestem na jego usługi! Jakżeż? przez taki dom poleconyś mnie! przez Rotszylda i spółkę! dom wszechmocny, gruntowny, wiekuisty! lanim myślał cię obrażać panie Hrabiego! dajże mi rękę, daj! — kiedy zechcesz zaprowadzę cię do Rahogów — dziś, mów, o dziewiątej, chcesz?

MŁODZIENIEC.

Dzięki najuniżeńsze Księciu składam; odłóżmy nieocenioną łaskę Księcia na później. Zresztą i sam trafię do nich, jeźli po myśli mi będzie!

BANKIER-KSIĄŻE.

Tylko rozkaż drogi — kiedy tylko ci się przyśni, o każdej minucie na twojem rozkazy!

MŁODZIENIEC.

Racz Książe pozwolić, byśmy o czem innem mówili. — Widzę, znów ktoś za Księciem goni!

BANKIER-KSIĄŻE.

Drugi mój ajent. — A co Gregorjo?

AJENT.

Przed pół godziną do stu trzech się podniosły — natychmiast wszystkie sprzedaliśmy hurmem. Pignatelli i Merecz dołem — wasza Excellencja górą!

BANKIER-KSIĄŻE.

Doskonale Gregorjo! wiedziałem, że stanie się tak! Pignatelli więc i Merecz niezawodnie dołem?

AJENT.

Klnę się na wszystkich świętych co w raju, że dołem!

BANKIER-KSIĄŻE.

Jakże mi spać będzie miło tej nocy. Wracaj do kassy Gregorjo! (do młodzieńca.) Czemuś tak zasępił się drogi Hrabio? przykro mi, prawdziwie przykro! We mnie owszem humor naradza się wyborny — zdrowie jakieś mi bieży po ciele od stóp do głów. Zapusty, to pyszna zabawa — miasto Wenecja, to najpiękniejsze miasto Włoch! na honor Hrabio, że tak jest! Hrabio baw że się! chodź ze mną do mnie na obiad! ożyw że się — obudź że się — odezwij że się!

MŁODZIENIEC.

Raczysz Książe się na mnie nie gniewać, że go pożegnam; — dość mi zabawy na dzisiaj. (Wychodzi.)

BANKIER-KSIĄŻE.

Ale proszę cię drogi mój, zostań! gdzie się tak spieszysz najukochańszy Hrabio? — Już odszedł! czy się wściekł? Jeszczem takiego egzaltowanego nie widział. U tych Polaków siarka i saletra w żyłach, miasto krwi — pewno z niego Jakóbin! Ja od razu człowieka przepatrzę — pewno Jakóbin! nigdy się nie mylę! pewno Jakóbin! Jakóbin!

(Znika śród tłumu masek.)

IV.

(Pomieszkanie Młodzieńca. — Sala o maurytańskich oknach z wysuniętym krużgankiem — palące się świece na stole. — Na krużganku Aligier — drzwiami w głębi wchodzący Jakób.)

ALIGIER.

Jakżeż twe niebiosa dziwne o Panie! Pędne, wirujące, żywe, a takie spokojne! I ta Wenecja jakżeż dziwna o Panie! W balsamie promieni miesięcznych taka urodziwa a taka umarła. Lecz pod tą srebrną niewzruszonością głębie tajemnicze także, a w nich pęd i ruch, tak samo jak w górze tam! Ty sam wiesz o Boże!

JAKÓB.

Proszę też W. Pana!

ALIGIER.

Toś ty Jakóbie?

JAKÓB.

A jużci W. Panie!

ALIGIER.

Czego chcesz mój Jakóbie?

JAKÓB.

Proszę W. Pana, że też to mówią ludzie, iż naród w tych stronach nie taki poczciwy jak u nas —

ALIGIER.

Prawda poniekąd.

JAKÓB.

Więc proszę W. Pana, bo dobrze już w noc, a Pan Hrabia nie wraca, więc ja się przeląkł i myślę sobie, żeby się nie stało szkody jakiej JW. Hrabiemu.

ALIGIER.

Gdzieś go zapusty zatrzymały — nie lękaj się.

JAKÓB.

Boć to zawzdy tak W. Panie bieda i bieda! Gdy weźmie wychodząc krucicę lub puginał, już dufa sobie, że i stu rabusiom by poradził — a kiedy czasem ja mówię: «Jasny Panie, weź z sobą Jakóba», to jak spojrzy na mnie, to aż markotno się robi. A dobry, dobry Pan, jeno upór taki w sercu u niego; — żeby przynajmniej w słoneczku się kochał, ale to on, uważałem W. Panie, bardzo lubi gwiazdę wszelaką — przytem skoro pełnia, toć już czekaj a czekaj, a on chodzi po dworze gdzieści i Bóg święty wie, co tam i do kogo czy gada, czy śpiewa coś! Dobrze raz, dobrze drugi, dobrze i setny, ale kiedyś kryska przyjdzie na Matyska? oj przyjdzie!

ALIGIER.

Cyt! czy słyszysz?

JAKÓB.

Jakby plusk wioseł.

ALIGIER.

Zbliża się odgłos ku zakrętowi kanału.

JAKÓB.

Dałby Pan Bóg, żeby to on był!

ALIGIER.

Z po za murów wysuwa się gondola!

JAKÓB.

Proszę W. Pana, czy to JW. Pan?

ALIGIER.

Czekajże — zdaje się że on — tak — on sam!

JAKÓB.

Więc proszę W. Pana, pewno stoi i patrzy się w niebo, a nie na tych złodziei, co powożą.

ALIGIER.

Nie zgadłeś na dzisiaj, bo właśnie rozmawia z niemi. Zejdź i świeć mu na wschodach.

JAKÓB.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

(Wychodzi.)

ALIGIER.

Na wieki wieków amen! (Do młodzieńca). Podnieś oczy Henryku, ja tu na ganku!

GŁOS MŁODZIEŃCA (z dołu.)

Widzę, widzę — zaraz! Hej, Jakóbie bram pałacu nie zamykaj, bo ten wioślarz idzie ze mną na górę i powróci jeszcze.

ALIGIER (zbliża się ku drzwiom w głębi — Młodzieniec i gondoler wchodzą.

Gdzieżeś tak długo się bawił?

MŁODZIENIEC.

Pozwól, niech tylko z tym człowiekiem skończę! Zowiesz się?

GONDOLER.

Ambrosjo, na waszej Sygnorji usługi.

MŁODZIENIEC.

Gdzie zwykle stoisz z gondolą twą?

AMBROSJO.

Tam, gdzie mnie wasza Signorja wzięła, u mostu Rialto.

MŁODZIENIEC.

I pewno, mówisz, w pałacu Kornerów, gdzieś mi te pyszne filary oglądać kazał po księżycu, mieszka Książe?

AMBROSJO.

A któż tego nie wie w Wenecji?

MŁODZIENIEC.

Dwa sfinksy także mi pokazywał koło drzwi bocznych i coś napomknąłeś mi czy o sfinksach, czy o drzwiach tych — już zapomniałem.

AMBROSJO.

Miałem zaszczyt mówienia Waszej Signorji, że temi drzwiami zwykle Księżna w każdą niedzielę z rana wychodzi, by płynąć na mszę do San Georgjo.

MŁODZIENIEC

Tak — prawda! Mówiłeś, że Książe sam nigdy na mszy nie bywa!

AMBROSJO.

Przepraszam Waszą Signorję, bo o tem ja nie wiem — zapewne bywać musi jak każdy prawowierny katolik, tylko, że o innej godzinie — alem mówił, że z rana w niedzielę każdą tamtemi drzwiami zawsze Księżna sama jedna siada do gondoli i do San Georgjo płynie.

MŁODZIENIEC.

O tych sfinksach myślałem i słowa twoje pomięszały mi się. Wszak jutro niedziela?

AMBROSJO.

Niewątpliwie jutro!

MŁODZIENIEC.

Niedokładniem obejrzał te sfinksy z porfiru — pyszne już w promieniach miesiąca — cóż dopiero w dnie, gdy się każden szczegół rzeźby uwydatni.

AMBROSJO.

Przysięgają znawcy, że to dzieło Michała-Anioła samego!

MŁODZIENIEC.

Masz za przejażdżkę.

AMBROSJO.

Dziesięć razy więcej, niźliśmy się zasłużyli ja i Beppo Signorji waszej. Przez Adrjatykę! i Dożowie dawniej nie płacili tak!

MŁODZIENIEC.

To za sfinksy — bo widzisz i ja trochę artysta. Jutro rano bądź z gondolą tu!

AMBROSJO.

Myśmy sługi — wasza Signorja panem.

(Wychodzi)

ALIGIER.

Stoisz i patrzysz się. Cóż Henryku mój, ręki mi nawet nie ściśniesz?

MŁODZIENIEC.

Ah! powietrza, powietrza! Chodź na krużganek — mówić gdzie te świece się palą, nie mogę!

ALIGIER.

Otóż i stoim już w pełni niebieskiego światła.

MŁODZIENIEC.

Wszak te wstęgi z wód jasnych, te z mostów obręcze, te gondole szparkie jak strzały, czarne jak trumny, roskoszne jak pośmiertne zbawienie, wszak te błękity, te gwiazdy źrenicujące po nich, ten księżyc taki palący mnie jak słońca wzrok, wszak to wszystko z miłości jest, miłością jest przed wiekami i na wieki? Wszak Bóg nim stworzył świat, zakochał się w niestworzonym jeszcze — i dla tego stworzony taki przecudny. Wszak tak? O Aligier! co mi się dzieje też!

ALIGIER.

Ty gorączkę masz!

MŁODZIENIEC.

Powiedz mi gdzie to było, gdzie to mogło być, gdziem ja ją spotkał już? A spotkałem raz, niezawodnie, tak jakem żyw, spotkałem ją! I tak się męczę — i tak się znoję aż do krwi pamięcią — a nie mogę, nie mogę sobie przypomnieć.

ALIGIER.

Ją? kogoż to?

MŁODZIENIEC.

Jakto, jeszcze ci ja będę musiał opowiadać? Dziś, tam na rynku ś. Marka z tym nieznośnym Bankierem-Księciem idąc, naglem obaczył postać gdzieś ujrzaną już. Zowią ją imieniem jej męża — jej mąż zowie się Rahoga — a ona Polką! Co? nic wiedziałeś żem ją spotkał? To mnie dziwi! Ty mnie tak kochasz Aligier, a nie uczułeś nic?

ALIGIER.

Ah! strzeż się!

MŁODZIENIEC.

Czego? Czy tych uniesień niepojętych, co we mnie naradzają się tak, że wszechprzytomności Bożej prawie dotykam palcami we wszystkiem — ot, nawet w tych tu promieniach co tak pełzają ku mnie po marmurze tym!

ALIGIER.

Rahogi i domu jego się strzeż!

MŁODZIENIEC.

Czemu?

ALIGIER.

Jeden z najzaciętszych wrogów polskiej ojczyzny

MŁODZIENIEC.

I ona też? Więc taki anielski kształt obłudą? płaszczem ciała promiennym, rzuconym przez Stwórcę na ramiona Duchowi nieczystemu, świętokradczyni — Polce, która nienawidzi Polski? Nie może być! — zaraz mi tu prawdę mów! — nie kołysaj mi noża po nad sercem — utop od razu!

ALIGIER.

Czym powiedział co na nią?

MŁODZIENIEC.

Ah! jakżeż ty dobry, miłosierny — jaki ty uroczysty i święty w tem świetle miesięcznem; ja tak cię kochałem zawsze, ja tak cię kocham! więc ty przeciwko niej nie świadczysz, tylko przeciwko niemu?

ALIGIER.

Przeciwko niemu tylko!

MŁODZIENIEC.

Tem lepiej!

ALIGIER.

Jakżeż «tem lepiej», kiedy on mężem jej?

MŁODZIENIEC.

Mężem jej a prześladowcą braci jej? Co za mąż! chyba kat tylko!

ALIGIER.

Więc rad jesteś, że on katem jej?

MŁODZIENIEC.

Nie! lecz jeśli on katem, to ona ofiarą — zatem ofiarę od kata obronić potrzeba! Cóżeś tak rękę w piersi wgniótł?

ALIGIER.

Chore serce jak zwykle mi się przypomina — nie dziw! Bijąc, wszędzie odbijało się o ukochanych błąd, o ukochanych szał, o ukochanych zgubę — i w tej chwili teraz uderzywszy o ciebie, odskakuje ranne błędem, szałem, może zgubą twoją!

MŁODZIENIEC.

O! a ja taki szczęśliwy, a ja taki silny się czuję! Zda mi się gdy spojrzę w tę noc, że tchu by mi wystarczyło na odwiedzenie wszystkich tych światów jednego po drugim — i że na progach samego Boga jeszcze nie padłbym zmęczony!

ALIGIER.

A jednak miasto nieśmiertelnej młodości, zawczesna starość właśnie bliska ciebie!

MŁODZIENIEC.

Ja starym kiedykolwiek mógłbym być? Ja?

ALIGIER.

Ty — i nie zadługo!

MŁODZIENIEC.

Zkąd? jak? czem?

ALIGIER.

Raj migający w powietrzu, zaprowadzi cię aż do drzwi wroga — przejdziesz przez nie, nie błogosławiąc im — owszem przeklinając je! A to źle tak wchodzić do cudzych bram, gdy jędza konieczności, lub anioł obowiązku nie wpycha nas do nich — i odtąd zacznie Duch więdnąć twój!

MŁODZIENIEC.

O Aligier! oparty na poręczy granitowej, z głową na ręku, nie chcesz patrzeć na mnie i grube łzy u powiek ci się zawieszają, o Aligier!

ALIGIER.

Jakżeż więc o Panie! — Nigdy synowi człowieka nie wystarczy piękno, tak jak w łonie Twojem spoczywa! Nieskończoność

nie zagasi pragnienia jego — musi zejść do skończoności i szyderską pomyłką, ziemię za niebo mieć, nieba właśnie szukając! To z czego wszystko jest, ideał, to w imieniu czego sam zakochuje się we wszystkiem, niczem mu! I porzuci ciebie niestworzonego Stwórcę, dla stworzenia, co nie tworzy nic! Dopiero w dwojgu ócz śmiertelnych będzie wyczytywał, żeś Ty jest — Ty w każdej z tych gwiazd wypłaskorzeźbion na niebie, Ty coś w każden dziejów powieniu szumiący po ziemi! Jeden tylko śród miljonów inaczej cię poznał! Ah! prawdać panie, on Tobą samym był! Lecz cóż z nami wszystkimi, jeśli niedobratnim się jemu? o Panie! o Panie!

MŁODZIENIEC.

To ty pierwszą siwiznę rzucasz mi na serce, takim żalem okropnym twym!

ALIGIER.

Tobie człowiecze we dwójnasób ideału się dostało! Francuz, Anglik, Niemiec po połowie tylko Boga czują — nie dotykają ran Jego codzień w męczeństwie narodu! nie oglądają cudów żywota Jego codzień, w niezłomnej odwadze narodu! Oto skarb twój! — Co klejnotów w nim! co boleści, co ofiar, co zasług, co wspomnień, co nadziei, co nieśmiertelnych żądz! nie dość-że ci? Będziesz-że mi jeszcze błąkał się po manowcach za ognikami — będziesz mi kwiatki zbierał po gajach i tracił czas i trwonił moc — kiedy w bór iść trzeba ogromny, ciemny, po skale, w górę, śród mgły, skarb ten krzyżowy dźwigając i krwią się własną przytrzymując u głazów, by nie odpaść w dół!

MŁODZIENIEC.

Ah! tyś widzenia tego nie oglądał! A ja ci mówię Aligier, że jak Polska cała, tak ona, tak jedna Polka jest bezmiarem nieszczęścia ubranym w nadziemski wdzięk! Nigdym nic podobniejszego do przechodzącej ojczyzny nie widział!

ALIGIER.

Pochlebiaj, przebaczaj, kłam sobie samemu, dziecię śmiertelne! Zwołuj namiętności i zachcianki swe jak Car Bojarów i niech ci radzą: — Najjaśniejszy Panie, tak jest — aż pierś własną poczynisz sobie przedpokojem pełnym dworzan podłych —

i wmówią w ciebie żeś wielki, gdyś mały — żeś waleczny, gdy mdlejesz — żeś wolny, gdy zstępujesz w opętanie!

MŁODZIENIEC.

Zkąd gorycz taka?

ALIGIER.

Bo mi się zakochujesz w sobie samym, łudząc się, że w drugiej istocie — i tem rozwiązujesz się sam z potęg i istoty twej!

MŁODZIENIEC.

Jakżeż powiem błyskawicy, co oblała mnie światłem: — nie świeciłaś mnie. — Czy nie wiesz, że tajemniczo a nieodwołalnie Duchy ciążą ku sobie? — W Bogu się może gdzieś znały i odnajdują się na tym świecie i znów po śmierci gdzieś będą razem! Ty wiesz o tem, lepiej odemnie wiesz!

ALIGIER.

Wiem może — i dla tego właśnie płaczę nad tobą! bo czyś zbadał prawa krążących tych Duchów? Czy wiesz jak czasem spłynąwszy do siebie, kometą oderwanym się stają, co przez wieki wieków odbiega od środka i zwiedza otchłanie wszechświata, nim zawrócić zdoła do porzuconego słońca? Czy wiesz ile tam czyszczów? a w nich ile przywiązań żałobnych? serc pękających wciąż? grzesznych postaci porwanych wirami rozpaczy, darmo wołających śród mroku: — Przebacz nam o Panie! —

MŁODZIENIEC.

Ja i ztamtąd bym ją wyniósł i zaniósł do Boga!

ALIGIER.

Mówisz, mówisz a nie wiesz, o Henryku mój! —

MŁODZIENIEC.

Czegóż że ty myślisz, że ja pragnę? Oto niech mi przyjaźni świętej da z serca swego trochę — a na toć jedynie, bym mógł nieco ulgi jej przynieść — nie żądam nic innego. Ah! bo Aligier, powtarzam, przysięgam ci, nigdym takiego wyrazu boleści nie oglądał w stworzonej ziemiance. Wystaw sobie marmur najniepokalańszy, paryjski, blaskosiejny marmur — napisu żadnego — spojrzysz i powiesz: Posąg medycejskiej być z niego ma — a wtem znowu spojrzysz i patrzysz, aż to kamień gro-

bowy już i pod tą bryłą światła, śmierć. Więc klękaj i módl się i płacz! — to Ona!

ALIGIER.

Nie dotykajże się grobów, kiedy wiesz, że obowiąskiem twoim żyć na to, by rozdawać życie twe braciom twym!

MŁODZIENIEC.

A cóż pocznę, kiedy mi się śmierć kochać każe? Nie pycha, nie tryumf, nie pobłysk, ale ból czy tu, czy tam, czy w braciach, czy w tej jednej z sióstr moich — zawsze smutek i ból mnie woła, mnie nęci! Tak przeznaczenie me! Z tymi co przegrali, grając w losy, wieczniem ja — bo beznadziejni być muszą, bo im potrzeba mnie!

ALIGIER.

Iluż ich widziałem a wszyscy tak samo! Tęskni, skrzydlaci, niepowstrzymani — w lazurowych przestrzeniach, niby człowiecze motyle — każdy z kwiatem swoim obok niego latającym także — aż kwiat z liści opadł, aż i motyle ze skrzydeł — w dół, żwir, piasek, pył; wtedy zlatują oboje, z nadpowietrznych łąk — do prochu, proch, proch! Iluż ich widziałem, a wszyscy tak samo!

MŁODZIENIEC.

Co ty tak żałobnie tym gwiazdom opowiadasz!

ALIGIER.

Dzieje lekkomyślnych!

MŁODZIENIEC.

Mojeż to być mają? O nie szydź — daj pokój — powiedz mi lepiej, gdzie to ja ją widział już?

ALIGIER.

O biedny ty!

MŁODZIENIEC.

Co?

ALIGIER.

Powiedziałem: — o biedny ty. —

MŁODZIENIEC.

Co mówisz?

ALIGIER.

Nie rozumieszże już słów moich? A czy pamiętasz też, com oznajmił ci, gdyśmy z gór zstępowali ku miastu temu?

MŁODZIENIEC.

Co?

ALIGIER.

I tegoś zapomniał — o ty nie lekkomyślny!

MŁODZIENIEC.

Nie, nie! Alem w tej chwili duchem całym czegoś szukał, wiesz, tak jak czasem ucho nuty zatraconej szuka — a nuta nie wraca — a za nią mimowoli coraz bardziej się odrywa nią nie będącą prześladowany słuch! Lecz owszem, wiem o czem mowa — powtórz tylko!

ALIGIER.

Pytałem się, czy pamiętasz jeszcze com ci zapowiadał, gdyśmy z ostatnich gór schodzili w stronę miasta tego?

MŁODZIENIEC.

A jakżebym nie wiedział? Obiecałeś mi, że mnie wprowadzisz do grona utajonych i tęskniących, w których się duchu przyszłość wypracowywa.

ALIGIER.

Czyś gotów?

MŁODZIENIEC.

O każdej godzinie!

ALIGIER.

Za trzy dni, o samej północy zaprowadzę ciebie. Wtedyć ujrzysz sam na oczy wszystkie dzieje ziemskie — porównasz je z jedną ziemianką — osądzisz, czy się godzi przy nich jeszcze marzyć o niej!

MŁODZIENIEC.

Nie mówmy o tem. Daj mi twe błogosławieństwo jak co wieczór — odejdę!

ALIGIER.

Pierwszy raz w życiu lodowato mi w duchu przy tobie!

MŁODZIENIEC.

Nie chcesz mi nawet dobrej nocy powiedzieć?

ALIGIER.

Coś nad tobą bardzo zgubnego wisi w powietrzokręgu przeznaczeń, kiedy mi tak źle! Słuchaj! — Wyrzecz się jej — daj mi słowo, że —

MŁODZIENIEC.

Przez Boga żywego, nie dam! O Aligier czyś tyranem! ja tylko dźwięk głosu jej usłyszeć chcę — nic więcej — i tegoby mi nie wolno było?

ALIGIER.

Nic więcej?

MŁODZIENIEC.

Sam się przekonasz — wierz mi! Tylko dźwięk głosu usłyszeć, tylko myśl tej duszy przejąć — nic, nic więcej!

ALIGIER.

On wierzy i głęboko, że nic więcej!

MŁODZIENIEC.

I cóżby ci pomogło nawet gwałtem duchowym przegiąć wolę mą? wydrzeć przyrzeczenie? Cóż nada gwałt? po gwałcie bunt!

ALIGIER.

Wiem i to!

MŁODZIENIEC.

Kochaj mnie!

ALIGIER.

Ponuro mi!

MŁODZIENIEC.

O Boże! słowam jeszcze do niej nie wyrzekł, a już tak cierpię za nią!

ALIGIER.

Masz, bierz jak co wieczór, przyjaźni błogosławieństwo. Nie chcę, byś cierpiał dziś już, ty co będziesz cierpiał tyle!

MŁODZIENIEC.

Ah! dziękuję ci! daj mi się rzucić w twoje objęcia — tak! — niech serce moje na twem chorem bije!

ALIGIER.

Strzeż cię Pan, bo nie ustrzeżesz siebie sam, ni ja ustrzegę cię! Strzeż cię Pan!

(Odchodzi ku drzwiom w głębi.)

MŁODZIENIEC.
(Idąc ku przeciwnym drzwiom.)

A możem nie oglądał jej nigdy oczyma — możem tylko czuł ją gdzieś w koło siebie, jak opasującą mnie strugę potęgi — aż teraz zoczyłem i zda mi się, że to nie pierwszy raz. A to pierwszy — oczom pierwszy — lecz nie pierwszy wiekuistemu bytowi! Kto mi powie, gdzie ja z nią zetknięt już! —

V.

PODZIEMIA WENECKIE.

SCENA I.

(Ciemnia w podziemniach weneckiego pałacu. — Młodzieniec, Aligier.)

MŁODZIENIEC.

Zgasł ostatni błysk księżyca na tych wschodach — nic już nie widzę — tylko szum wody nad głową!

ALIGIER.

Trzymaj się ręki mojej — jeszcze nam głębiej zstąpić trzeba we wnętrzności!

MŁODZIENIEC.

Czyż cię nie męczy ta droga? te wschody w gruzach!

ALIGIER.

Każden spadek murów tu znam — wiem gdzie stopień każden stał się sypkim pyłem, wiem gdzie inne jeszcze stoją cało — wnet też się i rozwidni — przeskocz tu Henryku — tak, dobrze — teraz powoli i niżej i niżej coraz!

MŁODZIENIEC.

Dziwnie! skoroś tylko znikł z powietrzchni ziemi, zda się, zdrowie ci wróciło — aż Bóg widzi, że te czarne przepaści, lubemi mi się stały. Radbym w nich zostać bylebyś tu żył ze mną razem, długo i bezboleśnie!

ALIGIER.

Możebyś niegdyś był się tak dla mnie poświęcił — lecz teraz — o nie, nie! — boś już wstąpił w życie, a kto dotknął potoku ten przerobiony na falę, musi płynąć dalej. Ani też, Henryku, takiego poświęcenia potrzeba. Tem silny jestem, tem zdrów w tej chwili, że chcę i muszę w świat wspomnień i przeczucia, w świat ludzkości cię wwieść — gdy wrócę rankiem na ziemi powierzchnię, ujrzysz mnie przy słońcu i znów powiesz: — Odchodzący. — Lecz teraz nie myśl o tem — natęż ucho — wzrok zaostrz — całym sobą bądź przytomny sobie! — wschody się kończą — czy widzisz te kroplę światła w oddali!

MŁODZIENIEC.

Jakby zorzę maleńką co usiłuje wznijść a nie może!

ALIGIER.

Chodźmy!

CHÓR DALEKI.

Wy co chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy co stawiać teraźniejszość i odkryć przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie dni zbiegłe przeszłości. Bo choć odmienne dzieje i różnych zdarzeń moc, pomysł wieczny jeden i prawda jedyna! Ona duszą, a świat piersią duszy coraz szerszą, większą! — i jako człowiek jeden wolno się rozbudza ze snu; tak ludzkość cała przed wieki. — I jako rozbudzający się rankiem coraz jawniej się widzi i czuje siebie aż powie: to ja — tak i tej ziemi duch!

MŁODZIENIEC.

Idźmy prędzej — podsuńmy się bliżej — zorza rośnie a rośnie!

ALIGIER.

Słuchaj — znów śpiewają!

CHÓR DALEKI.

Każda myśl poczęta w Bogu, z wieczności w czas i przestrzeń zesłana, jako cząstka prawdy, jako córka Boża, to samo cierpieć musi co Bóg-Syn przecierpiał wcielony! Objawi się śród ludzi — opowie nieba część — i męczy się i krzyż swój nosi i grób swój ma!

Jedne zginęły przed czasem jak święte dziewice — inne w samej pełni sił padły jak bohatery — inne, później doczekały trumny w poniżeniu, w nędzy, z wierzchołków zeszłe do katakomb życia — żadna nie skonała w białej szacie w której zstąpiła na ziemię — żółcią i octem pojone, krwią zbryzgane, zniknęły!

Ale każda zmartwychwstała w następnej! — każda z grobu się podniosła w innem, wyższem ciele! Wy co chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy co stawiać teraźniejszość i odkryć przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie myśli zbiegłe przeszłości — bo dopiero tak z tych co przeminęły, jak z tych co przyjdą kiedyś, całość prawdy jest!

MŁODZIENIEC.

Coraz światła więcej! skądże ono przybywa? czyż znów sen cudowny mnie chwyta?

ALIGIER.

Nie — wprawdzie wieki jak sny przelatywać zaczną, ale już nie wewnątrz, jedno zewnątrz ciebie — postępuj wciąż!

MŁODZIENIEC.

Co za jasność rażąca, południowa! aż skwarno mi! co za gmachy w oddali! — coraz mi bliżej do nich i one też jakby cichym wiatrem niesione, przywiane, zbliżają się do nas.

ALIGIER.

Poznajesz je?

MŁODZIENIEC.

Nigdym ich nie widział!

ALIGIER.

Czyż ludzkość, na której łonie wzrosłeś, nie dała ci wieków pamięci? czyż oczyma jej ducha wetkniętemi w duszę twą, nie możesz poznać kształtów, które na tym planecie istniały przed tysiącami lat?

MŁODZIENIEC.

Przypomniałem, pamiętam! — ot! nadpowietrzne ogrody! a tam wystrzelone ku niebu gwiazdarni — tu znów świątynia olbrzymia, krużgankami okręcona — jakiż kryształ wód! gdyby

palące zwierciadła! — jaka kwiatów moc — wszędzie palmy — to Eufratowy brzeg — to Babylon!

ALIGIER.

Czy widzisz tych w szkarłacie?

MŁODZIENIEC.

Zgromadzonych u stóp wieży tej? — złotem kapią im na głowach tyjary — gwiazdami zasiane ich szaty. To Chaldejskich wieszczbiarzy ród!

ALIGIER.

Słuchaj — słuchaj!

CHÓR CHALDEJCZYKÓW.

O! czasie bez miary i granic, o! światło niewzruszone, spokojne, wszystkich świateł praojcze, jakże daleko, daleko do ciebie! Twój pierworodny Ormuzd i twój młodszy zbuntowany Aryman wiecznie walczą wszędzie, pasując się czy w barwach tęczy, czy w sercu człowieka. My pragnęli wyzwolić się, wyczyścić, wypłonąć ku Tobie! — i niższe ludzie my porwać chcieli z ciemności ku słońcu, ku Ormuzda błoniom! — A teraz czujem, nasza siła znika — a teraz, czytamy, napisano planetami na niebie, że przyjdzie zdobywca dziki. Pan ot! przyjdzie! — Jadą na wozach — jadą i konno — ciągną pieszo a zwycięzcy wszyscy — słabieje nasza myśl — przeinaczy się nasza cześć — o czemuż umieramy, kiedyśmy syny światła?

CHÓR DALEKI.

Ale nie światłem samem!

CHÓR CHALDEJCZYKÓW.

Zoroaster posłannik Ormuzda, obiecał, że Ormuzd zwycięży kiedyś — i że sam Aryman w ogniu pokuty przetrawion, wróci na łono wszechświatła! Lecz nas nie będzie już wtedy! nie będzie i jutro już! Daremna więc, daremna o święta jasności, my chcieli się wyzwolić, wyczyścić, wypłonąć ku tobie!

CHÓR DALEKI.

By żyć dalej, wprzód się przelać, wprzód się przewcielić, wprzód wam umrzeć trzeba!

MŁODZIENIEC.

Co się dzieje z niemi, Aligier? Błyskawica ogromnica, podobna do spadającej wieczności, oblała ich i mury i bramę i rzekę tę! — wszystko, wszystko pożarła — jakżeż ciemno znów!

ALIGIER.

Stój na miejscu, na tem samem, wciąż — wnet inny rozświetli się wiek.

MŁODZIENIEC.

Ten trzechstronny, jednostajny dźwięk boli mnie — któż tak tam przegrywa?

AILIGIER.

Spojrzyj na prawo.

MŁODZIENIEC.

Za każdym dźwiękiem skądsiś ponury promień wytryska — niewidzialny księżyc gdzieś wszedł i podnosi się — już trzech piramid wierzchołki tleją nad pustynią — pod lasem obelisków czarny sfinxów tłum — wszak to Memnon tam w głębi po nad światłem siedzi?

ALIGIER

Zważaj na bramę wielkiej piramidy!

MŁODZIENIEC.

Pełno mar z niej wychodzi i siada każda na granitowym grobie!

CHÓR EGIPSKICH KAPŁANÓW.

U nas przechowana tajemnica tajemnic. My pierwsi poznali Ciebie, któremu na imię: «Był i jest i będzie!» Jak fale pod skałą, tak czas i przestrzeń mącą się u stóp twoich! — a na tych mętach dobry Ozyrys, zły Tyfon i smętna Arneryda ściągają za sobą — ich tylko widzą oczy śmiertelnych, a Ciebie nie!

Czemuż, o nieskończony Ty! wymykasz się nam? Zwolna my chcieli zepsute plemię wiecznej prawdy nauczyć — zwolna duszę odpętać od ciała, by poszła radosna w niebieską ojczyznę — wszak my zachowali trupy, wszystkie trupy nasze, by lud przywykał do nieśmiertelności?

Czemuż więc teraz przybytek wstrząśniony? — przed czasem z niego wylana nauka? Z ogromu piramid, z labiryntu

skrętów Ty odchodzisz od nas ku innym stronom. Kędy słońce zachodzi, tam potęga twoja się przenosi — tam zawiśniesz nad weselszemi ludy — a my tu w goryczy wyschniem, my najstarsze syny twoje!

CHÓR DALEKI.

Ale nie jedyne ni ostatnie!

CHÓR EGIPSKICH KAPŁANÓW.

O czemuż konamy, kiedy czujem żeśmy zesłańcami Boga!

CHÓR DALEKI.

Ale nie Bogiem samym. On jeden tylko nie umiera, by odżyć!

MŁODZIENIEC.

Jaśń księżycowa wzrasta, wzrasta — a ich podchwyciły groby te i z grobami wraz zapadają w głąb! — Cóż to za jęk ogromny, taki dźwięczny, czysty?

ALIGIER.

Wschodzące słońce drasnęło Memmona!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Z Egipskich ciemnic, o myśli ludzka, poniesiem cię w róż, myrtów i błękitów kraj! Tam gdzie Zeus pokonał Tyfona! gdzie wąż potwór legł pod strzałami słońca — gdzie na pianie morskiej Afrodyty kołysana postać — tam gdzie na wzgórzach Pallady posągi!

Zwiń się płowa pustynio! uciekajcie piramidy, schylcie się obeliski przed pierwszą prawdziwą pięknością! Tu mądrość — tu harmonja — tu wdzięczna Psyche odszuka Erosa!

MŁODZIENIEC.

O jakże ślicznie, ślicznie przemienia się wszystko! — brzeg taki zielony — takie lazurowe morze — skały w tunikach z winnic. — Upoję się rozlaną wonią w powietrzu!

ALIGIER.

Widzisz, wprost przed nami, coś się śnieży, coś kształci — światło pracuje i buduje gmach — już na greckim wzgórzu wybłyska świątynia — z marmuru paryjskiego, niepokalana Eleuzis!

MŁODZIENIEC.

Brzęk lir i cytar z niej słychać — a teraz hymny wzniosły się.

ALIGIER.

Powoli zapełnia się dziedziniec!

MŁODZIENIEC.

Z pod kolumn, z za gajów, z za posągów wychodzą przecudne postacie.

ALIGIER.

Oto Hierofant tajemnic, ten w białych szatach, z sierpem złotym w ręku!

MŁODZIENIEC.

A ten, ten?

ALIGIER.

Który?

MŁODZIENIEC.

Ten najpiękniejszy z nich wszystkich, ten szerokopierśny, wyniosły, podobny nieco do Chrystusa!

ALIGIER.

Boski Platon!

MŁODZIENIEC.

Tak mówiło mi serce!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Duszo zabłąkana w cielesności matniach, dziewico opuszczona na dalekich brzegach, oczyszczaj się, oczyszczaj i wzdychaj i tęsknij, a wrócisz do światu pierwowzorów, do Ojca twego i do matki Eimarmeny!

Patrz, z za opony zmysłów w którąś się oblokła, patrz, jak niebo to błękitne a ziemia ta kwiecista — z każdej fali odbłysków tysiąc — z każdego promienia barw mnóstwo — z jednego Boga, bogów mirjady rodzą się co chwila!

HIEROFANT.

I te wszystkie bogi ziemskie, to siły tylko niebieskiego Boga!

CHÓR ELEUZYJSKI.

I ziemia i niebo i gwiazdy pełne sił, piękne, rytmiczne, żyjące, czemże!

HIEROFANT.

Cieniem tylko — odbiciem tylko ideału!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Kochaj więc o duszo ideał nad miarę!

GŁOS PLATONA.

Kochaj niezrównaną miłością i spłoń w tej miłości! Tam u Niepoczętego nigdy, tam dopiero pięknie, nieśmiertelnie, miarowo! Znaj się — i znając, wznieś motyle skrzydła, poniosą cię one do domu! — a dom twój, rodzimy dom, to pierś Boża, ludna wielkim ludem, ideami wieczności!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Choć wiarę nam przynosisz i dajesz nadzieję, czemuż nam tak smętno?

GŁOS PLATONA.

Bo dotąd nie macie miłości!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Czemuż nam zaczyna się marzyć o końcu bliskim? Jak posąg Fidiaszowy z kości słoniowej i złota, pryśnie Grecja nasza — i odłamki jej leżeć będą w popiele i prochu!

HIEROFANT.

Cel wasz o dusze, nie na ziemi tej!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Szkoda nam jednak, o szkoda helleńskiej ojczyzny! — i widomych świątyń — i śpiewnych igrzysk — i marzonych Bogów — marzonych tak cudnie!

GŁOS PLATONA.

Ujrzeć i kochać i rozłączyć się — znów pokochać i rozłączyć się znowu — to doczesna próba dusz, aż wieczne ukochają wiecznie!

CHÓR ELEUZYJSKI.

Nie zjawiż się taki, co poratuje nas? Śmiertelnemi oczyma, miłości, której brak nam dotąd, nie ujrzemyż nigdy? Czyż z nią dopiero na Eteru spotkamy się błoniach!

CHÓR DALEKI.

Bądźcie dobrej myśli o biedne! — na falach czasu Pożądaniec wieków już zbliża się do was!

MŁODZIENIEC.

A teraz co? — te same wody — ale inne brzeg, inne wyżyny — jaskiń pełno — nigdzie śladu ludzi. — Tam wysoko

cedry — tu w dole, z włosem długim daktylowe drzewa — nad zmierzchającemi wzgórzami szczyt jakiś płonie purpurą i złotem — słońce musi z tamtej strony zatapiać się w morzu. Aligier! cóż to za pustelnicy wschodzą temi ścieżki? Wszyscy, wszyscy idą na szczyt ten?

ALIGIER.

To pierwsi zakonnicy Karmelu — ileż to razy witali i żegnali słońce z tych wierzchołków! — ileż razy psalmem na tej puszczy modlili się Panu, Pana przeczuwając — i takie z lnu cienkiego szaty nosili, o takie! i w ręku harfy lekkie mieli, te same, te!

MŁODZIENIEC.

Mówisz, jak gdybyś na tych górach ich był widział sam!

ALIGIER.

A teraz świat już nie wie o Esseńczykach! — o tych co tak wyglądali zwycięstwa duszy nad zmysłów potęgą! Ty pytasz, kto oni? Zapomnieni zawsze ci, którzy zapowiadają — pamiętan tylko dopełniony czyn!

CHÓR ESSEŃCZYKÓW.

Ojcze nieznany! od obliczności świata, od pychy gnijącej my uciekli do Ciebie!

Bo duch twój nad przepaścią mórz — a gdzie milczy pustynia, tam mówisz Ty!

Wodą czystych źródeł plamę grzechu zmywamy ze skroni.

Bogaczy i ubogich między nami nie masz — wszyscy my równi — wszyscy my bracia — wszyscy my syny Twoje!

Zmiłuj się! jako te brzegi w mroku, tak lud nasz i wszystkie inne pobladły, zsiniały od brudu i kału.

Ześlij myśl czystą! Niech wnętrznym żarem przepali i zniszczy ciało wszelkie — niech odrzuci je, jak popiołu garść. — Prorokom widny niegdyś, Chrystus twój niech zstąpi!

MŁODZIENIEC.

Przyklękli — jednym krzykiem w niebo, wszystkie zadźwięczały harfy?

ALIGIER.

I ty przyklęknij a patrz!

MŁODZIENIEC.

Nic nie widzę innego — a nawet już ich widma stopiły się z nocą i brzęk stron omdlewa też!

ALIGIER.

Przyklęknij, mówię ci!

MŁODZIENIEC

Teraz już nie widzę nic — tylko czuję twoją rękę na ramieniu — czemu gnieciesz mnie tak? Czy i ty klękasz!

ALIGIER.

Jak w oną godzinę, której powtórzenie się zbliża!

MŁODZIENIEC.

Jakto?

ALIGIER.

Nie pytaj — tylko patrz! — a co? — obaczyłeś?

MŁODZIENIEC.

Ah! kraj szaty tylko znikający gdzieś w górze, w tem świetle bezmiernem — ah! stóp dwoje tylko, jak dwie gołębice śnieżne, w niebo wstępujące!

ALIGIER.

A teraz spojrz na dół

MŁODZIENIEC.

Oczy moje poleciały za tej szaty błękitem — ócz nie mam — przyłóż mi rękę do powiek!

ALIGIER.

Grobu tego nie widzisz?

MŁODZIENIEC.

Dzięki ci — przejrzałem. O! piękne, śliczne anioły, co przy grobie tym!

ALIGIER.

A tam na ziemi, ta win pełna a z win zbawiona przez miłość, ta tęskniąca, ta czujna, ta siostra sióstr, co pierwsza lice jego ujrzała po śmierci!

MŁODZIENIEC.

Kwiaty jakieś, niby to lilje, niby to konwalje w jej ręku. Jak westchnienie przesunęła się!

CHÓR NAPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Płynący, bezprzerwny czas rozstąpił się! Z jednej strony dni przeszłe — wszystkie przyszłe z drugiej — a pośrodku nich Słowo wcielone! — widomy Pan! Słup wiecznej jasności!

Syonie świętoszku, rozpustnico Grecjo i ciemięzco Rzymie, gdzie wy? Darmoście plemię ludzkie zatrzymać — darmo przepsuć — darmo zabić chcieli! nię zginęło — Syn człowieczy skonał, zmartwychwstał Syn Boży!

Odtąd żaden lud co stał się narodem, nie umiera na ziemi!

Odtąd żaden człowiek co stał się duchem, nie umrze w grobie — Hosanna! Hosanna!

CHÓR DALEKI.

Duszą i ciałem i duchem potrójny a jeden, objawion Bóg! On niegdyś był duszą jednemu plemieniu — On stał się ciałem jednego kościoła — On duchem będzie nad jedną ludzkością! Hosanna! Hosanna!

MŁODZIENIEC.

Już grób Chrystusowy mdleje! już rozwiewają się te cudne, anielskie postacie!

ALIGIER.

Weź mnie za rękę, byś się nie potknął śród ciemności!

MŁODZIENIEC.

O! gdzie ta szata w białym ogniu! gdzie te stopy? — teraz tak czarno znów!

ALIGIER.

Schyl się — w tem miejscu zniżać się zaczyna sklepienie!

MŁODZIENIEC.

Gdzież idziem?

ALIGIER.

W chrześciański świat! w drugą dziejów część! do innych prób ludzkości!

GŁOSY NAPOWIETRZNE.

Na skale Piotra kościół budują dniem i nocą!

INNE.

Wieki jak dni — przez dni siedem budowali go, a ósmego opanował świat!

INNE.

Bo żywe słowo — mądrość i miłość — były w nim — Duch Święty w nim!

MŁODZIENIEC.

Gdzież te głosy lecą?

ALIGIER.

Przed nami lecą, dokąd i my spieszym! — Teraz możesz się podnieść, tu już nie brak przestrzeni!

MŁODZIENIEC.

Słyszę jakoby szelest stóp wielu gromadzących się tam gdzieś, gdzieś daleko, naprzeciwko nas.

ALIGIER.

Nie zwodzi się słuch!

MŁODZIENIEC.

Żeby światła choć trochę!

ALIGIER.

Licz kroków jeszcze dziesięć — i stań!

CHÓR DALEKI.

Jak z tysiąca rozkołysanych myśli opatrzna rada; jak z mnóstwa żądz młodzieńczych wielki, męski czyn — tak z zamętu ucisków i prześladowań, ze zgiełku marzeń i wątpień i kacerstw, wzniosła się Piotra moc. On pierwszym, najstarszym sługą sług Chrystusowych na ziemi!

Pod jego stopami królów korony i czoła — w kolebce, jego prawicą kołysanej, narody-dzieciątka!

I rośnie sam ciałem, deptając po ciele!

I stało się! — oblókł się w szkarłat — zwielmożniał — zrzymianił się! I oto już teraz zacznie się jęk ludzki skarżyć nań. Więc słuchajcie i patrzcie, wy, co teraźniejszość znać chcecie i przyszłość odkryć z jej szczytów!

MŁODZIENIEC.

Jaki widok! — aż strach, Aligier!

ALIGIER.

Tak: nie inaczej, tak za dni Albigensów wyglądały Prowanckie równiny!

MŁODZIENIEC.

Stada kruków w tem lazurowem powietrzu! — śród tych oliwnych drzew, wszędzie trupy — trupy — a tam dalej zwęglone stosy i czaszki i dymu ostatek!

ALIGIER.

Wnet i żyjących obaczysz!

MŁODZIENIEC.

W głębi tej jaskini, zda mi się, błysnęły gromnice!

ALIGIER.

Takim pochodem zwykle ciągnęli kacerze — tak z wnętrzności ziemi występując, światło dnia witali!

MŁODZIENIEC.

Jakie wyschłe, ponure twarze — kaptury — habity — każdy z mieczem i puginałem — straszni!

ALIGIER.

Masz ich prześladowane obrzędy — stają półokręgiem — spowiada się jeden drugiemu — tamci znów ręce sobie nakładają i wzywają Ducha w milczeniu!

MŁODZIENIEC.

Ale jakżeż pogrzebnie, jakby raz ostatni!

GŁOS RYCERZA.

Lecę od wielkiej rzezi — koń mój pada już i z nim padnę też — okrążyli was rzymscy — nim dzień się skończy, koniec wam Bracia, do widzenia gdzieś!

GŁOS NIEWIEŚCI.

Dziecię u piersi i pierś katolicką przeszyto mi strzałą! — nie dowlokę się już do was. Bracia, do widzenia gdzieś!

GŁOS STARCA.

Czterech synów mi wczoraj spłonęło na stosie — duch z nimi, duch z wami — noc całą szedłem — usiądę by umrzeć. Do widzenia gdzieś!

KILKA GŁOSÓW.

Kiedyż Paraklet obiecany przyjdzie!

CHÓR ALBIGENSÓW.

Dla nas dziś, bo umrzem dziś! a światu kiedy? Jeden Ojciec w niebiesiech i Syn tylko wiedzą!

KILKA GŁOSÓW.

Więc już nam nie mieć jutra żadnego na ziemi!

CHÓR ALBIGENSÓW.

Po lochach, kajdany! na rusztowaniu, topór, oto jutro nasze! Odchodząc, przekrzywione słowo Chrystusa zostawiamy Rzymowi! połączył się Rzym z przemocą okrutnych i świeckich i będzie gnębił po świecku, aż sam zgnębion będzie!

KILKA GŁOSÓW.

Chrystus porównał, sługi i pany, męże i niewiasty, a kościół ukamienował nas, bośmy chcieli być wolni i równi!

CHÓR ALBIGENSÓW.

Puhar niedopity życia wysuwa się z rąk naszych — inne usta ku niemu się nachylą. O Templarjusze, w ręce wasze składamy go — przyjmijcie go od nas — wy obalicie niesprawiedliwość i gwałt — wy doczekacie się Ducha!

KILKA GŁOSÓW.

Czemuż opuściłeś nas Panie? Wszak my prawe syny Twe, a dajesz zwycięstwo pasierbom!

CHÓR DALEKI.

Na ziemi sierotą a nie synem Pana, kto żąda zawcześnie, to ten nie zna przedwiecznej mądrości! Lecz zaprawdę pasierbem Pana, kto rzezią zawczesne morduje westchnienia, bo ten nie zna przedwiecznej miłości!

MŁODZIENIEC.

Jakież jęki, jęków tysiące! — zewsząd następują jeźdzcy z kopjami — tratują i rżną ludzi jak kłosy — czemu mnie trzymasz Aligier? — na obronę im — na obronę! Po hełmach książęce, hrabiowskie korony — i krzyż — miły Jezu! krzyż Twój! Jezus Marja! krzyż wszędzie i pod nim wszędzie ludzka krew! Ztamtąd wieniec pożarów już równinę opłomienił — przysuwa się — ścieśnia — dym zamglewa mi oczy — dym już, tylko dym

jak kurtyna przedemną — a za nią zgrzytanie — płacz — psalmów kilka i ot! ten jeszcze krzyk!

ALIGIER.

To było a nie jest!

MŁODZIENIEC.

Co? gdzie? magnetyczna siła jakaś mnie obwiodła i nęka — myśl zaczyna mi się psuć — wszystko co widzę takie na jawie, tak żyje życiem, tak umiera śmiercią!

ALIGIER.

Człowiecze, czyż nawet obrazu znieść nie potrafisz, kiedy rzeczywistość znieśli bliźni twoi kiedyś. — To krew idealna, a już bledniejesz!

MŁODZIENIEC.

Bo cudza, nie moja!

ALIGIER.

Obróćże się ku mnie — już nie ma Prowanckiej równiny — patrz! więzienie tylko i lamp kilka grobowych — i Mistrz wielki skazany — i bracia co za nim pójdą na stos!

MŁODZIENIEC.

Ileż mi się razy dziecku śnił na białych tych płaszczach czerwony krzyż ten! — i potępiony zakon kochałem, za to że potępiony.

ALIGIER

A teraz słuchaj słów, które starzec wyrzekł w samą wigilję śmierci — powtórzy je zaraz ten siwy kształt jego!

MŁODZIENIEC.

Ten, co się przechadza śród okutych i milczących?

ALIGIER.

Widzisz, zatrzymał się i wzniósł ręce w kajdanach — oto mówić będzie!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Templarjusze syny i bracia! Wszak świętym był pomysł i święty z niego miał wytrysnąć czyn? Od morza do morza, od wschodu na zachód, jedna Rzeczpospolita, a w niej Królestwo

Boże na ziemi! Jako ja wam i wy mnie świadczcie w ostatniej godzinie!

Wszak nie na błąd was wiodłem; a choć pomrzecie, nie oszukałem was! Wszak my byli, wszak my żyli tam, gdzie urodził się Pan i w powiewie wiatrów nad oliwnem wzgórzem my słyszeli głos jego?

CHÓR TEMPLARJUSZÓW.

I jasną nocą koło Golgoty przechodząc widzieli postać jego!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Nie ukrzyżowaną!

CHÓR TEMPLARJUSZÓW.

Z gwiazdami u dłoni, z gwiazdami na stopach, płynącą w powietrzu!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

A choć nie mówiła do nas słowem, słyszeliśmy ją, myśl jej słyszeliśmy! — i wiemy odtąd że nie tylko człowiek jeden — nie tylo zbór ludzi — nie tylko naród i narodów kilka, aleć wszystkie, wszystkie razem, toć kościół powszechny!

CHÓR TEMPLARJUSZÓW.

Wiemy i świadczym — jedna owczarnia być ma i musi: Ludzkość! — i jedenci pasterz: panujący Bóg!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

A dziś co? Papież i Król, Król i Papież, jak dwa miecze bolesne w sercu jednem, w sercu świata! Wszystko rozdarte co spojonem być winno. Za grobem niebo wydzielone ucieczką nieszczęśliwym — obecny czas żywem nieszczęściem uczynion — niebo i ziemia odgraniczone na wieki. Tam wola Pana — tu wola Papieżów i Króli!

CHÓR TEMPLARJUSZOW.

A jako na niebie i na ziemi, jedna tylko jest!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Amen. Lecz my nie ujrzymy tego — nam czas się pochylić i w popiół rozsypać a nieśmiertelnymi być! O szkoda na wieki! wszystko w pogotowiu czekało — Europa drżała z tęsknoty i nadziei! Bracia! w ręce rycerzy co zostanią na ziemi, a już zwać

się jak my nie będą, w ręce wiernych braci, w ręce Różokrzyżowców, oddajmy puhar niedopity życia!

CHÓR TEMPLARJUSZÓW.

W ręce ich oddajem go!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Amen. Gloria Deo in excelsis?

CHÓR TEMPLARJUSZÓW.

Niech wyzwolą ciało wszelkie — proch marny niech im zadrga życiem — kruszec niech się każden przezłaca im w ręku — potęgą cudu wewnętrzny z zewnętrznym niech pogodzą świat! Niech Duch im pocieszycielem będzie, im i wszystkim na ziemi!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA.

Amen!

ALIGIER.

Noc ich owiała czas ich pochłonął — za czasem w pogoń Henryku — za mną, za mną dalej!

MŁODZIENIEC.

Wszystkich przemian ból, wszystkich zgonów żal, razem spada na nas, tej nocy!

ALIGIER.

Kto nie umarł wszystkiemi zgonami, nie zmartwychwstał wszystkiemi zorzami ludzkości; kto nie dorównał cierpieniem jej cierpieniom i statkiem jej wytrwaniu, ten nie obaczy od wieków zgotowanego dla niej wesela! Kiedy ci mówię, chodź!

CHÓR NAPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Po nad wiekami lecim i patrzym i płaczem! O biada! biada! Rozpadło się słowo Boże! — Kościół w opokę stwardniał, a ducha ludzkiego morze miljonem fal, skacze ku niej — to odpływa wstecz — to przehucza mimo — opoka tu, a fale tam!

O biada, biada! Europejski gmach trzęsie się — nie wyrósł na katedrę ni też wybudował się cesarskim pałacem! — Na poły księży i na poły świecki, nie dociągnion do niebios ni doparty do wnętrzności ziemi, on runąć ma — a co gwałtu! co rozdarcia i bólu i smętku i wojen!

O biada, biada! król czy kapłan, czy gmin, każden w dniu

zwycięstwa bezmiłosierny! — probują się — i na przemiany jeden tratuje po drugim!

Coraz mniej Chrystusa w świecie — mniej Ducha żywego!

CHÓR DALEKI.

Dziecę dom opuszcza, gdy w nim lata zakipią młodzieńcze; mąż dopiero kiedyś powraca do domu — i z ludzkością tak, a jej domem Bóg!

MŁODZIENIEC.

Wszak możemy stanąć! — Przecież tam światło się już pokazuje i pewno śmierć czyjaś się rozpoczyna!

ALIGIER.

Nie smętnij mi tak!

MŁODZIENIEC.

Duch ochotny, ale ciało mdłe!

ALIGIER.

Ten tylko duchem, Henryku mój, kto zarówno duszę jak ciało swe umie nawlec na wolę swą — oto, jak giętką rękawiczkę na dłoń!

MŁODZIENIEC.

Znów inne, inne upiory stają mi przed oczyma — nie wiem przed jakiemi, czy ciała czy duszy — zda się widzę i nie widzę znów!

ALIGIER.

Jast to wzrok ducha....

MŁODZIENIEC.

Witam was, krągłe kapelusze i czarne płaszcze, z pod których długi miecz się wymyka! witam was kuźnie i miechy i tygle i młoty! To wy syny Templarjuszów, alchemicy, czarnoksiężniki, coście ziemię nurtowali, aż runął tron Sztuartów!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

Ciało jeślić nie od Boga, a jest, więc samo Bogiem — a jeślić od Boga, więc Bożem być musi — i jak Pana twór żyje i wzdycha do Pana. Pokój ciału wszelkiemu — długo przeklęte i uciskane, ono wznieść się chce, ono rozbłysnąć w złoto, rozkwitnąć w różę alchemji!

Wolność i natchnienie, oto prawa nasze — natura, oto siostra nasza żyjąca, urodziwa. Jako Chrystus nas, tak my

ją odkupim, i wyszlachetnieje w miłości naszej. Pokój jej i ciału wszelkiemu!

CHÓR MISTRZÓW.

Jeszcze nie czas! nie czas!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

A my już starzy, już strawieni pracą!

CHÓR MISTRZÓW.

Wprzód jarzmo gdziekolwiek cięży, prysnąć musi — czy z dusz na ciało, czy z ciała na dusze — w kościele — w państwie — w ludzkości!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

Darmo — więc my ufali wam — gasną wszystkie ognie nasze nagle — w żużlach nigdzie nie znalazło się złota — perzyny tylko wiją się w powietrzu — i my jak one rozwiewamy się! O mistrze, wyście nam kłamcami byli!

CHÓR MISTRZÓW.

Świętąśmy prawdę opowiadali!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

Alboż w domu wiecznym już przez Merkura księżyc w jedno połączon ze słońcem! Gdzież kamień mądrości? gdzie umarłych wskrzeszony cień?

CHÓR MISTRZÓW.

Póki królestwa Bożego nie ma, póki nie zstąpił Duch, póty cudów nie będzie! póty natura i ślepa i głucha!

Więc gotujcie ścieżki duchowi! starajcie się o sprawiedliwość na ziemi! Przetwarzajcie społeczny skład! Dobądźcie mieczów i ostrzcie sztylety!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

O biada nam — pomrzem a nie obaczym końca! Kwiat wszelki i złota wszelkie nie dla nas; nie dla nas! Jako przodki nasze, ci wielcy, ci umęczeni, od których idziem, i my nie dopijem puharu żywota!

CHÓR MISTRZÓW.

Inni was zastąpią, jeśliście małej wiary i skrzepłego ramienia. Teraz lać krew i własną i cudzą potrzeba — teraz rządy

kruszyć i głowy królewskie zdejmować z nad karku europejskich ludów — teraz kości ół nowemi rozdzierać bólami, by uczuł że żyje i ocknął się! Inny wiek — inny trud — naprzód więc!

MŁODZIENIEC.

O biedne blade mary! Dobyły mieczów, a wyleciały im z rąk — schylają się, padły na ziemię, rękoma wiążą stopy mistrzów. O! nic nie pomoże, gdy czyja minęła godzina!

CHÓR MISTRZÓW.

Widzicie sami, proch już tylko, sypki proch z was! Nie opierajcie się — nie zwlekajcie — wymówcie z własnej woli słowo, które przelewa z przeszłości siłę tajemnic na przyszłość!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

W czyjeż, czyjeż ręce oddać trzeba puhar życia?

CHÓR MISTRZÓW.

W ręce braci mularzy oddajcie go!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW.

Amen! — niech przyspieszą królestwo lat tysiąca — niech im u końca zawodu, z serc nie wymknie się wiara i nadzieja jak nam!

MŁODZIENIEC.

Straszne konanie!

ALIGIER.

Zwątpienie i śmierć, to najwyższa próba duchów — ostatnia, która przez nie zwyciężoną będzie! Gdyby jej nie było, o całe niebo zmniejszałaby zasługa ich! — a bez zasługi — bez trudu jakżeż stać się sobą samym! jakżeż nieśmiertelnym być?

MŁODZIENIEC.

Mistrze odeszli — a oni leżą rozciągnieni — ognie ich dogasają nad ciałami ich. Gdzieś pomnę, Kartuzów widziałem tak pokładłych na posadzce kościoła wielkiego!

ALIGIER.

Pokój umarłym — idźmy w stronę kędy mistrze poszli — nie odwracaj się — już tam tylko ciemności!

MŁODZIENIEC.

Mnie umarłych żal!

ALIGIER.

O dziecię! Umarłych, których zostawiłeś z tyłu, jeśli odnaleźć chcesz, to nigdy się nie oglądaj! — ale owszem, patrz naprzód! — patrz przed się! a oni już tam przerodzeni, żywi, na błoniach przyszłości!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Nad wiekami lecim i patrzym i płaczem!

Rozdzieliła się dusza świata, kościół się rozdzielił, a wszędzie czy w. Rzymie czy w Augsburgu, dusza pokłoniła się ciału! — kościół pokłonił się królowi! A ciało świata, w jednego ducha nie zlewa się z duszą — spyszniało — chce samem sobą żyć! — porosło w sto głów, w sto koron — Król tu i owdzie! — Król wszędzie — imię Europy, to król!

Podwalinami ich tronów głowy bohaterskie — i każden z tych Bogów ziemskich zapomniał o niebieskim, że wszechobecny — a że córką jego ludzkość! — a że jej synami narody — a że syny ku matce iść muszą aż ją odnajdą i u stóp jej polężą w radości! O narody, o wy światła na ziemi, gaśniecie! gaśniecie! Ze zwłok waszych marne zlepiają się mocarstwa — trupy ruszane iskrą galwaniczną rządów!

I wszędzie gwałt — i wszędzie mus — i wszędzie bunt!

CHÓR DALEKI.

Patrzcie i zważajcie! — Od krzyża, na którym skonał Pan, piekielniejszej zbrodni i rzewniejszej męki nie było na planecie tym! Tam Bóg zamordowan w człowieku — tu ludzkość w narodzie! Ale ufajcie, bo nieskończoną zbrodnią odkupić musi nieskończone dobro. Z męki bez granic w jednym, wstać musi życie bez miary we wszystkich!

MŁODZIENIEC.

Na Boga! na Boga! Zewsząd, z góry, z dołu, z boków wytryskują lampy i wieszają się po ścianach — wszędzie czarne obicia, przesłony, srebrne orły wszędzie — i zgiełk sztandarów karmazynowych — i kiry przejrzyste latające w powietrzu. Czyjże to pogrzeb? czy wszystkich na świecie tym?

ALIGIER.

Zaprawdę, że człowieczeństwa.

MŁODZIENIEC.

I rozstąpiła się ziemia — i wznosi się z przepaści katafalk — jakiż wysoki — wielki, a zakryte na nim ciało!

ALIGIER.

Ci trzej co wstępują zwolna po wschodach katafalku, oni oderwą całun — i ujrzysz!

MŁODZIENIEC.

Jakby karłów trzech, drze się do tej ogromnej postaci! Cóż to oni mają w ręku?

ALIGIER.

Berła — ale miasto krzyża zakończone bagnetem!

MŁODZIENIEC.

A na głowie jakieś bardzo duże perły i korale!

ALIGIER.

Tak — skrzepłe łzy i krew ludzką!

MŁODZIENIEC.

Już dochodzą!

ALIGIER.

Odrywają — patrz!

MŁODZIENIEC.

Archanioł w dalmatyce białej z własnych skrzydeł od ramion po stopy. Umarłych archanioł, o Boże! — i skrzydła spięte na piersiach, trzema rękojeściami trzech mieczów, wbitych jak trzy wielkie krzyże, w pierś!

ALIGIER.

I to imię, po nad nim napisane krwią świetlaną w powietrzu.

MŁODZIENIEC.

Ah! — chciałbym ustami dotknąć się tej tęczy z krwi! — muszę coś pocałować — muszę — choćby ziemię przed tem imieniem!

ALIGIER.

Podnieś się!

MŁODZIENIEC.

Nie — chcę krzyżem leżeć — to mój, mój archanioł, i ja wiem, że on nie umarł — trupy takiem światłem nie zieją w około. On śpi tylko! — przezeń Bóg do mnie mówi i mówić będzie. Ja z niego — ja cząstką tej Bożej piękności — tej świętości — tej sprawiedliwości i bólu! To ojciec mój i matka moja — to moje wszystko — czemu mi nie dajesz spocząć w prochu? — nie zrywaj mnie tak!

CHÓR KARŁÓW.

Zakryć znów całunem! zakryć i zakryć, bo oddycha! — a póki oddycha, porządku nie będzie — pokoju nie będzie — nie zeżniem naszego żniwa i na snopach z ciał ludzkich nie zaśniem.

MŁODZIENIEC.

Ani na chwilę jedną nie zaśniecie nigdy, ni tu na ziemi, ni tam w grobie! Nieśmiertelniście przez zgryzotę i hańbę, jako inni bywają przez wesele i chwałę!

ALIGIER.

Widzisz jak drżą i trzęsą się!

MŁODZIENIEC.

I znów mi zakryli dobro moje, kształt mój wszechpiękny!

ALIGIER.

Tyś wstał, a oni podupadli i tarzają się w prochu!

CHÓR KARŁÓW.

Kiedyż, kiedyż przestanie serce być w tej piersi, pod temi ostrzami trzema? Co chwila berły naszemi jak młotem przybijamy te rękojeści, a to serce je zawsze odpycha — i te skrzydła takie niepokalane choć my je krwi potokami oblełi. Co to znaczy? Miałożby być prawdą że duch czyjś, a nie ślepy los rządzi światem tym?

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Nieprawdą! — nieprawdą! — nie wierzcie — ni marzcie! Jest tylko ciało czujące i przypadkowy traf i odmęt. — O Bogu myśl, to graczką ciał — a mądrość ciał, to siła, to rachuba, to porządek, to władza na ziemi. Ze śmierci wielu żywot kilku jest.

A ci kilku żyją, bo zabić umieją! Zabić, to owładnąć zamętem!

CHÓR KARŁÓW.

Nazad spokój zstępuje nam w piersi.

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSOW.

Światło z niebios! O najprzejrzystsze! najczystsze! spłyń zewsząd i jak fale niosą, unieś, o unieś tego, który śpi do czasu!

MŁODZIENIEC.

Niech się przyczepię do tych mar! niech mnie ten potop światłości zabierze ze świętym moim, razem. O Aligier, puść mnie!

CHÓR DALEKI.

Od dnia śmierci sprawiedliwego nie spocznie europejski świat, aż sam sprawiedliwym się stanie! Jak człowiek, któremu by wydarto serce, tak będą wszystkie narody bez tego narodu! Żyją, a wieczny im życia brak. Są i nie są, bo nie mogą według Bożej myśli być. I lud każden w rozpaczy będzie — i król każden w przerażeniu! i trząść się musi ziemia pod krokami ich, a oni zataczają się po niej, pijani sumienia wyrzutem!

MŁODZIENIEC.

A ci trzej, gdzie?

ALIGIER.

Nie światło ich zabrało; dzieś pochłonąć musiały ciemności!

MŁODZIENIEC.

Czemuż żaden piorun ich nie rozgniótł?

ALIGIER.

Gdyby zaraz zginęli, nie podkopaliby sami własnego dzieła i ono puścizną po nich by zostało w świecie! Źli muszą być samobójcami własnego złego! Na toć to, na to dni im przedłuża Pan, szydząc z nich, a miłosierny nam!

A teraz inni nadchodzą. Słyszysz te dzikie wrzaski? inni nienawistni im, a wzbudzeni przez nich i równi im, bo światło co świeci każdemu, Chrystus zgasł także w ich duszach! Uważaj!

MŁODZIENIEC.

Jakież mnóstwo! jakiż rozmaity strój!

ALIGIER.

Ci pierwsi, z wzniesionemi szpadami w stalowe sklepienie, to ucznie i czeladniki — a majstry mularze, widzisz, z tyłu idą, niosąc biblję, węgielnice i cyrkle.

MŁODZIENIEC.

A owi w kapłańskich szatach?

ALIGIER.

Należą do stopnia wybranych!

MŁODZIENIEC.

A ci znów, z trupią głową i kośćmi i krzyżem na piersiach?

ALIGIER.

Kawalery Szkockie!

MŁODZIENIEC.

Czyż to znów inni, ci kilku, ci ostatni, w płaszczach co od krwi kapać się zdają!

ALIGIER.

Najwyżsi mistrze illuminaci — a nazwisko ich: Odrodzeni!

CHÓR WSZYSTKICH MULARZY.

Mak benak! ciało odpada od kości! Mak benak! zwycięstwo lub śmierć! Mak benak! wolność i równość!

CHÓR ODRODZONYCH.

Zbliża się wyroczna godzina! Strach ogarnie kulę ziemską — rozedrze się w starej świątyni spruchniała zasłona! Przysięgacież nam na wierność do śmierci?

CHÓRY INNE, WSZYSTKIE.

Przysięgliśmy, przysięgamy, przysiężem!

CHÓR ODRODZONYCH.

Dzisiaj nienawiści trzeba! Praca nienawiści, to nienawidzonych zguba! Bez litości będzieciež ich gubić?

CHÓRY INNE.

Będziemy!

CHÓR ODRODZONYCH.

Wieki marzyły o duszy, a nie zdziałały nic. Zacznijmy od ciała — ucisk nieskończony tłoczy je.

CHÓRY INNE.

Ciało, ciało wyjarzmiajmy wszelkie!

CHÓR ODRODZONYCH.

Co w niebie, o tem nie wiemy nic — co na ziemi, to widzim, to czujem, to cierpim, to nas pożera i usychamy! By przepis Chrystusowy mógł się urzeczywistnić, mniej dbajmy o tych co noszą Chrystusowy znak. To kłamcy, to szalbierze! Ich obalić — ich zatracić — a zacność moralna wcieli się już nie w usta kilku, ale w rozsądek wszystkich!

CHÓR WYBRANYCH.

Rozsądek, to ludzkości obiecany, jedyny król!

CHÓR ODRODZONYCH.

Przed nami więc idźcie przewodem. My wami kierujem, wy losami ludów — kto z nami, ten nasz — z tym filantropicznie. — Kto przeciwko nam, ten nie człowiek — z nim, jak ze zwierzem kuć go i wiązać i wodzić i biczować — a wreszcie i zarżnąć jeśli zarżnąć trzeba!

Teraz, oto istna pora zapasów! — miękkich włókien w sercu nie mieć! Tron, to deski i klej — ołtarz, wapno i gruz!

CHÓR WSZYSTKICH MULARZY.

Mak benak! szkielet tylko zostanie nagi z europejskiego społeczeństwa! a my nowem mięsem i nową nawleczem go skórą! na ruinach wybudujem. —

CHÓR ODRODZONYCH.

O tem milczeć — o tem my jedni wiemy! By stanąć mógł Salomona kościół, najsamprzód gmachy dawne zrzucić trzeba.

CHÓR MULARZY.

Zrzucajmy — zrzucajmy! naprzód — naprzód!

ALIGIER.

Idźmy za tym orszakiem!

MŁODZIENIEC.

Wszak już blisko nam do nas samych?

ALIGIER.

Ot! tam! tam na końcu, w tych mgłach wiszących za temi

rzędami lamp, dni już nasze się kołyszą — ale od nich dzieli nas jeszcze potop klęski i olbrzymi jeden duch!

MŁODZIENIEC.

Czyż koniecznie musim przejść przez to morze krwi i łez?

ALIGIER.

Nie serca przystaniem, ni rozumu! — ale stopami musim — nie wzdrygaj się!

MŁODZIENIEC.

Wszak się nie mylę — to gilotyny? — W miarę jak ciągnie orszak, z obu stron się podnoszą — ulica z gilotyn! Jaka długa — długa — wszystkie w ruch się wprawiają — tu, tam i znów tu i znów tam i owdzie noże łyskają, spadają! Z pod każdej błyskawicy głowa leci jedna. Ileż nożów! — ileż głów ściętych! — niepodobna przejść

ALIGIER.

Oprzyj się na mnie.

MŁODZIENIEC.

A ci dalej kroczą — zaczynają śpiewać!

ALIGIER.

Pamiętasz? Dusza gdy się rozwstrętni do ciała, ucieka na Tebaide, wycofuje się od społeczeństwa ludzi; ah! nie żyjąc w innych, płacze nad sobą i więdnie! — A teraz, patrz czem ciało, gdy się oderwie od duszy! jak wścieka się i morduje. Tam i tu pełnej miłości brak — tam samobójstwo, a tu zabójcza rzeź!

MŁODZIENIEC.

Samobójców od zabójców wolę!

ALIGIER.

O! duchów przekładaj żywych! — bo pora ciał i pora dusz minie, a ducha uderzy godzina! — Tamte były tylko przedchwilami tej!

MŁODZIENIEC.

Rozkaż — uproś — by mi te głowy do stóp nie leciały tak — choć każda rozemdlewa się jak sen; źle mi, źle mi bardzo, o Aligier!

ALIGIER.

Iść musim, iść musim przez królestwo zbuntowanych ciał — póki nie przejdziesz, ja cię nie poratuję. O! wstrzęsły się posady świata. Wieków cierpienia nagromadzały się powoli i cicho! aż buchnęły wulkanem! Raz tak było — musiało być — ale o Boże, Panie! o Wszechduchu duchów, wszak nigdy się już nie powtórzy tak zwierzęcy dzień i zbrodnia takowa?

MŁODZIENIEC.

Mdło mi — mdło! co za ohydne larwy! co za katów posępny rząd! każden przy swojej pracowni! i te kosze zbroczone, pełne, i te sine kadłuby — i ludu bałwany pstre, huczące z boków — co siekier, dzid, pałaszy! — a ten orszak zawsze taki sam, śpiewny taki, świąteczny taki! idą, coraz dalej — sypnęli teraz kwiatami śród tego motłochu i trupów tych!

ALIGIER.

Zbierz myśli — uważaj jaki wyraz na tych wszystkich twarzach!

MŁODZIENIEC.

Strach na ich czołach kipi! strach z ich włosów się wyjeża! Strach z ich krwi pluska! Wszędzie strach, jeden wielmożny strach tylko! O wstyd wieczny wam, żeście się mniej lękali zabójstwa lub śmierci, niż strachu! Jedne tylko te noże nie drżą i nie bledną! Podnoszą się i spadają zawsze równo! ah! jakie czerwone, kapiące, bryzgające. O Boże mój! o Boże mój!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Biada dniom onym! W imieniu Boga królowie jedną z myśli świętych Boga, naród śród ludzkości żywy rozćwiertowali! — a teraz w imieniu człowieka lud zarzyna króle i kapłany i wszelką władzę ludzką! O biada — biada!

MŁODZIENIEC.

Dzięki wam nadpowietrzni! Teraz przejdę tą ulicą z rusztowań i nie upadnę! — Bliższych mi ojców i braci zabito — ukochańszych duchów straciłem! co mi do ludzi tych? — przecież w grobie i archanioł mój!

CHÓR MULARZY.

O odrodzeni! o mistrze najwyżsi! nie ma już komu i nie ma

już kogo zabijać! Od pracy rumianej ręce opadły robotnikom, i z nich każden położył się na rusztowaniu swem! Czy słyszycie nad szmerem spływającej krwi ciężkie chrapanie katów?

CHÓR ODRODZONYCH.

Idźcie dalej.

CHÓR MULARZY.

Gdzie? — nie wiemy! — dwie ostatnie gilotyny tu stoją a za niemi ciemności!

CHÓR ODRODZONYCH.

Dalej — zawsze dalej!

CHÓR MULARZY.

Nic się nie naprawiło dotąd, ni dla ciała, ni dla duszy — pusto i smutno — para z krwi ludzkiej mgłą posępną wstaje na około nas — ślepniemy!

CHÓR ODRODZONYCH.

Nie wszczynaż się tam choć jedna ścieżeczka? Nie błyszczyż przed wami choć jedno światełko?

CHÓR MULARZY.

Nic nie widzim — tylko coraz ciemniej i w około nas i w nas samych!

CHÓR ODRODZONYCH.

Budźcie śpiących! budźcie robotników!

CHÓR MULARZY.

Nikt się nie przebudza! Umarli bez głów leżą jak drewna i głazy — żywi tak samo w letargu! Co poczniem? co? za nami śmierć głucha, przed nami nieurodzonego coś, jakoby nicestwo! Gdzie wy nas zagnali! gdzie my jesteśmy? czem my? gdzie Bóg? gdzie ziemia, gdzie niebo? Czyż wszystko tylko snem pełnym złości i bólu?

CHÓR ODRODZONYCH.

Nie płaczcie jak niemowlęta! nie rozciągajcie się w cieniu rusztowań, na bruku! Stójcie na nogach! stójcie jeszcze przez chwilę!

CHÓR MULARZY.

Mak benak! I nam już ciało odpada od kości! Mak

benak! I my spocząć chcemy! choćby oprzeć głowy o głowy ścięte i pokotem leżeć z trupami i zasnąć! A wy bądźcie przeklęci, bo zdołacie śmierć roznosić jak Bóg, ale jak Bóg czyni, nie umiecie ani wskrzeszać, ani tworzyć! Przekleństwo wam, nie mogącym nic!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Oto, zmiłuje się miłosierny Pan. Wstańcie wszystkie myśli umarłych! wszystkie sny śpiących gromadźcie się! Wszystkie tęsknoty pokolenia tego, wy niedoszłe, wy przerwane, wy coście pragnęły a nie podołały, zerwijcie się i krążcie nad krwi morzem tem!

MŁODZIENIEC.

Czyż sąd ostateczny się zaczyna? Ezechielaż wraca mi widzenie?

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Krążcie i zmięszajcie się — umiarkujcie się i przeniknijcie nawzajem — aż staniecie się duszą jedną i wolą jedną i czynem!

MŁODZIENIEC.

Z głów tych, z tych piersi, z ciał tych wszystkich, coś wybłyska — co chwila wzbija się i wiruje — to tli, to zagasa. Jak ptaki nocne, polatują jakieś mnóstwa w powietrzu. Słychać szum a nic widać skrzydeł!

ALIGIER.

Tak na tej ziemi jeszcze, serca tych którzy zniknęli, odzywają i przelewają się w innych.

Toć pierwsze zmartwychwstanie! — a wtóre dopiero na dniu ostatnim człowieczeństwa, kiedy każden znów o sobie powie: — to ja! —

MŁODZIENIEC.

Gdzie gilotyny? gdzie czerwone kałuże? gdzie lud ten cały co leżał na dole? wszystko w górę wyparowało jak w dzień letni po burzy — a w górze, niby iskry przewiewne? niby perzyny, wyziewy, orkany! niby elektryczne wężujące nurty! Gdzie my się dostali? jakiż to nadpowietrzny świat?

LIGIER.

Alboż nie widzisz co się dzieje? jak z żywiołów tych jedna siła, kształt jeden promienisty się tworzy?

MŁODZIENIEC.

Coś takiego, coś takiego!

ALIGIER.

Coraz wyraźniej — nie poznajesz że już postaci tej?

MŁODZIENIEC.

Na tle odmętu, on jeden, on jeden — taki całki — taki jasny — z orłów złotych, rozkrzydlonych żywy namiot po nad głową! — uśmiech jakoby dobroci na ustach a grom, zda się, wyskoczy ze skroni — to cesarz — to Napoleon!

ALIGIER.

To dusza Napoleona, w świecie dziejów ludzkich — jedna, a wieki zawierająca — jedna, a wszystka — idea z miljonów myśli, drgająca, wcielona — a teraz Pan jej powie: — Idź naprzód — i nic i nikt jej nie wstrzyma — i pójdzie — i drogę dalszą znajdzie wśród ciemności!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Kto mu równy z tych, co przemijali dotąd? Wszystko co kiedykolwiek istniało w rozdziele, danem mu w przedziwnej spójni! — i ciało pół-bogów dawnych, niestrudzone, bezsenne, urodziwe! — i dusza chrześcijańska bezdenna, a tęskna i rzewna; i duch twórczy, czasu i przestrzeni magnetyczny Pan!

Wszystkie losy ludzkie w nim jednym się zbiegną! Wszystkie trudy i tryumfy — potęgi i klęski — wesela i nieszczęścia!

Jak świat z niczego, prosto z Boga stworzon, tak i on śród ludzi, z niczego zjawi się i wzniesie! Bohaterem będzie jak grecki Aleksander — Imperatorem tak jak rzymski Cezar! — Męczennikiem jak święty z pierwszych Chrystusowych wiosen! I umrze jak Mojżesz, sam jeden w obliczu Pana umrze, prorokując o woli Pańskiej nad dniami przyszłemi człowieczego rodu!

MŁODZIENIEC.

W słup ognisty, skrzącemi skrzydły związały się orły — otoczyły go — palą się i kręcą. On z wiru tego wyciągnął rękę i porwany leci. — Miecz w ręce tej, jak płomień — nicość się rozświetla — przestrzeń błękitnieje — znów w dole, postaci ludzkie kształcą się, wyrastają, kupią! Widnokręg coraz nieskończeńszy przed nim!

ALIGIER.

Nie przed nim — bo on musi się rozwijać, ale przed temi tłumami, których on na chwilę pasterzem!

MŁODZIENIEC.

Co za organów olbrzymich śpiew?

ALIGIER.

Słyszysz grzmoty bitew jego, przemienione w harmonję, wspomnieniem!

MŁODZIENIEC.

Co to za czarne tam roje czy warstwy, takie niewzruszone?

ALIGIER.

Widzisz, że w miarę jak się Postać zbliża do nich, one zaczynają świecić się i ruszać!

MŁODZIENIEC.

Prawda! — jak żywe mielizny — i krzyki z nich się wzbijają — i błysk stali z nich tryska — rąk tysiące, tysiące widzę podnoszących się!

ALIGIER.

Nie zasnęłyż były narody? Nie zasklepiłyż się były jak gąsienice, one myśli Boże w Europie?

MŁODZIENIEC.

Z góry, ramionami, jakby magnetyzował je, przechodząc — jedne idą za nim — drugie zrywają się przeciwko niemu!

ALIGIER.

Wszystkich tych, czy tamtych, on Wskrzesicielem! Odtąd ni króle ni ludy już władzy nie dzierżą — ale Narodowości i ludzkość, a w imieniu Pana!

MŁODZIENIEC.

Patrz! patrz! I on już blednie choć coraz dalej leci — i on już blednie — już skręca się na dół! — Podbieżmy za nim!

ALIGIER.

Nie dogonim tej Postaci! przeżyty jej czas! odbyty jej trud! i Wieczność ją woła!

MŁODZIENIEC.

Wirujące orły odpadają! Jak słońce nagie, sam pozostał — i zachodzi coraz niżej — niżej — huki i wrzawy cichną. Widnokrąg zamierzcha znów — noc już teraz i milczenie — cóż dalej?

ALIGIER.

My! bo chwila nasza uderza! Dosłuchaj tylko jednej zwrótki jeszcze?

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Wyjrzyjcie z wnętrzności ziemi, wy coście do nas się schronili, gdy Tytan zmiatał was jak śmieci z nad Europejskich niw. — Czas wam powrócić do dawnych dziedzin — spieszcie się nazad, o! spieszcie!

ALIGIER.

Przypatrz się tylko, co za kształty jadą na tych trzech koniach, całe okłamione purpurą i szychem!

MŁODZIENIEC.

Korony wysokie — długie berła okręcone różczką oliwną — płaszcze niżej strzemion, aż po ziemi się wloką!

ALIGIER.

Teraz przeciągają blisko — wnurz oczy w nich!

MŁODZIENIEC.

Ci sami trzej — tylko się nadęli, wspięli, rozdłużyli — obrzydliwe karły!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Nie jawnym już gwałtem, ale skrytym a wiecznym pracujcie! Święty pokój ogłoście! świętym skojarzcie się sojuszem. Wszystko co z was, niech zwie się święte — święte — święte!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Usłuchajcie prawdy! a może jeszcze dorośniecie miary człowieczego wzrostu! Jedziecie na wielką naradę — bądźcie sprawiedliwi!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSOW.

Sprawiedliwości pokostem niesprawiedliwość umalujcie wszelką!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Jeśliście chcieli zabić To, co nieśmiertelnem, wyznajcie winę, nie dobijajcie, ale wróćcie życie!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Udawać, udawać że się wskrzesza zabitych — że się żałuje morderstwa!

CHOR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Jako Chrystus kazał, bądźcie pierwszymi sługami narodów! a nie pójdziecie w pogardę!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Tuczcie ludzi na karmne bydło — a sami wtedy tłuste szyje oddadzą w jarzmo wam!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Stańcie się budownikami woli Bożej na planecie tym. W każdym kształcie społecznym uwiadomcie wiarę — nadzieie — miłość.

CHOR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Dyplomacją — Policją — Żandarmerją!

MŁODZIENIEC.

Zatrzymali konie — podali sobie ręce — słuchają!

ALIGIER.

I przysięgają sobie!

MŁODZIENIEC.

Tak cicho, że nic nie słychać!

ALIGIER.

Gdyby na zacność i rozum i cnotę, toby głośno przysięgali!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Ot! tak — dobrze tak! — a teraz ruszajcie — lećcie jak strzały zatrute — a dalej — a dalej!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW.

Daremno! Wężowego splotu rąk tych trzech żadna nie rozwiąże przestroga! Ślub nierozerwalnym — lecz zaślubieni poginą!

MŁODZIENIEC.

Poginą! — kiedyż? Wszak od dość dawna już archanielska krew woła przeciwko nim. Darmo przytulasz mnie do piersi, Aligier, dreszcz lodowaty mnie gnębi! Ah! już żaden obraz nie tworzy się więcej — nic — już nic — tylko loch ten ogromny, podobny do grobu bez końca! Bohatyry, proroki, święci, szli i przeszli i zaginęli! Karły jedne trwają — ostały się — żyją! — O Aligier, tylu natchnień i wieków, takież więc rozwiązanie? A to nie mara — ni sen. Jak tu w tych głębiach tak i tam na równinach ziemi, martwo — ciemno, podle! Mierność i złość siódmym dniem człowieczeństwa! Oto odpoczynek dany nam!

ALIGIER.

Nie bluźń dziecię! Niedziela człowieczeństwa — to przemiana — to zmartwychwstanie ciał — to anielstwo! Daleko jeszcze ludziom do niej — nie wiesz co mówisz — nie wiesz na jakiem miejscu drogi stoisz i ku czemu idziesz — ale, oto dowiesz się!

MŁODZIENIEC.

Alboż to nie nasz Wiek już?

ALIGIER.

Nasz, tak jak wygląda, ale nie tak jakim jest!

MŁODZIENIEC.

Co mi wskazujesz?

ALIGIER.

Z tej strony te dwie rozpalające się pochodnie!

MŁODZIENIEC.

Jak dwa smutne księżyce! — Ah! widzę jakieś drzwi ogromne pod niemi — drzwi żelazne w murze!

ALIGIER.

Zbliżajmy się powoli — czytaj ten napis srebrny w górze!

ALIGIER.

Gens aeterna in qua nemo nascitur!

MŁODZIENIEC.

Tu dopiero koniec przeszłości! — za temi progi teraźniejszość się wszczyna i zgromadzenie żywych Duchów marzy o tem, co stać się ma, bo stać się powinno.

CHÓR DALEKI.

Witajcie, wy co przystępujecie do obecnych czasów. — Wy coście odbyli podróż wraz z Pielgrzymkami, Anielicami Pana — z Ideami ludzkości!

MŁODZIENIEC.

Jakżeż te głosy rosną — zbliżają się — mnożą — zda się obok nas brzmią, już te strony i śpiew ten się rozlega!

ALIGIER.

Ściana ta tylko od nich nas dzieli!

CHÓR.

W imieniu Pana, u tych podwoi, przyjmujem was — a Pan troisty choć Jeden — i dzieje Planety troiste choć jedne!

MŁODZIENIEC.

Takich tonów nie słyszałem nigdy — powietrze całe w muzykę się rozedrgało. Hymn ten w serce zstępuje, jakby wszystkich jęków serca, dźwięk odkupiciel!

CHÓR.

Nadchodzi wreszcie obiecany Dzień! Wiek który zwie się Pocieszycielem! Godzina, która zwie się Dopełnicielką! Nie na zawsze Chrystus był odjęty nam — nie na zawsze światło żywota zaćmione. Oto, uwielbion będzie przez Ducha, Syn — a Duch z Ojca i Syna jest i obu, miłośnie kojarzy!

MŁODZIENIEC.

Kończyłem się już — a teraz znów w piersiach nieskończoność czuję! O! błogosławione akkorda.

CHÓR.

A jako w niebie, tak i na ziemi!

Wszystko co przeszło, a bolało przechodząc, wróci, ożyje, podwyższy się, ale boleć już nie ma!

Myśli rozbratane, czyny sprzeczne, kolejne wieki, uwielbią się i pokochają nawzajem!

Trzeciem wszechmiłości tchnieniem Pan upomni się o Planetę swego —

O ród człowieczy swój upomni się Pan!

ALIGIER.

Zapukam — drzwi się otworzą — ty zaraz wchodź za mną!

MŁODZIENIEC.

Gotów jestem jak do nieba! — ah! jeśli wszystko ma się ku odżyciu, toć i Archanioł mój!

CHÓR.

Pokój nasz dajemy Wam! Wejdźcie!

VI.

PODZIEMNIA WENECKIE.

SCENA II.

(Ogromna sala. — Ściany sklepienia obwieszone lampami. — W głębi na tronie wyniesionym PREZES w todze białej. — Po prawej stronie mównica wystająca ze ściany ze wschodami. — Wzdłuż ścian po obu stronach CHÓRY NARODÓW, każden w barwach swoich. — PANKRACY na czele chóru polskiego. — ALIGIER. — MŁODZIENIEC.)

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Kogóż wprowadzasz do Zboru! czy tylko nie ciało pozbawione duszy?

ALIGIER.

Takie ciało kamieniem śpiącym — kamienia nie wlokę za sobą, o ukochani!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Może duszę bez ciała?

ALIGIER.

Taka dusza czemsiś co niczem jak sen — snu nie przynoszę wam, o ukochani!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Czem więc ten, który stoi za tobą?

ALIGIER.

Żywym duchem! — duchem bez początku, bo z Pana wyszedł — i bez końca, bo ku Panu dąży napowrót, a nigdy nie

stopi się z Panem! Na pielgrzymkę nieskończoności duszę i ciało mu dano — on ciągle jeden, ten sam, niezatracalny — one tylko umierające i odżywające naprzemian. Kiedyś, kiedyś on wraz z wami zrzuci ludzki strój — i inny wyższy przybierze w dzień ostatni przypomnienia i sądu! Lecz wprzód losy planety, wspólne nam wszystkim, rozwiązane być muszą — i on wstępuje między was, by pracować i przyspieszyć wraz z wami wszystkie dni poprzednie, wielkie, nadejść mające. Ja was proszę, ja wam mówię: przyjmcie go?

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Niech nam powie imię zasłużone, święte, którem go ochrzczono, gdy człowiekiem się rodził.

MŁODZIENIEC.

Henryk!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Niech wyzna imię zbiorowe Duchów, dla których Pan chciał, by żył i umierał na ziemi, kiedy mu śród nich narodzić się kazał!

MŁODZIENIEC.

Polska!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Nadpowietrzny chór przyjmuje cię, nie żąda żadnej od ciebie przysięgi. Tem że jesteś, tem, że wiesz się Duchem, już przysiągłeś na wierność i Panu i człowieczeństwu i prawdzie! Tobie, nie im biada, gdybyś upadł, gdybyś zwątpił, gdybyś zdradził. Teraz niech cię ziemskie głosy witają.

CHÓR IRLANDZKI.

My pierwsi na ziemi, zrzucający jarzmo białemi rękoma — my z wdzięczną wieścią przychodzący, że już miłosierni i cisi zaczynają zwyciężać, pozdrawiamy cię! Ufaj harfom tym — każda struna w nich mieczem — i one zdobędą wolność katolicką Erynu!

CHÓR WŁOSKI.

My trupy, do dna grobu przyparte podwójnej chwały popiołem i przykryte lazurami niebios, my pragnący po raz trzeci

żyć, pozdrawiamy ciebie! Ufaj czarnym płaszczom naszym, choć to pogrzebu znak — i zielonym czapkom, bo to wiosny przeczucie!

CHÓR GERMAŃSKI.

Rozdzieleni w ciele, ale jedni myślą, my Idei kapłany, my co byli a nie żyli, my pragnący żyć, pozdrawiamy ciebie! Spojrz na nasze włosy i brody pierścienne — — u greckich mędrców podobne się wiły — i ufaj tym rapierom wziętym po gockich naddziadach!

CHÓR FRANCUSKI.

Żyjący pozdrawiają ciebie!

CHÓR SŁAWIAŃSKI.

O wielu, wielu nas jest, jak fale wezbranych, jak dzieci tęskniących z kolebek ku słońca promieniom — a wszystkie kolebki nasze takie podobne do trumien. Sami nie wiemy, czy się rodzim, czy zmartwychwstajem, ale słyszem głos co nas woła, więc podnosim się, patrzym — a oto przed nami olbrzymi grób od morza do morza. — Niechże za nas odezwą się do ciebie ci, którzy w grobie tym — bo oni tam nie pokładli się na sen. Od lat stu ciemność im światłem — śmierć żywotem — rozpacz nadzieją! Naród-król nas wszystkich, naród-duch plemienia naszego, niechże wita ciebie!

CHÓR POLSKI.

Trzykrotny bracie nasz, Duchu śród Duchów, człowiecze śród człowieczeństwa, synu polski śród synów jej, pozdrawiamy cię! A jako Duchem teraz, tylko pod postacią człowieka, tak wiedz, że człowiekiem ci się być godzi teraz, tylko pod postacią Polaka — inną wdziej, a niżej bydlęcia upadniesz! Zawrzej więc w jednej piersi twej zarazem żywych i umarłych wszystkie potęgi! Obchódź się bez niczego jako trup! O żadną próżność, ni zysk, ni pychę nie dbaj jak trup! Wrzkomo żadnego bólu nie czuj, choćby ci gwóździami serce przebijano, jak doskonały trup! A wiecznie miej się do czynu, jak żywy! Kochaj braci, jak żywy! Jak żywy ufaj w Boga żywych! A teraz idź ku tronowi i przystąp i słuchaj!

PANKRACY.

Wprzód jeszcze z rąk moich weź biały płaszcz i karmazynową czapkę.

ALIGIER.

Wdziej coć dają, to znak, że do ich grona należysz.

MŁODZIENIEC.

I ty już tak?

ALIGIER.

Przecież i ja do nich, dopókim na świecie, się liczę!

MŁODZIENIEC.

A teraz?

ALIGIER.

Tak jak ci kazali, zbliż się do tronu.

PREZES.

Patrzałeś na mary tych śmiałych, którzy po wszystkie czasy w głębiach ziemi obierali się rządzącym jej powierzchnią — niemi otoczony, przez dwa światy co przeszły, przeszedłeś. Zrozumiałżeś czem przedchrystusowy, czem pochrystusowy wiek? Czego pragnęli w prawdzie tęsknoty wiecznej, a w fałszu nieraz użytych środków, owi wszyscy tajemni, wyrywający się ku coraz dalszej przyszłości? Mów, coś widział tej nocy?

ŁODZIENIEC.

W pierwszych jej godzinach widziałem ciało pogańskie wszelkie, tęskniące do chrześciańskiej duszy, aż dostąpiło objawu niebianki!

PREZES.

A w następnych?

MŁODZIENIEC.

Widziałem rój myśli świętych rowieszon nad światem — lecz nie spuszczały się na dół by osypać ziemię — niebieskie, kwitły tylko w niebiesiech!

PREZES.

Dobrze synu! i cóż ztąd? wszak nie na tem był koniec widzeń twoich?

MŁODZIENIEC.

Wtedy mnie otoczyła rozpacz ciał wszystkich — dawniej duszy nie znały, a teraz już urodziła się im — widzą ją nad sobą, a nie mogą jej do piersi ściągnać — więc zaczną płakać, więc zgrzytać — więc i krwią pluskać!

PREZES.

Umarłych zrozumiałeś skargi. Starożytni wyglądali dusz powszechnego kościoła — nowożytni powszechnego społeczeństwa ciał — a możeż jedno bez drugiego być? A ze zlania obu, czyż nie trzecie wstanie? I tamtym i tym, połowy tylko rozłożone ludzkości, nie wszystka ludzkość w sercu była — połowy, to złudy a czasem i zbrodnie. Całość tylko rzeczywistością na ziemi, w niebie. Wszak wiesz o tem?

MŁODZIENIEC.

Wiem ojcze!

PREZES.

Odpowiadaj dalej. Czy wierzysz w Ojca, w Słowo, w Ducha Świętego, w oną Trójcę przedwieczną, na której podobieństwo i obraz, wszechświat i każda cząstka jego i każden z nas i wszelki drobiazg i wszelka arcy-potęga — kamyk czy seraf — dostały w dziale Byt, dostały w dziale Myśl, dostały i życie?

MŁODZIENIEC.

Wierzę w nią!

PREZES,

I wierzysz, że Słowo stało się ciałem, że mieszkało między nami?

MŁODZIENIEC.

Wierzę!

PREZES.

Jeźlić człowiekiem był Chrystus, więc zjawił się na pewnem miejscu i o pewnej chwili. Jeźlić Bogiem, to panował wszystkim miejscom i czasom. Jeźlić Bogiem-człowiekiem, toć musiał ogarniać wszelkie losy planety tego! Czy pamiętasz jak w wigilję męki prorokuje o przyszłości człowieczeństwa, gdy oznajmuje ukochanym, że kiedyś Pocieszyciel przyjdzie?

MŁODZIENIEC.

Obietnicę pamiętam!

PREZES.

Ja ci słowa pisma powtórzę — kto przytomny, niech klęka.

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Ojcze, możesz otworzyć Ewangielję Jana, wszystkie chóry uklękły.

PREZES.

— «Mamci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie» — «Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę.» — «On mnie uwielbi, bo z mego weźmie a opowie wam.» — Otoć co rzekł Pan do wszystkich przyszłych wieków świata — i wiele ich odtąd przechodziło i przeszło już, a nie zrozumiały. Snać znieść nie mogły dotąd!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Ojciec księgę zamknął, możecie wstać.

PREZES.

Wyższej przepowiedni nie było, nie ma, ani będzie! Sam o sobie samym świadczący Bóg! o sobie, że się wleje w ziemię trzecim wlewem swym! Za dni Jehowy proroki Ojca, oglądały już Syna przed sobą! — a Syn w chwili gdy umiera, widzi już Ducha Świętego! — inaczej nie mogło być! Człowiek zwierciadłem wieczności — więc i w dziejach człowieka na wartkiej kuli tej odbyć się musi następnie ta Trójca, co wiecznie sobie spółczesna na niebie — ale dopełnionaż obietnica Pańska, mów Synu, czujesz, dopełnionaż jest? Jakiż wiek z tych osiemnastu wieków chrześciańskich uwielbił Chrystusa?

MŁODZIENIEC.

Żaden, żaden ojcze!

PREZES.

Do nich wszystkich, do nich wszystkich jeszcze mówi Pan: «znieść nie możecie», bo ten Go tylko uwielbi, który przepis Jego we wszelkiej rzeczywistości uwidomi i udotykalni — a wtedyć chwała świata takiego, że z Boga jest, jwż sama świadczyć będzie. Więc cóż synu, cóż? Wykonanie

będzie zstąpieniem Ducha, czyn sam pocieszycielem! A gdzież czyn ten, czy widzisz go?

MŁODZIENIEC.

Nie.

PREZES.

Spójrz w siebie, on tam jest!

MŁODZIENIEC.

Jakto ojcze?

PREZES.

W twojej, jak w każdej innej piersi.

MŁODZIENIEC.

Jakto?

PREZES.

Ani osobnikowi, ani narodom, ani ludzkości Łaska wiekuista nie zdała się na nic, jeźli aż pod same niebiosa rąk nie podniosą ku niej — bo połową stworzenia wola stworzonych! Choć minęło, co minąć miało, choć dopełniają się czasy, choć Duch obiecan już przewiewa po nad ziemskim padołem — jeźli go sami nie wysłużym, nie wypragniem, nie wyczynim; jeźli siebie samych nie przeołtarzym Jemu, on nie zaświeci nam — i nie pocieszeni zostaniemy!

MŁODZIENIEC.

Cóż więc każecie?

PREZES.

My dziś już nie rozkazujem nic — prawdę tylko objawiamy, a kto ją pojął, ten sam rozkaże sobie. Jej więc teraz słuchaj. Póki ciało z duszą nie zlane w jednego Ducha, póty czynu powszechnego nie masz, póty bitwą i zamętem dzieje Ludzkości! Wszędzie rozłam i rozpad i rozstrój — cząstki tylko — a każda nienawistna drugiej we wszystkość zesamolubić się chce, wytępiając inne. Naród, państwo, stan, zasada, ustawa, prawo każde nie o postęp, ale o coraz starszą starość się stara. Co dłużej trwa, temu hołdują, nie że święte, ale że obaliło przeciwników wielu — przedawniałość prawowitością. Wszelka nadzieja i wszelkie natchnienie buntem i świętokradztwem. Jak kat do

szkieletu siedzącego na stolicy, tak przyszłość wiecznie przystępuje do siostry swej przeszłości — i wszelka teraźniejszość prochem jednej i krwią drugiej zbryzgana, dotąd nędz kałużą jest! Wszak prawdziwie świadczę nieszczęśliwym losom planety tego?

MŁODZIENIEC.

Ojcze, nieraz toż samo łzy mi moje pisały na twarzy, gdym czytał historję. Każden z ludzi, ale ze wszystkich najbardziej Polak, zaświadczy świadectwu twojemu!

PREZES.

Tak żyć, to nie żyć, to konać wiecznie. Innem prawo wszechżycia — ani umierać by zaginąć i potępionym być — ani nawet umierać, by później z grobu wstać — ale ze siebie samego zmartwychwstawać wciąż a bez omdlenia śmierci — oto rozwój duchów — toć żywot ich wieczny! Narody go na ziemi dostąpić powinny, nim każden osobnik go w zaświatach dostąpi — bo człowieczeństwo czemże jeźli nie szkołą — próbą aniołów? Albož ołtarze Boga tylko pod katedr sklepieniem? Wszędzie — i w izbie poselskiej i na trybunale i w kole wyborów i w kole wybranych — i na stolicy władnej i na rynku pospolitym i w rękodzielni i na giełdzie i w sztuce każdej i w każdej umiejętności Pan dojrzan, poznan, uczczon i wykonan być musi — być musi i będzie! Każden trud w posłannictwo, każden urząd w kapłaństwo się zmienia — i czcią Tego, który jest, będzie być i żyć! Czy czujesz we wnętrzach istoty twej, że się spodziewasz takiej przyszłości, że wierzysz w nią i kochasz ją?

MŁODZIENIEC.

Od kiedy oddycham, każdem serca uderzeniem pożądam piękna, wyzwolenia, szczęścia — a żyję śród potwornych klęsk! Młodym nigdy się nie czułem — a ty mi świata odmłodnienie obiecujesz ojcze! Jakżeż nie mam wierzyć tobie i dziękować ci!

PREZES.

Odpowiadaj mi dalej: — wszak Bogiem w jednym człowieku był Chrystus?

MŁODZIENIEC.

Tak!

PREZES.

A Chrystusem we wszystkich ludziach kto będzie?

MŁODZIENIEC.

Ludzkość chyba!

PREZES.

Ale kiedy? wszak nie wczora? nie dziś? kiedyż więc!

MŁODZIENIEC.

W ostatniej, najwyższej chwili dopełnienia swego.

PREZES.

A przez kogoż się dopełni? gdzie członki tego ciała, w którem jeden Duch? Jakież to obrzędy w tym kościele powszechnym, rozmaite a ustanowione od Boga? Gdzie barwy tęczy, z których ta białość świetlana powstanie?

MŁODZIENIEC.

Wszak się nie mylę ojcze? wszak o narodowościach mówić chcesz!

PREZES.

Powiedziałeś sam — a patrz jak za dni naszych wszędzie wola Boża opatrznie kusi wolę ich! Jednym zewnętrznej niepodległości, drugim wewnętrznego ukojenia brak — wszystkie za wolnością tęsknią — a wieszże Synu co to wolność?

MŁODZIENIEC.

Słucham Ojcze!

PREZES.

Ten tylko wolność osiągnął, kto tak ducha swego wyarcydziełował, że już nie walczy ni z sobą, ni z drugimi, ale w sobie spokój ma, a z drugimi miłość — więc samoistny jest — więc dokonany jest — więc ze siebie samego wystąpić może, zdwoić się, ztroić, zesetnić w własnych utworach! Wolni tylko tworzą — i wolne tylko narody jak lutnie różnobrzmiące wydźwięczą z siebie ludzkość, najdoskonalszy wszechdźwięk swój! Niech nie zapominają o miłości, bez której nic postawić i zbudować nie sposób — bez której Bóg choć wszechpotęgą odzian, nie mógłby był stworzyć nic! Świat ich — niech tylko one będą! Jak z głazu posąg, niech tak się podniosą, a pod wewnętrznem

własnej woli dłutem! Zaprawdę, zaprawdę niech pamiętają, że nie to co niewzruszone i zbite jak skała, mądrością na ziemi — ni też co wściekłe i wysadzające skałę w powietrze, natchnieniem i czynem! Ale że istną świętością i wybornem pięknem, to co płynne wciąż, a wstępujące coraz w górę wyżej, to co szersze co chwila a jednak toż same jak światła wschód nieskończony!

PANKRACY.

Proszę o głos!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Co to znaczy?

PANKRACY.

Naczelnik chóru polskiego prosi o głos!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Czyż nie wie polskiego chóru naczelnik, że występnikiem jest przerywać Prezesowi, kiedy nowo wstępującego naucza?

PANKRACY.

Jeszcze raz damagam się o głos!

PREZES.

Synu mój, zapominasz o prawdach podziemiami rządzących i uporem narażasz się!

PANKRACY.

A ty ojcze, nie narazasz że tej duszy młodocianej na zgubę, gdy o miłości mówisz — i miasto hartu, wtkliwiasz miękkość jej do serca?

PREZES.

Milcz!

PANKRACY.

Słuchaj mnie, słuchaj arcy-przewielebny! Słuchajcie wszyscy ilu was tu narodów i ludzi! Jeźliście z zachodu, wolno wam jeszcze i to marzyć tylko, że miłosierdziem chrześciańskiem wielkich dopokoicie się celów. Szlachtęście już zgilotynowali, jedni — w błoto i nędzę wepchnęli drudzy — dobrze! Ale z bankierami finansistami, ale z mieszczaństwem waszem, tą po-

wtórną pasożytnością na ludowem ciele, co poczniecie? Zresztą, w tej chwili, mniejsza o was zachodni — ja ze wschodu — ja Sławianin! ja Polak! więc powiem —

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Duchu niesforny, nakazujem ci milczenie!

PANKRACY.

Jużem się odważył — nie tam tego potomka arystokratów lackich, tego z antenatów rodem, omamiać ideami, które kiedyś się dopełnią, ale przed których urzeczywistnieniem Sławiańszczyzna cała i Polska cała, muszą wyglądać jako jedno morze krwi! Niech młodzik rzeczywistość zna! — niech tu zaraz zrzuca z siebie szlacheckiego człowieka — albo niech wychodzi, ucieka, nie ogląda się — a ze sobą naszych tajemnic nie bierze!

PREZES.

Chyba twoich, zbuntowany Duchu! bo w naszych nie ma przykazu krwawego. Jest święta i orężna praw świętych i pokrzywdzonych obrona — morderstwa nie znajdziesz!

PANKRACY.

Słuchaj mnie młodziku, ty coś z ojców twych rodem, ty co ojców masz! Otóż ja, który ich nie mam, ja który chodzę po tej ziemi, jakbym się z niej prosto narodził, ze żwiru, mułu i murawy, tak jak Tytany niegdyś a ludowi ludzie dziś, otóż ja powiadam ci! — Z szlachtą polską i wszelką sławiańską koniec! Jeźli chcesz, klękaj i mów zdrowaś Marja nad ich grobem — wolno ci! A znam was — a wiem was — nie ustąpicie — wszystkoście oddać gotowi i pół ziem waszych i brzęczący pieniądz; — ale klejnotu — ale pamiątek — ale dumy, nigdy! Więc poświęceniem nowem znów dorwiecie się władzy, której wspomnienia wieczność by sama nie zdołała wam z ducha wygluzować. O! ja nie z was, a znam was, jak wy sami się nie znacie. Więc co za rada z wami, z urodzonymi! jedna tylko — trzeba was odurodzić, żadnemu nie przebaczając, żadnego z sieci śmiertelnej nie wypuszczając, by raz już krew wasza i szpik kości waszych rozłożył się chemicznie na wieki i zniknął w przestworach! Dopiero będzie Równość i Lud — a wtedy, wtedy, dopiero wtedy, wszystko co ten człowiek w bieli na tronie wyrzekł, prawdo-

podobieństwem się stanie — miłość będzie możnością na tym globie — lecz nie wprzód! wara! Rozumiesz, ty ojców posiadaczu?

MŁODZIENIEC.

Aligier, gdzieżem ja? gdzieś ty mnie przywiódł? Ja wyzwę go! —

ALIGIER.

Jeźli kochasz mnie, milcz!

(Do Prezesa.)

Przyklękam na znak uszanowania i prośby — bo łamać przepisów nie chcę odezwaniem się. A pozwól ojcze arcy-przewielebny, na chwilę dozwól, bym na tę mównicę wstąpił i odpowiedział. Ojcze, mnie idzie o tę duszę jasną i czystą, powierzoną mi — patrz, jak blednie ta twarz — patrz jak gniew święty po żyłach tego czoła sinieje — jak ta ręka powstrzymana od oręża, cierpi Laokonowe drgania. Ja muszę wstąpić i mówić, by go ukoić. On pierwszy raz słyszy takie słowa!

PREZES.

Zabronić ci, czego żądasz, nie mogę. Ów człowiek pierwszy stargał prawo.

ALIGIER.

Dzięki ci ojcze!

(Wstępuje na mównicę.)

PANKRACY.

Teraz w żadne już rozprawy się nie wdaję, ja chóru przywódzca! Wypowiedziałem nieunikalne! Kto sam słowem konieczności, ten na marne, ludzkie słowa nie odpowiada! Hej! Kiermaszu albo ty Blaumanie, jeźli im o sentymentalność i paplartwo chodzi, stań naprzeciwko mównicy, patrz się w oczy temu melancholicznemu przyjacielowi onego młodzieniaszka i odpowiadaj za mnie!

KIERMASZ.

Ja wnet odpowiem — ja!

BLAUMAN.

Precz Kiermaszu, ja lepiej potrafię

INNY.

Mnie głos dać — Blauman nie potrafi!

INNY.

Panie naczelniku, mnie wybrać!

KILKU INNYCH.

Mnie — mnie — mnie!

PANKRACY.

Już się swarzycie — patrzcie, jak tamta część chóru, z szlachty starej, co się odsunęła na stronę, przystojnie i poważnie się trzyma, choć wściekli. — Z wrzaskami precz — ty Blaumanie mów!

BLAUMAN (do Aligiera).

Blady i wychudły stronniku arystokracji, ty z mównicy tej przechylony, z wyciągniętemi rękoma — a muszę wyznać, ty piękny! — boć to wiadomo, urodziwi jesteście i gładkie rysy wasze i dłonie białawe — pfuj! — kobiety! Ha! więc ty się oburzasz przeciwko temu wielkiemu obywatelowi, że ci serdeczno — szczerze oznajmił o wyrżnięciu logicznem i nieodwracalnem magnaterji lackiej! Jeźliś patrjota, jeźli ci w sercu cokolwiek polskiego, ojczystego zostało —

PANKRACY (po cichu).

Nie mięszaj zbyt wyrazu ojczyzny!

BLAUMAN.

Czy i to arystokratycznem?

PANKRACY.

Tak i nie — ale słuchaj rady mojej!

BLAUMAN.

A ja ci powiadam, jeźli Ludzkości choć źdźbło drga w sercu twojem, jakżeż ty inaczej chcesz zbawić Lud polski ciśnięty od trzech tyranów, a przez szlachecką kastę gorzcej rozdeptany jeszcze? Wspaniałomyślną rzezią tylko możesz —

ALIGIER.

Pankracy! Pankracy! naczelniku chóru polskiego, ty nie Polaku! Ty, co tylko powtarzasz «Lud, Lud» a nigdy «Naród» nie powiesz! Ty, co chcesz wielkich rzeczy się przez siebie do-

czekał a od Boga nie poczynasz! Ty, co za podstawę przyszłej budowy, kamieniem węgielnym stawiasz mężobójstwo! Ty, co zawiścią zdjęty, starasz się ją przemienić w prawo wiekuiste postępu i nadajesz nikczemnym chuciom piersi własnej imię konieczności! Ty, co ranić umiesz i jad w rany zadane zapuszczać, gdy spotkasz dziecko, niewiastę lub młodzieńca wiosennej tkliwości — lecz nie potrafisz rozmówić się ani z Bogiem modlitwą, ani z mężem mądrością, ani ze sobą nawet samym wiarą i przekonaniem! Ty, chciwy władzy, ty człowieku możny zmysłami i namiętnością i siłą jakąś okropną, utajoną w tobie! — nie zastawiaj się pierwszym lepszym z uwiedzionych przez ciebie — ale w imię Boga, sędziego nas wszystkich, Pana narodów i Duchów, pana mojego i twego, odpowiedz: Wierzysz li sam temu, coś tu oświadczył przed nami?

BLAUMAN.

On, czy wierzy? On! kto? Pankracy! Ah! to już za wiele — nie bluźń takiemu demokracie, ty arystokrato!

ALIGIER.

Wzywam cię, wzywam potęgą mi nadaną, tkwiącą w głębinach istoty mojej, za to żem cierpiał wszystkością serca mego nad wszystkiemi cierpieniami braci moich, od kiedym rozemknął oczy i ujrzał że piękny świat i piękne słońce — i Bóg wszechdobry i wszechmiłosierny, a Ludzkość nieszczęśliwa — a śród nieszczęśliwej Ludzkości, pierwszy nieszczęściem i bolem polski mój naród! Wzywam cię, odpowiedz mi! Gdy spojrzę na kogo, zwykle mi prawdę odpowiada. Tylem się namodlił po szczytach gór, po falach mórz i śród więzień cytadelowych i w lochach i w kopalniach i koło rusztowań i w salach sądowych, prosząc Pana za skazanymi — prosząc i za sędziami, których los gorszy czeka niż skazanych! Tylem się nabłąkał po otchłaniach ziemskich, ciągle o ilem zdołał ja nędzny, chęcią, myślą, uczynkiem w niebiesiech — że wierz mi, człowiecze, darmo! — ty się mnie nie odejmiesz. Musisz mi prawdę przed wszystkiemi braćmi odpowiedzieć — a jeźli milczysz, to że czujesz sam, iż nie możesz — to że wiesz sam, żeś obłudnik i kłamca!

PANKRACY.

Blaumanie, na bok mi! Ha! Aligier, wyzywasz mnie!

ALIGIER.

Jak Bóg na niebie i w każdym z nas, jak Chrystus był na ziemi i dotąd Duchem coraz silniej rozlega się po niej, zaprawdę, że wyzywam ciebie!

PANKRACY.

Więc jaśniej, praktyczniej mów — o co się ty pytasz.

ALIGIER.

O sumienie twoje — o nic więcej!

PANKRACY.

Praktyczniej się wyraź. Ja człowiek czynu — metafizyki nie rozumiem — nie chcę — i nie potrzeba jej mi. Jeszcze raz, o co się ty więc pytasz mnie?

ALIGIER.

W obec Tego, który między nami, choć nas dwóch tylko, trzecią przytomną osobistością jest — tu ot jest — rozciąga się od ciebie po mnie, odemnie po ciebie, i w okół nas — i widnokrężnie wszędzie! W obec najdroższego utajonego jak Go lud Polski nazywa, pytam się ciebie, czy czujesz sercem i wiesz rozumem nieodprzekonalnie, iż dla zbawienia Polski trzeba zagłady szlachty polskiej? Że dla odsunięcia głazu grobowego trzeba rękom zmartwychwstańców rękawic z błota i krwi, a nie gromów z czystego światła? Że dla rozpoczęcia trzeciej godziny świata, którać Chrystusową jest, należy wyprzeć się Chrystusa choćby na chwilkę — miłość jego odłożyć na później, Bogu, wszechmocnemu powiedzieć: «Wyjdź teraz a wrócisz potem — bo dziś jesteś «nam naddatkowy — dopiero potrzebny pojutrze.»

PANKRACY.

Julinicz, ludowy wieszczu, toś ty powinien odpowiadać mu — boć w nim wieszcz siedzi także.

JULINICZ (wychodząc z grona chórowego).

Ja wielki Duch! proroczy Duch! znajcie mnie!

PANKRACY.

Więc mu za śpiew odśpiewujże śpiewem!

JULINICZ.

Nie czem innem o bracia, jedno śmierci rozrobem, kończą się ery planety. Otoć chwila — i wieków dwadzieścia ma umrzeć, a nim umrą, mają by wzięte na tortury, za to, że zbrodniczyły wciąż a nie znały co Duch! Dziś nie to co niegdyś! Niegdyś modlitwa i łza i skrucha — tem było chrześciaństwo! Dziś moc ucieleśniona, ruch, pęd, wir, ton, władza, nakaz, uoręźnienie pańskich tchnień! Dziś do dzieła nawet łotrów dobiera Pan! Jak młotów, kos, cepów, dzid i mieczów tysiącem, niemi obraca na wsze strony i bije się po świecie, by zatracić wrogi swe! wrogi ludu! Dla wszechprzyszłości cóż znaczy szlachta jaka? kilkadziesiąt tysięcy ludzi — chcesz? kilkakroć nawet! kropla w oceanie! Jeźli jej łaknie ocean, rzucić ją! Takie dzisiejsze chrześciaństwo! bo się wybrał ziemię sądzić Pan i sądzi ją przez nas, przez święte swe, ujasnowidnione swe, proroki swe! I ot! wspomnisz, ty niewierny, nadejdą burze i zawieruchy żywe z żywych ludzi wiejne, mnóstwa przechadzające się po zwaliskach i popiołach, ofiarujące mord Bogu — i będzie Bogu miłym mord — bo całopaleniem tylko ciągłem wstępuje w niebo on ołtarz kołujący, ten planeta, na którym Ludzkość kapłanem i ofiarnikiem wiekuistym, i zużyte jej plemiona i kasty i myśli, ofiarami!

ALIGIER.

Pankracy! Pankracy! Pamiętasz jak głos z nieba wołał na ukrywającego się Adama po dopełnionym grzechu — na uciekającego Kaima po bratobójstwie! Ty tak samo się kryjesz, ty tak samo uciekasz; Pankracy, Pankracy, odpowiedz mi!

PANKRACY.

Nieznośnyś! — z Julinicznem hymnujcie sobie!

ALIGIER.

Pankracy! Pankracy! a zkąd ty się wziął? A kto wlał w ducha twego mowę polską? a kto polski obyczaj? a kto wolności żądzę? a kto siłę czynów? Czyś ty z przyszłości się urodził? wszak nie? Czemże więc ty, choć bez ojców imiennych, jeźli nie synem matki Rzeczpospolity lackiej? Mów mi, cobyś ty mógł mówić na ziemi i czem kłamać i czem zdradzać i czem sprzeniewierzać się przeszłości, gdyby ona właśnie wszystkiego

ci nie była dała? Niewdzięczniku! kto by głosu twego za ludem słuchał, czy śród twoich własnych, czy śród obcych, gdyby nie Chrobrych miecz, Jadwigi niepokalaność, Zygmuntów mądra miłość, Batorych hart — Zamojskich rzymska cnota, Żółkiewskich zgon, Czarnieckiego żywot, Sobieskiego trud i europejski czyn? — Nicości bez nich, czemu powstajesz ty na nich! Czemu się targasz na wiekopomne i niezagubialne? — na to, z czegoś ty sam, na to, bez czego i kroku jednego postawić i słowa żadnego wyrzec nie zdołasz — na powietrze piersi twoich dziejowe! Wiedz dalej, jeźli błogosławieństwo Pana z tobą, naród twój, lecz nie odnaradawiaj go, jak czynią okrutniki co go rozebrały. Nie bądź czwartym katem, do trzech onych, przydanym przez piekło! Pankracy! Pankracy!

PANKRACY.

Przeklętyś z twoją przeszłością — z twoim głosem z przeszłości, bo jak z grobu wieje, a dźwięczy i dźwięczy!

ALIGIER.

Upominam cię, bo w tej chwili zawód się twój cały przyszły zwierciedlani przedemną! Jeszcze czas! wolną wolę masz! Jeśli mnie nie usłuchasz, potężny będziesz, będziesz przed ludźmi na czas i pół czasu — lecz przepadniesz przed Bogiem i ślad twój w sercu Boga odnaleziony nie będzie!

PANKRACY.

Hej! sztuki — zabobony — przesądy — wróżby! Tak zawsze teokracja i arystokracja poczynają sobie! Myślisz mnie gusłami przegrodzić od czynu, od władzy, od nieśmiertelności? A więc znaj prawdę — i wy wszyscy znajcie ją — i ty także ją znaj arcy-przewielebny! Kto we mnie wierzy, kto mój, niech się z chóru polskiego oddziela i staje tu przy mnie!

KIERMASZ.

Niech żyje wódz!

BLAUMAN.

Otom przy tobie!

JULINICZ.

Aaronem będę w obozie twoim!

KILKU INNYCH.

Demokraciśmy na rozkazy twe!

PANKRACY.

Co tu wykładają, nudzi mnie oddawna. Wszystko gnuśne, religijnie, filozoficzne. Żółwie takiemi samemi. Kto sądzi, że świat ukoi, temu winszuję — świat zgniły — szlachta polska zgniła. Rady nie ma — być albo nie być? Ja być chcę! Kto godzi w cel, ten środków się, jak strzał zatrutych, chwyta! Przekleństwo bałamucącym na drodze dziejów! leniwym i uczonym! miłosiernym i czystym! Brud nie brudem, gdy przezeń stąpa się do wszechludzkości! Zasady niech żyją a niech ginie pół Europy! Zrywam z wami wszystkiemi!

ALIGIER.

Świadczę się wami, narody i ludzie, że taką odpowiedź jego! O Henryku mój! zważ i naucz się. Ten człowiek genialnym. Duch ten potężnym — ale nie ma potęgi, co zdoła odpowiedzieć na najprostsze zapytanie, skoro ono zacnem a ona niecną jest. Tak Pan chciał aby było — błogosławcie Panu!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Zatrzymaj się obłąkany Duchu! Czy nie pamiętasz, jaką hańbą pokalan, kto nam nie dotrzyma wiary? po tej i tamtej stronie grobu opóźnion, zewstecznion, nędzny i nikczemny będzie!

PANKRACY.

Na tamtej stronie, przyjmuję — byleby nie na tej! A na tej, synem dzieł moich własnych jestem! Ojcowie moi, których sam płodzę, czyny, pomagajcie mi! Za mną bracia!

PREZES.

Chóry wszystkie, zastąpcie drogę temu niewiernemu bratu i nie puszczajcie go!

ALIGIER.

Tylko błagam cię ojcze, nie każ drugiej części chóru polskiego, by miała stawać naprzeciwko braci własnych — bo choć grzeszni, braciaż zawsze!

PREZES.

Was jednych wierni Polacy, wyłączamy od dopełnienia rozkazu naszego. Pozostańcie na miejscu waszem!

PANKRACY.

Czy myślisz arcy-przewielebny, że mnie tłumem tym osaczywszy, obalisz na kolana przed sobą? że w tych głuchych podziemiach, gdy skiniesz, ty co krwawego nie znasz nakazu, ci twoi mnie zarżną? Puszczajcie mnie narodowe chóry!

PREZES.

Łańcuchem nierozerwalnym stójcie koło niewiernego.

PANKRACY.

Blaumanie, Kiermaszu, Julinicz, do puginałów!

PREZES.

Ilu tych kacerzy, wnieść trumien tyle!

PANKRACY.

Do broni wszyscy, do broni! — za mną! Jeźli chcecie żyć i czynić a nie marnieć — za mną! Jeźli chcecie ujrzeć na oczy, to co mózgiem myślicie, czego pożądacie piersią — za mną! Z jakiegobądź rodu i narodu jesteście — za mną!

PREZES.

Teraz trumny te ustawić rzędem — przed każdym z niewiernych jedną!

PANKRACY.

Opuszczajcie te lochy, fantastyczności, poezje, widzenia! Za mną, gdzie słońce bryłowate w górze a wrogi istotne na ziemi, by z nich wytoczyła się krew, a słońca promienie radowały się, tę farbę pijąc! Czyście ślepi, głusi? Czy nikt z Włochów, Niemców, Francuzów przy mnie się nie opowie?

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Z chóru każdego po kilku przechodzi na stronę buntownika — o biedni!

PREZES.

Trumien więcej, trumien więcej!

PANKRACY.

Co? marzysz nas zabijać gwoździami w te pudła? czy nie

widzisz w moim ręku tych pistoletów? Bronić się będziem do upadłego!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Biedny, biedny ten człowiek! on mniema, że o zgon ciała jego chodzi! Biedny, biedny!

PREZES.

Wierne chóry, ściśnijcie jeszcze bliżej ich. Tak — półkolem! A trumien dość, bo nikt więcej już nie zdradza!

PANKRACY.

Hej! jeszcze, jeszcze do mnie! Hej! zawierzcie mi! o ludzie ospali! o chóry! o większości ziemskie! Czyż zawsze mniejszość tylko dzielną i śmiałą, a wy nikczemne — i przeto was ona wiecznie musi strachem i gwałtem w pęta swojej woli kuć!

ALIGIER.

Tyran się z ciebie odezwał!

PREZES (do Młodzieńca).

Synu, przyszedłeś tu szukać prawdy i zbawienia — znalazłeś zgorszenie! Lepiej by temu, który gorszy serca niewinnych, było się nie urodzić. Teraz posłuchaj nad nim wyroku!

PANKRACY.

Jeźli mnie i moich nie puścicie, strzelę!

PREZES.

Rozdzieram szatę oną białą i czystą na piersiach przed wami wszystkiemi narody i ludzie! Bo muszę z tronu tego rzucić śmierć na jednego z żyjących — bo muszę wyrzec przekleństwo nad duchem, któremu niegdyś jak wszystkim wam, pobłogosławiłem!

PANKRACY.

Strzelę — do arcy-przewielebnego samego strzelę!

MŁODZIENIEC.

Spojrz tu wrogu ojców mych! Czy widzisz lufę mego pistoletu? patrzy się czarnym okiem na czoło twe — jeźli palcem na cynglu zadrgniesz, to nie ten który na tronie, lecz tyś zginął! Strzeż się!

PREZES.

Pankracy naznaczonyś piętnem potępieńców! Po wieki wszystkie bywali na ziemi — kusicielką ich pycha — czynem ich niszczenie! Każdą ideę nieborodną, przez Pana zesłaną w świat, odpycha od świata w niebo nazad, niecnie służąc jej — bo nie jej, ale sobie, w jej imieniu służą. I Bóg od nich przyjmowany jak szatan, oddala się precz, blednący z gniewu, że takie sługi ma. Jesteś jednym z nich! Ty się przeniewierzysz świętościom ogłaszanym tu! Ty zdradzisz Chrystusa! Ty zdradzisz Ducha Świętego! Tyś im faryzeusz taki sam, jak królów pochlebcy, jak świętoszki, jak donosiciele, jak szpiegi! Albo marnie przepadniesz, albo też wstrzymasz rozwój Ludzkości — odwrócisz ją z toru wstępnego, na boczne manowce — każesz jej po kałużach brudzić stopy białe — wieki przerazisz i cofną się w tył! Czego by nie dokonał wszystkich mocarzy przebieg, moc, gwałt, ty dokonasz! Więc w imieniu Ludzkości, więc w imieniu Ducha Świętego, przekleństwo na tobie kładę o duchu zgubiony; bo kto przeciwko miłości wiekuistej, ten — wiedz o tem — choćby zwyciężył — ten zginie!

PANKRACY.

Do widzenia w wieczności!

PREZES.

Te trumny, to pogrzeb wasz — na wiele, wiele wieków cofnęliście o kacerze! — i umieracie w tej chwili, a śmiercią gorszą, niż gdybym was kazał stracić — bo bym ducha wam nie mógł kazać odebrać — samiście sobie odebrali go! Idźcie więc z ciałami waszemi, w tych trumnach wasze zacności i cnoty pozostają — w tych trumnach myśli Boże o was, które wami być miały samymi, a w któreście wżyć się nie podołali — w tych trumnach to, co w was ludzkiego było na ziemi!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Idei fałszerze! idei najzaciętsze wrogi! Wy co ją krzyżować będziecie a szydersko, bo mianując się jej synami! Wy umierający — wy, skoro za ten próg przejdziecie, umarli! Idźcie, idźcie precz!

PREZES.

Wszystkie chóry ziemskie, narody i ludzie bierzcie każden do ręki gromnicę — śpiewajcie pogrzebną pieśń!

PANKRACY.

Kiermasz, nie blednij tak — Blauman, i ty także? Julinicz, czy u was poetów nerwy strunami lutni, że tak drgają? I cóż z tego, że tych gromnic czerwieni się krąg? że hymnów grobowych rozlega się dźwięk i to nawet sklepienie z granitu zdaje się śpiewać i nam wróżyć zgon!

PREZES.

Naczelnik chóru polskiego umarł — Aligier obejmij nad współbracią rząd i jej wodzem bądź!

PANKRACY.

Ah! arystokracji doradzca zastępcą mym! Kordecki, Rejtan, Ligienzo, Rymszo, Kazanowski, nie pójdziecież za mną!

CHÓR POLSKI.

Pozostajem tu. Szabla i Bóg, nie noże i srom — oto hasło nasze!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Śpiewajcie im, śpiewajcie pogrzebową pieśń. Przeszłość rozdeptali — nie pojęli przyszłości — teraźniejszość potwornieje przez nich! Więc w czasie ich nie ma, bo obrazili, okaleczyli, rozćwiertowali czas! Gdzież oni są? w nicestwie ducha są! Śpiewajcie im, śpiewajcie pogrzebową pieśń!

PREZES.

Nieście ich trumny za niemi — odprowadźcie ich aż do tajemniczego progu. Rozemknijcie im ścianę podziemiów!

PANKRACY.

Dziękuję ci arcy-przewielebny! walczyć będziem ze sobą, bo ja — dobrześ powiedział — ja niszczyciel! Lecz zdrady nie obawiaj się — powierzchnia ziemi od żadnego z nas nie usłyszy, ani o tobie ani o twoich!

PREZES.

Kto Judaszem wiekuistej idei, stać się może i ludziom Judaszem!

PANKRACY.

Nie! nie! Ty nie myślisz tak o mnie!

PREZES.

Żyjący z umarłymi nie mówią — dość już — amen!

PANKRACY.

Dawajcie klucze — oto próg — duszno tu. Lepiejbyście płuc nie suszyli sobie takim śpiewem — odmykajcież!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Do końca, do końca śpiewajcie im pogrzebową pieśń!

PREZES.

A teraz niech każdy do nich mówi: «Zgaśliście!»

PANKRACY.

Kiedyż koniec będzie obrzędom tym?

PREZES.

A teraz niech każdy zagasi gromnicę swą i iskry i popiół strząśnie po nad głową im!

PANKRACY.

Puszczajcie!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Umarli — umarli — umarli!

Narody i ludzie, rozejdźcie się w milczeniu i ciemnościach. Zgorszeniście i smutni. Za winą, sąd nastąpił — nastąpiła i kara. Módlcie się, rozpamiętujcie — a pokusy nie przypuszczajcie do serca — bo wiednym ducha, grzech przeciwko Duchowi, darowanym nie jest! Idźcie! — na dzisiejszą noc rozwiązany Zbór!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Narody i ludzie, rozejdźcie się w milczeniu i ciemnościach! —

UŁAMEK

NAŚLADOWANY.

Z GLOZY ŚWIĘTEJ TERESSY

Vivo sen civir ey mi
Y tan alta vida espero
Que muero porque no muero.
(Gloza Ś. Teressy.)

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę —
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski, grobową żałobą,
I tem umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzeć lub cierpieć! — a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojem niebie,
Lub gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!
Szlij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tem mi więcej błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!
Jedynej ulgi na moje męczarnie
— A jedna tylko i Śmierć się nazywa —
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie!
O bardzom Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie Bożo-człowiecza Twa postać
— Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana —
— Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —
Ty, Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie małej wyrastał Bóg cały!

Tyś się zamykał w mem sercu jak w grobie —
— Jam się jak bezmiar szerzyła ku Tobie!
Przez nieskończonej Łaski zezwolenie
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
Stworzenie w Stwórcę, przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było jakby po pogrzebie —
Bez ciała byłam, na ziemi i niebie.
Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie!
W twarz Ci patrzałam — ale nie oczyma —
Bo na to wzroku ócz śmiertelnych nie ma.
Głos Twój słyszałam — lecz nie ziemskim słuchem —
Wszystkom widziała i słyszała — duchem! —
A jednak Panie Tyś jaśniał przedemną
Jakby słońc słońce, w którem kształt człowieka!
Ach! światło dzienne, nocą wiecznie ciemną
Przy tym promieniu co z Twych skroni ścieka.
— Choć nie cielesny — widomszy niż ciało —
I słowo każde co z ust Twych spływało,
Dźwiękiem dźwięczniejszym, niż dźwięk ssan przez uszy,
Nie brzmiące, brzmiało jak pieśń, w mojej duszy!
I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —
Nie ukrytego w przenajświętszym Chlebie,
Nie tajonego przesłonami Cudu —
Lecz jakim bywasz śród Aniołów ludu,
Tam, gdzie nad światem królujesz z Świętemi!
Tam Cię ja, takim — tu miałam na ziemi!
— Lepiej od Świętych widziałam Cię Panie!
Bo silniej kocham, goręcej niż oni!
— Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —
A ja gdzie mieszkam? — co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpaczy —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
Im bardziej tęsknię, tem kocham goręcej,
Im więcej męki, tem miłości więcej,
W tem piekle bożem Bożego kochania,
Gdzie Twa obecność, mnie nawet rozrania —

Bo chwilą później Tyś znowu daleki,
I nim powracasz, upływają wieki!
Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem
Leżę na ziemi grobowym kamieniem —
A pod tym głazem mej niewzruszoności
Smutek przejada do szpiku me kości!
Żądam bez miary — miłuję bez granic —
Miłość i żądza nie zdały się na nic —
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz Twojej woli w tych chwilach nie zmienię:
Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
Aż kiedyś — kiedyś — znowu po raz drugi!
I mimo Twoją, o Ty mój, przestrogę
Ja tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,
Że Ciebie kocham za przyszłe nagrody,
Za obiecane w królestwie Twem gody,
Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy —
Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,
Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolałeś tu wszystko co boli,
Że zniosłeś wszystko co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty Bóg, przez katów prowadzon do krzyża!
Ja Ciebie kocham — że Cię o tej chwili
Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: «O jam opuszczony» —
Ja Ciebie kocham, za Twoje konanie
I za śmierć więcej niż za Zmartwychwstanie!
Bomi się zdaje że Ty Zmartwychwstały
Nie tyle biednej potrzebujesz sługi —
Już wtedy służy Ci twój wszechświat cały —
Stopą powietrzne przelatujesz smugi! —
Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,

Że oglądałam gdzieś wprzódy to wzgórze
I krzyż ten zbroczon w krwi Twojej purpurze!
Że Magdalena, ta święta, Ta miła,
Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
Bo w sercu mojem, jej serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka,
I rozpacz moja, tak straszna — głęboka —
Że być nie mogą dwie takie rozpacze!
Nie — ona Ciebie więcej nie kochała —
Ja wiem, że ona wielka, a ja mała,
Bom mniej czynami Tobie zasłużona —
Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
Tę jedną miłość, między te dwa łona?
— Bo dwóch miłości być takich nie może!

— Nie — Ciebie więcej nie kochała ona!
Raz tylko w życiu na Golgockim pyle
Leżała w płaczu, krwią Twoją zroszona —
Raz jeden tylko — a ja razy tyle! —
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza —
Kalwaryjskiego przytomność smętarza
I z po za wieków upłynionych tyla
Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
W której śród Niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel w obec wszechstworzenia!
Gdy padnie z zorzą pierwszy promień dzienny,
Widuję w celi tej krzyż Twój męczenny
I na tem drzewie oglądam Twe ciało
Ostatkiem światła jeszcze tlące biało,
Gdy wszystko w okół, jak w grobie, zczerniało!

Ty i ja Panie — nikt więcej — my sami —
Tak blizcy siebie — a tak rozdzieleni —
Bo ja tu w dole pod Twemi stopami,
A Ty nademną, w tej strasznej przestrzeni;
Do kłód tych z cedru przybity gwoździami!

Z razu zaklęczę w milczeniu — a cała
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała —
Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żelezca Twych dłoni —
W boku mnie szarpie boku Twego rana —
I choć tu w dole, tak ja z Tobą zlana
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —



Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

